

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

595

D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

395

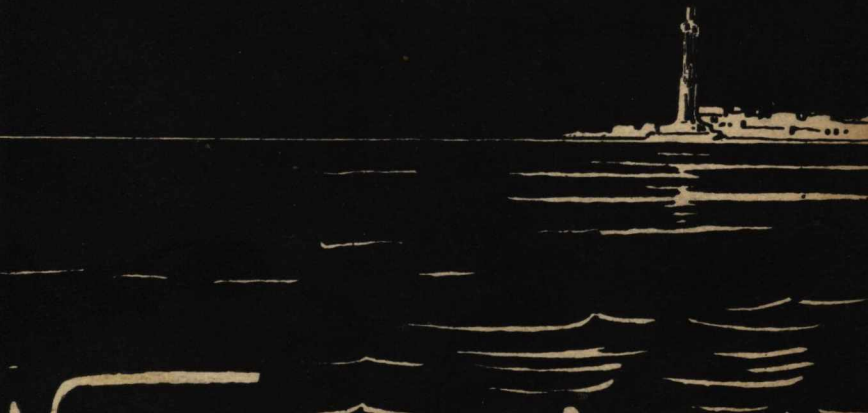
D







J. WOJSZWIŁŁO



KARYERA JAN KA



1000182567

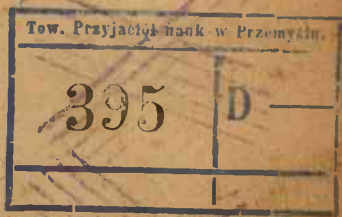
4094781

245

TEOFIL WOJSZWIŁŁO

# KARYERA JANKA

POWIEŚĆ Z ŻYCIA P. P. S.-OWCÓW.



KRAKÓW 1908.

DRUKARNIA WŁADYSŁ. TEODORCZUKA.

A-18413

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

KK.

liberat. 13a

K. 1160/56/1684



I.

## NAD NEWĄ.

Był jeden z tych dni jesiennych, kiedy natura, jakby na chwilę przypomniawszy sobie, że i Północy — jej pasierbicy — należy się bodaj skąpa pieśczoła, opromienia stolicę nadnewską blaskami słońca.

Wielką Morską ulicą — od pomnika Mikołaja I. aż do rogu Newskiego Prospektu — sunęły tam i z powrotem dwa wielkie potoki spacerujących. Była to prawie wyłącznie młodzież. Strojnym postaciom kobiecym towarzyszyli eleganccy mężczyźni w ubraniu cywilnem, oficerowie lub też studenci w uniformach wyższych zakładów naukowych.

Śliczny dzień niedzielny wpłynął na ożywienie tłumu, to też wesoło i gwarno było w słoczonych, nadzwyczaj wolno posuwających się, zastępach.

Janek Pacewicz, porwany przez ten potok, dawał się mu unosić, oszołomiony poniekąd gwarem wielkomiejskim, do którego nie zdą-

żył się jeszcze przyzwyczać. Za ledwie bowiem tydzień temu przybył z zapadłego kąta Litwy. Formalności, towarzyszące wstąpieniu na uniwersytet, wyszukanie mieszkania i parę wizyt nieuniknionych zajęły mu cały ten czas, tak że dopiero teraz po raz pierwszy wyszedł na miasto bez żadnego określonego celu — ot tak sobie, na przechadzkę. Ogólne ożywienie i jemu się udzieliło: czuł się jakoś rażniej.

Zgrabna postać studenta zwracała uwagę spotykanych dziewcząt, z których niejedna rzuciła mu zalotne spojrzenie. Janek ślizgał się zwrokiem po twarzach kobiecych i chwycił uchem odgłosy śmiechu i urywki rozmów. Niebawem jednak utonął w marzeniach i nawet nie spostrzegł, że się już był wydostał z tłumu i znalazł się między pomnikiem Mikołaja I. a soborem Izaaka o olbrzymiej złożonej kopule. Wreszcie ocknął się i miał już znowu zawrócić w kierunku Newskiego, kiedy nagle posłyszał głos, wołający:

— Janku! Janku!

Obejrzał się i zobaczył idącego ku niemu studenta w dość wyszarzanym paltocie i podniszczonej czapce, rumianego, o jasnych blond włosach i wesołych niebieskich oczach.

Był to Kiersnowski, student trzeciego roku przyrody, pochodzący z tegoż samego miasta, co i Janek.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek, bo widzę, że spacerujesz sobie, kiedy ja nawet



w niedzielę muszę latać po korepetycyach z jednego końca miasta na drugi. No, ale dziś mam szczęście: zachorował mi mój uczeń, więc mogę prawie całe popołudnie bąki zbijać. A głodny jestem jak pies! Czyś już po obiedzie? Możebyśmy tak poszli do „babci“ i przetrącili coś niecoś?

— Bardzo dobrze! Obiadu jeszcze nie jadłem i jeść mi się chce porządnie.

— No, to chodź!

W kwadrans potem dwaj studenci wchodzili do „Kawiarni Warszawskiej“, utrzymywanej przez znaną w kołach młodzieży polskiej „babcię“ — starowinę, wiecznie gderającą na służbę, niezbyt czysto ubraną, szurgającą zdeptanymi pantoflami i niechętnie odpowiadającą na wesole pozdrowienia gości.

Znaleźli w kącie jeden stolik niezupełnie zajęty, bo siedział przy nim tylko jakiś chudy technolog, jak się okazało, znajomy Kiersnowskiego. Usiedli obok niego i obstalowali obiad.

Janek wziął gazetę rosyjską, leżącą na stoliku, i począł ją przeglądać, jednocześnie wsłuchując się w polski gwar, nappełniający dość szczypty pokój.

Brzęk talerzy, śmiech, nawoływania, bieganie kelnerów z tacami i serwetami — wszystko to wytwarzało zgiełk, zwykły o tej porze u „babci“.

— Idziecie dziś na odczyt? — zagadnął chudy technolog Kiersnowskiego.

— E, gdzie tam, muszę za jakie półtorej godziny być na Michajłowskiej, a potem to się już nie oplaci iść na Oficerską.

— Szkoda, bo mam bilet, a sam iść nie mogę — z powodu randki, o której, kupując bilet, nie pamiętałem.

— No, to odstąpcie go koledze Pacewiczowi. Co, poszedłbyś, Janek?

— I owszem.

— Kiedy, widzicie, nie wiem, jak postąpić... Odczyt... tego, niezupełnie legalny, na więźniów — mówił technolog, widocznie nie-rad z propozycyi Kiersnowskiego.

— No, to tem bardziej... Kolega Pacewicz dopiero co przyjechał do Pitra, nic jeszcze nie widział, niech wejdzie „w świat“. Ja już za niego ręczę — wszakżeśmy z jednego miasta i z jednego gimnazyum.

— Kiedy tak, to dobrze — rzekł, zupełnie uspokojony, technolog. Wręczył też zaraz Jankowi białą kartkę, zaopatrzoną w numer, i wytłómaczył, jak się ma na ten odczyt dostać.

Na parę chwil przed oznaczonym czasem Janek wchodził do mieszkania, udzielonego na odczyt. W dość obszernym saloniku, którego znaczną część zastawiono krzesłami różnego kalibru, widocznie *ad hoc* wypożyczonemi od sąsiadów, nie było jeszcze prawie nikogo.

Janek przechadzał się po pokoju. Wkońcu usiadł pod oknem i obserwował coraz to



nowych przybyszów, szybko zapełniających salonik.

Najwięcej zjawilo się studentów-technologów i „uniwersantów“. Przyszła też około dziesiątka studentek. Jakaś poważna matrona zajęła miejsce w pierwszym szeregu i zdrzemnęła się, pomimo wzrastającego gwaru, nie na żarty niepokojącego gospodarza. Wpadał on co parę chwil z sąsiedniego pokoju i, zbliżając się to do jednej, to do drugiej grupki młodzieży, prosił o mniej głośne rozmawianie — z bardzo małym zresztą skutkiem.

Ukazał się wreszcie i prelegent — smagły brunet o nieco rozczochranej brodzie, z binoklami w złotej oprawie na nosie. Obrzucił salonik bystrem spojrzeniem i usiadł w kątku, gdzie się wdał w rozmowę z jakąś panią.

Tymczasem salonik wypełnił się szczelnie. Wszystkie krzesła pozajmowano, obsadzono dużą otomanę i jeszcze ze dwadzieścia osób stało pod ścianami.

Prelegent zbliżył się do przeznaczonego dlań stolika, usiadł, przysunął świecę, wy dobył z bocznej kieszeni zeszyt i, chrząknąwszy, zaczął.

Jego odczyt poruszał zagadnienie społeczne, które właśnie stanowiło przedmiot zaciętych sporów dwóch odłamów postępowej prasy polskiej.

Pierwszej części zebrani wysłuchali zupełnie spokojnie, ale kiedy prelegent, opuściwszy dziedzinę czystej teorii, przeszedł do

wysnuwania wniosków praktycznych, widocznem było, że pomiędzy słuchaczami ma sporo przeciwników. Parę razy bowiem dał się słyszeć wyraźny szmer niezadowolenia.

Janek spoglądał na słuchaczy i widział uśmiechy ironiczne, błakające się po twarzach niektórych ze studentów.

Kiedy prelegent skończył wywody i zeszedł ze swego miejsca, zebrani rozbili się na grupki i znowu w saloniku powstał gwar. Pewna część osób wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie można było palić, inni przechadzali się po saloniku, z ożywieniem debatując, jeszcze inni otoczyli prelegenta, zarzucając go pytaniami.

Po przerwie prelegent znowu zajął dawne miejsce i oświadczył, że chętnie będzie służył wyjaśnieniami i odpowie na wszelkie zarzuty.

Na czas jakiś wszystko zamilkło. Po chwili wstał jeden z medyków z notatnikiem w ręku i począł analizować poglądy prelegenta. Krytykował je ostro, piętnując je mianem drobnomieszczańskich pomysłów, wstecznictwa, przybranego w pseudonaukową szatę i t. d. W miarę jak mówił, zapalał się coraz bardziej — tak, że gospodarz począł rzucać trwożliwe spojrzenia to na niego, to na drzwi.

Medyk mówił dość długo i Jankowi podobały się jego słowa. To głębokie przekonanie, z jakim wygłaszał swe poglądy, ten zapał, który łuną bił z jego twarzy i iskrzą-

cych się oczu, budziły w Janku żywą sympatyę dla mówcy.

Zaraz potem zabrał głos jakiś technolog, również zbijający poglądy prelegenta, choć już nie tak wymownie. Przemówił jeden z niestudentów — bardzo obiektywnie i grzecznie, poczem znowu zabierali głos studenci, ale ci albo powtarzali już powiedziane, albo rzucali po parę frazesów dla zadokumentowania, że i oni nie zgadzają się z prelegentem. Słuchano ich, tak samo, jak i replik prelegenta, z niewielką uwagą. Szmer prowadzonych rozmów stawał się coraz głośniejszym. Pewna część zebranych wymknęła się niepostrzeżenie za drzwi. Widać było, że wszyscy są znużeni.

Nanowo jednak uspokoiło się w saloniku, kiedy podniosła się zgrabna postać studentki o bujnych włosach i wyrazistych rysach. Mówiła z początku cicho, zacinając się trochę, a gorący rumieniec zalewał jej twarz. Ale po chwili zapanowała nad sobą i mowa jej popłynęła wartko. Zwracała się do prelegenta z zarzutem, którego nikt z obecnych jeszcze nie wypowiedział, a który był bodaj czy nie najcięższy. Rozwijiała swą myśl szeroko, akcentując dobitnie punkty zasadnicze. Kiedy skończyła, szmer zadowolenia dał się słyszeć z koła otaczającej ją młodzieży.

Janek, który w ciągu całej przemowy studentki patrzył w nią jak w tęczę, widział, że medyk, ten sam, co przemawiał zaraz po

prelegencie, nachylił się ku dziewczynie i mówił jej coś z uśmiechem.

Jankowi zrobiło się naraz przykro jakoś, choć sam nie rozumiał, czemu miał to przypisać. Uczuł się nagle takim małym, mizernym, głupim, niewykształconym, że się bał oczu podnieść na otaczającą go młodzież. Nie słuchał już odpowiedzi prelegenta, tylko zbliżył się do okna i, oparłszy gorące czoło o szybę, stał bez myśli.

Tymczasem zebrani opuszczali gościnne progi mieszkania, użyczonego na odczyt. Co parę minut wychodziło po kilka osób, ażeby nie zwrócić uwagi policyi. W szczupłym przedpokoju był tłok straszny. Studenci wyszukiwali swych paltotów, czapek i kaloszków, zwalonych na kupy. Słyszać było głośne śmiechy i żarty. Janek, który nie śpieszył z opuszczeniem mieszkania, prawie ostatni dostał się do przedpokoju, skąd właśnie wychodziła reszta zebranych. Pamiętał, że zawiesił był swój paltot w kącie, więc skierował się wprost w tę stronę, choć było prawie zupełnie ciemno, gdyż służąca z lampką wyszła była właśnie na schody, świecąc jakiejś staruszce. Ale, zanim dotarł do owego kąta, o mało nie wpadł na jakąś postać schyloną.

— Nie macie, kolego, przypadkiem zapalniczki? — dał się słyszeć głos kobiety. — Nie mogę w żaden sposób odnaleźć drugiego kalosza.

Janek poznał po głosie studentkę, która mówiła ostatnia. Sięgnął do kieszeni, wydobyl pudełko zapalek i dopomógł dziewczynie znaleźć kalosz.

Wyszli razem. W bramie Janek chciał się pożegnać ze studentką, ale zauważył, że i ona zmierza w tym samym kierunku, co i on.

— Ja mieszkam na Jekaterynhofskim, więc muszę iść tędy — rzekła dziewczyna.

— Ja również... jeśli pani pozwoli, to pójdziemy razem... Dość już późno.

— O, ja się nie boję, ale kiedy sasiadujemy, to dla czegoż nie mielibyśmy iść razem?

Janek i cieszył się i był zakłopotany, nie wiedząc, o czym mówić. Szli więc czas jakiś, milcząc.

— Kolega chyba niedawno w Pitrze? — zagadnęła wreszcie studentka.

— Tak, dopiero pierwszy rok... Jestem na przyrodzie... Przyjechałem właśnie przed tygodniem... z Litwy...

— No, to w porównaniu z wami ze mnie już stara studentka. Od dwóch lat jestem „bestużewką“ \*). Za dwa lata skończę i wracam do Warszawy. Jestem Warszawianką rodowitą, ale mam krewnych na Litwie, w Prużańskim.

---

\*) Słuchaczką wyższych kursów żeńskich Bestużewa.

Pomału nawiązała się swobodna pogawędka. Janek opowiadał o stosunkach na Litwie, jego towarzyszka zarzucała go pytaniami, potem mówiła o młodzieży warszawskiej. Jankowi zdawało się, że to dopiero kilka chwil minęło, kiedy studentka nagle zatrzymała się, mówiąc:

— Otóż jestem w domu... Dziękuję za towarzystwo!

Janek zdjął czapkę i, podając studentce rękę, bąknął:

— Pacewicz...

— Ach, prawda, nie zostaliśmy sobie wzajemnie przedstawieni — zaśmiała się studentka. — Nazywam się Marya Sokólska.

Mocno uścisnęła rękę Janka i znikła w bramie, którą jej otworzył ziewający „dwornik“.

Janek nie pomyślał o śnie. Zawrócił i szybkimi krokami podążył w kierunku Newy. Wrażenia tego wieczora tłoczyły się bezładnie w jego mózgu. Treść odczytu, argumentacja poszczególnych mówców, urywki rozmów studentów — wszystko to tkwiło mu żywo w pamięci, a ponad tem wszystkim królowała postać Sokólskiej, której głos wciąż dzwijał mu w uszach.

Wkrótce stanął nad Newą. Chłodny wiatr dął od strony Bałtyku, ale Janek nie odczuwał chłodu. Oparł się łokciami o granit wybrzeża i patrzył w dół, gdzie spienione bałwany wzburzonej rzeki rozbijały się o mur ocebrowania. Od czasu do czasu na czarnej

powierzchni Newy zjawiało się nagle światło wątej łódczyny przewoźnika, które to ginęło, to znowu wynurzało się z ciemności. Janek śledził je wzrokiem, wciąż myśląc o Sokólskiej.





## II.

### PRZYJACIÓŁKI.

— Andziu, wstawaj że nareszcie! Już wpół do dziesiątej — mówiła głosem zniecierpliwionym Sokólska, stając po raz niewiadomo który około łóżka swojej koleżanki — Andzi Zaborowskiej — z zegarkiem w ręku.

— Moja Maniu, ty mnie zwodzisz... Przecież jeszcze z pewnością dziesiątej niema...

— Ależ patrz, śpiochu, patrz — masz tu zegarek...

— Jeszcze kwadransik, jeszcze dziesięć minut... Nie masz wyobrażenia, jak mi się spać chce! No, jeszcze dziesięć minut, moja ty złota, brylantowa, szmaragdowa, rubinowa!

— Ani minuty! O dziesiątej przyjdzie Trawiński.

— Ależ spóźni się, jak zwykle, napewno się spóźni i ja zdążę się jeszcze ubrać, tylko pozwól mi choć pięć minut poleżeć — błagała płaczliwym głosem koleżankę Andzia.

— Nie, nie! Musisz zaraz wstawać...



— E, nudna jesteś jak lukrecya — mruknęła Andzia i, porwawszy gniewnym ruchem pończochy ze stojącego przy łóżku krzeselka, zaczęła je szybko wciągać.

— No, to już dobrze — rzekła Sokólska i zabrała się do porządkowania rozrzuconej na stole kupy książek.

Po chwili z za parawanika dał się słyszeć plusk wody, a niebawem stamtąd wyszła Andzia, kończąc wycierać twarz i szyję kosmatym ręcznikiem.

— Niech ci tego Bozia nie pamięta, żeś mię z łóżka ściągnęła. Zobaczysz, że się kiedy zemszczę — mówiła, szybko się ubierając.

Do pokoju weszła pokojówka, niosąc parujący samowar i szeleszcząc wykrochmaloną spódnicą. Studentki spożyły skromne śniadanie i zabrały się do robienia porządków w dużym pokoju, który wynajmowały do spółki.

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— To pewnie Trawiński — rzekła Andzia.

Istotnie, zapukano do drzwi i na progu pokoju studentek ukazał się słuszny student w mundurze medyka, brunet, silnie zarosnięty. Przywitał się z Andzią, potem z Sokólską i usiadł w fotelu.

— No, opowiadajcie, co tam było wczoraj? — zagadnęła Sokólska.

— Nic ciekawego! Zebrało się coś ze trzydziestu pierwszokursistów. Wacek gadał. Wszyscy przystąpili do „Koła Oświaty“. Podzieliliśmy chłopców na kółka. Od niedzieli

rozpoczną się zajęcia kółkowe. A u was co słyszeć?

— Zaprosiłyśmy wszystkie bestużewki-Polki. Nie dużo ich jest w tym roku. Zaledwie jedenaście. Parę prawie zupełnie zrusyfikowanych. Królewianka jedna, inne z Białej Rusi, z Krymu, dwie tutejsze — z pensyi św. Katarzyny. Nie wiem, czy co będzie z tego materiału. Do kasy przystąpiły wszystkie, do „Koła Oświaty“ cztery. Reszta się ociaga. Rozpytywały mnie i Szumską o charakter organizacyi, o jej cele. Wogóle czułam się zupełnie jakoś nie swojsko.

— A panna Andzia naturalnie nie była na zebraniu? — spytał, uśmiechając się, Trawiński.

— „Naturalnie“ nie byłam. Mam coś lepszego do roboty. Zgadnijcie, gdzie byłam, com robiła wczoraj? Nigdy nie zgadniecie! Byłam za Narwską rogatką, na Putiłowce\*), u robociarzy, których sama odkryłam. A co, dziwicie się? Było to tak. Jedziemy tu kiedyś po Fontance parowcem z Eichornówną i terkoczemy na głos o różnych różnościach. A obok nas siedzi kobieta, dość młoda jeszcze, ale jakaś blada, wynędzniała. Koło niej kręci się chłopak — taki ładny dzieciak o pucołowatej buzi. Może miał lat siedm, a może

---

\*) Wielka fabryka Putiłowska, przez Polaków zwana „Putiłówką“.

i tego nie. Słyszę jak mówi do owej kobiety cichutko :

— Mamo, po polsku rozmawiają... Może z Warszawy...

— Ja więc zaraz pytam kobiety, skąd, jak długo jest w Pitrze, i dowiaduję się, że przyjechała z mężem i synkiem z Warszawy. Mąż jej jest ślusarzem i pracuje na Putiłowce. Zarabia nieźle, ale cni im się bardzo na obczyźnie i radziby co prędzej powracać do Warszawy. Tylko, że teraz to jeszcze niemożliwe i że dwa lata muszą tu pozostać. Zaraz mi też przyszła myśl do głowy, czyby nie skorzystać z tej znajomości. Dzieciak mi się ogromnie spodobał: taki miły, żywy, bystry. A i kobieta bardzo sympatyczna. Pytam więc, czyby nie chciała, aby się jej Władek uczył po polsku? Ucieszyła się kobiecina ogromnie. Mówię tedy, że dałoby się to zrobić, gdyby dobrać komplecik z 5—6 dzieciaków. Nauczycielka mogłaby przyjeżdżać codziennie, chodzi tylko o odpowiednie mieszkanie. Tak tedy umówiliśmy się, że wybiorę się do nich, rozpatrzę się w sytuacji i zobaczę, jak trzeba się będzie urządzić. Otóż właśnie wczoraj byłam u nich. Zastałam i męża. Inteligentny facet, tylko trochę ospały jakiś. Mieszkają na uboczu, w domku, doskonale nadającym się na szkółkę. Komplecik zebrać łatwo — obiecali mi oboje zakrzętnąć się koło tego. Na Putiłowce przecież moc Polaków. A co? Czy nie z większą korzyścią od

was spędziłam wieczór wczorajszy? Będzie nowa szkółka — już czwarta, a potem piąta, szósta, siódma i te de i te de...

— Ileż wy tych szkółek chcecie założyć? Setkę? Dwie? — spytał Trawiński.

— Ile się tylko da! I założę — nie potrzebujecie ironizować.

— Ależ ja nie ironizuję wcale!

— Tylko się nie wypierajcie! Wiem przecież, z jaką pogardą traktujecie pracę kulturalną.

— Skądżeż z pogardą? Panno Andziu?

— Niby ja nie wiem?! A coście mówili na wieczorynce górników? Co? — wołała zapalczywie dziewczyna.

— Moi drodzy, nie kłóćcie się! — mitygowała Sokólska.

— To panna Andzia na mnie napada, ja się tylko bronię. Spójrzcie, koleżanko, na nią, zaraz się rzuci na mnie z pazurkami.

— Et, co się mam irytować! Ja się z wami nigdy nie zgodzę. Wolę moją pogardy godną pracę kulturalną od wszystkich waszych niebotycznych projektów reformatorskich. No, ale na mnie czas już, muszę iść na wykład. Będiesz, Maniu, w „kuchni“?

— Będę.

— No, to się spotkamy! Pa-a! Pa!

Wzięła kapelusz z etażerki i szybko wybiegła z pokoju. Po chwili dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami, prowadzącymi na schody.

— Zawzięta kulturniczka! — zauważył Trawiński. — Ale ma temperament niewiasta!

— Dzielny z niej będzie człowiek — rzekła Sokólska. — Trochę to jeszcze pstro ma w głowie, ale wyrobi się, nie wątpię.

— Teoretycznych podstaw brak jej — mówił Trawiński. — Wiecie, mam pomysł. Do kółka, które ma zajmować się ekonomią, brak piątego członka. Możebyście namówili koleżankę Zaborowską? Bardzoby się to jej przydało. Co?

— Spróbuję... Istotnie, wyszłoby to jej na użytek. A kto należy do tego kółka?

— Sami młodzi, nie znacie ich chyba jeszcze: Proksz, Śliwicki, Kufner i Pacewicz.

— Pacewicz? Czy to „uniwersant“?

— Tak, zdaje się, przyrodnik. Wszyscy z uniwersytetu z wyjątkiem Kufnera — medyka. A znacie Pacewicza?

— Raz z nim rozmawiałem. Sympatyczny chłopiec. Poważny, nie głupi, zdaje się. No, ale czas już zabrać się do roboty. Przynieśliście dokument?

— Przyniosłem.

Trawiński wydobył z zanadru kilka w czworo złożonych arkuszy papieru, zapisanego bujnem pismem, i począł dyktować Sokólskiej tekst rosyjski jakiegoś poufnego memoriału ministeryalnego.

— Ucieszą się nasi w Londynie, otrzy-

mawszy taki smakołyk — rzekła studentka, szybko przesuając piórem po papierze.

— Byczy będzie efekt, jak się to w „Przedświcie“ zjawi — zauważył Trawiński — ale musimy śpieszyć. Oryginał dziś jeszcze ma być zwrócony.

— No, to dyktujcie prędzej.

I z pod pióra dziewczyny jeszcze szybciej poczęły się wymykać równe szeregi drobniutkich literek.



### III.

## U SOKÓLSKIEJ.

Janek szybko aklimatyzował się w Petersburgu. Chodził dość pilnie na wykłady, był parę razy w teatrze polskim, wpadał na gazety do „babcji“, przesiadywał godzinami w Bibliotece publicznej, ale przedewszystkiem wciągnął się w życie studenteryi polskiej. Poznał mnóstwo kolegów w „kuchni“ studenckiej, a wejście do „Koła Oświaty“ zbliżyło go z najbardziej ideowo usposobioną młodzieżą. Regularnie uczęszczał na posiedzenia kółka, studyjującego ekonomię polityczną, wypożyczył sobie z tajnej biblioteki studenckiej „Ruch społeczny“ Limanowskiego i czytywał go późno w noc z ogromnem zainteresowaniem. Lektura ta roztoczyła przed nim nowe horyzonty i pchała go do bliższego zapoznania się z socjalizmem.

Sam wyraz „socjalizm“ miał dla niego coś tajemniczo-pociągającego jeszcze z czasów gimnazjalnych. Kojarzył się w jego umyśle



z hukiem bomb pękających, ze skrzypem szubienic, z okropnościami lochów twierdzy Piotra i Pawła — jednym słowem z całą tą walką podziemną, której odgłosy dochodziły na Litwę, budząc w młodych duszach gimnazystów-Polaków jakieś uczucie niezdecydowane. Była to walka z rządem znienawidzonym, a więc już przez to samo sympatyczna. Ale znowuż jej cele tak daleko odbiegały od tego, za czem tęskniono w rodzinach takich Janków, że wywoływała coś jakby niechęć. Socjalizm uważany był za coś wyłącznie rosyjskiego, a Polaka, który szedł w szeregi socjalistyczne, traktowano jako straconego dla polskości, jako renegata niemal.

I Janek był niepomału zdziwiony, dowiedziawszy się w Petersburgu, że istnieje partya socjalistyczna, składająca się z samych Polaków, którzy bynajmniej nie przestawali być Polakami.

To jeszcze bardziej wzmocniło jego zainteresowanie się socjalizmem. Postanowił dotrzeć do źródła i zaopatrzyć się w wydawnictwa Polskiej Partyi Socjalistycznej.

Od kolegi z kółka, studującego ekonomię polityczną, Janek dowiedział się w wielkim sekrecie, że wydawnictw tych może dostarczyć Jachimowicz — ów chudy technolog, od którego Janek otrzymał był bilet na odczyt. Udał się więc do niego, a w dwa dni potem Jachimowicz, zjawiwszy się u Janka, wytrząsł z pod kamizelki dość sporą paczkę



i rzucił ją na łóżko, stanowiące — wraz ze stołem, krzesłem oraz paru oleograficznymi premiami „Niwy“ — całe umeblowanie apartamentu pierwszokursisty.

Janek przeczytał jednym tchem prawie przyniesione przez Jachimowicza broszury i numery pism. Zaniedbał nawet nieco wykładów, wychodząc z domu jedynie na obiad i na korepetycyę. Późno w noc ślęczał z rozpłomienioną twarzą nad bibułą socjalistyczną i nigdy jeszcze żadna książka nie wywarła na nim takiego wrażenia jak te drobne broszurki i artykuły „Przedświtu“ i „Robotnika“.

Argumenty, jakie spotykał w tych wydawnictwach, dziwnie trafiały mu do przekonania. Hasła walki z uciskiem roznamiętniały go niepomału. Zrywał się nieraz podniecony i dużymi krokami chodził wzdłuż swego wąskiego pokoika. Proces „Proletaryatu“ poruszył go potężnie, a ofiary przemocy, idące na śmierć z okrzykiem na cześć rewolucyi, wciąż stawały mu w oczach. Jasne, energiczne, konsekwentne, nic nie obwijające w bawełnę wywody, które spotykał w tej nowej dla siebie literaturze, wydawały mu się tak pociągającymi, że odrazu przylgnął do socjalizmu całym sercem.

Grunt, co prawda, był zupełnie przygotowany.

Pod wpływem atmosfery, panującej w domu, Janek wychował się na gorąco kochającego Polskę ludowca. Tradycyę rodzinne, niesły-

chany ucisk, panujący na Litwie i smagający skorpionami już dzieci, wyrobiły w nim żarzącą się w głębi duszy nienawiść do ucisku moskiewskiego. Był więc demokratą i patriotą, gotowym walczyć o Polskę z Moskałami do upadłego. Ale i patryotyzm ten i demokracizm były jakieś mgliste, nieokreślone.

Dopiero literatura socjalistyczna otworzyła mu oczy i nadała jego uczuciom politycznym kierunek wyraźny. Polska niepodległa, zdobyta przez sam lud w interesach tego ludu — hasło to stało się jego hasłem, choć jeszcze niezbyt dobrze zdawał sobie sprawę z istoty walki klasowej i wogóle z ekonomicznej strony socjalizmu. A chłopci jego dawnych marzeń demokratycznych wciąż jeszcze wysuwali się na plan pierwszy, choć począł rozumieć zadania rewolucyjne proletariatu. Stał się socjalistą z uczucia, zanim jeszcze dokładnie zrozumiał zasady socjalizmu.

Energicznie jednak zabrał się do ugruntuowania nabytych przekonań. Powypożyczał stosy książek polskich i rosyjskich, studiował ekonomię i historię i całe wieczory spędzał w Bibliotece publicznej, wertując pisma.

Jakoś raz Janek czytał z wielkiem zajęciem artykuł Krzywickiego w „Prawdzie“. Było już po ósmej i olbrzymia sala Biblioteki publicznej, mieszcząca czytelnię, powoli się opróżniała. Janek skończył czytać i chciał już iść do domu, kiedy nagle spostrzegł przy jednym z pierwszych stołów pochyloną nad książką

ową studentkę z odczytu — Sokólską. Serce poczęło mu bić przyspieszonym tętnem.

Postanowił doczekać się chwili, kiedy studentka będzie wychodziła, i pójść z nią razem.

Spotkali się w szatni. Sokólska powitała go zdaleka lekkim skinieniem głowy, przyjaźnie uśmiechając się. Janek zbliżył się do niej i razem wyszli z Biblioteki.

— Idziecie do domu? — spytała studentka.

— Tak...

— No, to chodźmy razem, ale nałożymy drogi. Tak mi się chce przejść się Newskim prospektem. Patrzcie co za ruch, ile światła!

Przeszli na drugą stronę, przemykając się wśród dorożek, które pędziły w obydwóch kierunkach, i wpadli w falę publiczności, wypełniającą połowę olbrzymio szerokiego chodnika. Fala ta poniosła ich wzdłuż zalanej światłem elektrycznym ulicy. Posuwali się naprzód powoli, najzupełniej uzależnieni od otaczającego ich zewsząd tłumu.

— Nie znoszę Petersburga — mówiła Sokólska — ale Newski z jego ruchem i światłem zawsze mię nęci. Lubię też Newę. Wspaniała rzeka! Zwłaszcza, kiedy już wszystkie wyspy zazielenieją. Urządzamy czasem wyprawę na łódkach... Umiecie wiosłować?

— Umiem...

— No, to doświadczyć tej przyjemności na wiosnę. Teraz to już za chłodno. Wkrótce Newa stanie. Zresztą niema już łódek do wynajęcia — posprzątano je na zimę.

Janek słuchał dziewczyny i sam dźwięk jej głosu sprawiał mu niewysłowioną przyjemność.

Z początku mówiła głównie Sokólska. Janek tylko odpowiadał na zapytania. Ale powoli przewyciężył nieśmiałość i zaczął opowiadać o swych wrażeniach petersburskich. Czuł dziwne zaufanie do studentki i gotów był zwierzyć się jej z najtajniejszych swych myśli. Domyślał się w niej socjalistki, zresztą utwierdzały go w tem i słowa Sokólskiej podczas owej dyskusyi po odczycie. Rozumiał już teraz zupełnie dobrze, na czem polegał antagonizm zabierającej głos studenteryi do wywodów prelegenta i świadomie podzielał zarzuty, stawiane mu przez Sokólską. Stopniowo tedy od wrażeń osobistych i spostrzeżeń życiowych przeszedł, rozmawiając z Sokólską, do idei, która całkowicie zawładnęła jego umysłem.

Wydobyli się z tłumu i skręcili w jedną z bocznych ulic. Szli wzdłuż wybrzeża Mojki, gdzie ich tylko zrzadka wymijali przechodnie. Pozwalało to im rozmawiać, nie krępując się zupełnie.

— Dopiero tu, w Pitrze — mówił Janek — zrozumiałem, jak śmiesznie dziecinne były moje marzenia o przyszłości. Śmiać mi się chce teraz na samą myśl o fantazyjach, które mi się jeszcze tak niedawno po głowie snuły. Dziś zupełnie inaczej zapatruję się na życie i własną przyszłość...

— Wiecie, że i w mojem życiu Piter takąż samą rolę odegrał — zauważyła Sokólska. Przyjechałam tu, o niczem pojęcia nie mając. I tu dopiero poczęłam coraz szerzej otwierać oczy na rozmaite zjawiska, samego istnienia których nie podejrzewałam. Przyznam się jednak, że wyzbywanie się przesądów i uprzedzeń szło nie bez oporu. U nas w domu panowały stosunki „zierlich-manierlich“. „Nobliwość“ przedewszystkiem. Żadnych ekscesów! Byłyśmy patryotkami, lecz nasz patryotyzm polegał na wymyślaniu Moskałom w swoim kółku i tem się wszystko kończyło. Ale na pensyi miałyśmy nauczycielkę, która wywarła na mnie wpływ ogromny. Istota ułonna, słabowita, ale entuzjastka nadzwyczajna. Rozbudzała w nas przedewszystkiem pociąg do wiedzy i chęć pracowania dla społeczeństwa. Jej to zawdzięczam, żem się zbuntowała i ku niesłychanemu zgorszeniu macochy i ciotek wyrwałam się do Pitra na studia. Wyprawiano mię tu z taką rozpaczą, jakgdybym się wybierała balonem do bieguna północnego. Wpadłam odrazu w życie studenckie, które mię początkowo mocno raziło. Ten brak form, ta poufałość! Powoli jednak naginałam się do pojęć i zwyczajów, panujących w tym światku, a jednocześnie przejmowałam się poglądami, które zburzyły resztki wyniesionych z domu dogmatów... Ale, otóż jesteśmy już u celu. Wiecie co, chodźcie do nas na herbatę. Pewnie zasta-

niemy kogoś, bo miało dziś zejść się parę facetów.

— Bardzo chętnie — rzekł Janek — ale czy to nie za późno?

— Co, za późno? Jeszcze wpół do dziesiątej niema. Nie znacie widać zwyczajów peterskich. Tu się i o dziesiątej i o jedenastej wpada z wizytą, zwłaszcza po teatrze. Chodźcie!

W pokoju, zamieszkanym przez Sokólską i jej koleżankę, panował gwar ożywionej rozmowy, nad którym królował doniosły głos panny Andzi, zaprzeczającej czemuś z wielkim przejęciem.

— Co? Znowu Andzia kłóci się z Trawińskim?! — zawołała Sokólska, stając na progu i tragicznie załamując ręce.

— Kiedy ty nie masz pojęcia, co ten człowiek wygaduje. Posłuchaj tylko, moja złota...

— Przedewszystkiem daj nam herbaty i coś przegryźć. Jestem głodna jak wilk, a sędzę, że i kolega Pacewicz też.

Tu dopiero całe towarzystwo zwróciło uwagę na obecność Janka, który wsunął się do pokoju za Sokólską.

— A, kolega Pacewicz! Witajcie! — rzekła Zaborowska, podając mu rękę. — Zdaje mi się, że nie ze wszystkimi znacie się. No, to się zapoznajcie...

Janek ścisnął po kolei ręce obecnych, którzy mu wymieniali swe nazwiska. Nie znał, z wyjątkiem Trawińskiego, nikogo osobiście,

ale prawie wszystkich widywał już nie raz, głównie w „kuchni“ studenckiej.

Dokoła wysuniętego na środek pokoju stołu, zastawionego szklankami z herbatą i dwoma talerzami z kiełbasą oraz koszem z bułkami, siedziało, oprócz Zaborowskiej, czterech studentów. W jednym z nich, medyku Kolskim, Janek poznał mówcę z wieczora odczytowego — tego samego, który przemawiał pierwszy, zaraz po prelegencie. Tuż obok niego siedział technolog o wesołej twarzy, zupełnie łyśy — Wacek Kiełza. Janek znał go z zebrania pierwszokursistów, na którym łyśy technolog wyjaśniał cele „Koła Oświaty“. Nazwiska górnika, który usunął się na brzeg zajmowanego przez siebie kosza i w ten sposób zrobił Jankowi miejsce, Janek nie dośłyszał.

Nowoprzybyłym dano po szklance herbaty.

— Wyście z Litwy, nieprawdaż? — spytał Janka Kiełza.

— Tak. A właściwie to z Białej Rusi. Skończyłem gimnazjum w B.

— Należeliście tam do jakich kółek?

— Nas, Polaków, było bardzo mało, w siódmej dziewięciu, w ósmej klasie tylko sześciu. Mieliśmy kółko, w którym uczyliśmy się historii polskiej i literatury. Dawniej — gimnaziści-Polacy należeli do rosyjskich kółek, ale za moich czasów to się już nie praktykowało...

— Patrzenie, nacyonalistyczny separatyzm



i was już zaraził — zauważył Trawiński. Ktoby się był tego spodziewał — i to jeszcze na rdzennie rosyjskiej od wieków Litwie!...

— A propos separatyzmu — przerwała mu Sokólska. — Wiecie, co mi powiedziała wczoraj jedna z naszych radykałek bestużewskich — facetka bardzo sympatyczna skądinąd. Mówiliśmy o programie P. P. S. — Niepodległość Polski — powiada — jest to cel niewątpliwie sympatyczny. Ale Polacy — mówi — nie powinni doń dążyć, ponieważ, odrywając się od Rosyi, pozbawią ją najbardziej rozwiniętego pod względem kapitalistycznym kraju, najpostępowszej prowincyi, i tem przyniosą szkodę wspólnej sprawie. Wy — powiada — posiadacie wysoko rozwinięty ruch robotniczy, u nas on się dopiero rodzi. Odrywając od Rosyi Polskę, zmniejszycie w Rosyi sumę żywiółów socjalistycznych, wobec czego wasz separatyzm jest szkodliwy i należy go zalczać.

— E, to jeszcze nic! Słyszałem ja i jeszcze mędrsze zarzuty — rzekł siedzący obok Janka górnik. — Czasem to się wprost zdaje, że ci radykali, sądzący o kwestyach społecznych na podstawie Marksa, o sprawie polskiej i wogóle narodowościowej nic a nic nie wiedzą poza tem, czego się dowiedzieli z Kłowajskiego i „Nowego Wremieni“.

— Bo też tak jest w istocie. Dla rosyjskiej prasy postępowej kwestya narodowościowa nie istnieje, zwłaszcza dla radykalniejszego odłamu tej prasy. To też student



rosyjski, wychowujący się na tej prasie, otrząskany jest z kwestyami ekonomicznymi i społecznymi. I wszelkie herezye w tej dziedzinie, wypowiedane przez reakcyonistów, potrafi skrytykować. Ale wobec takich samych herezyj w kwestyi polskiej czy jakiej innej tegoż rodzaju stoi on zupełnie bezradny, bo niema żadnego kryterium dla oddzielenia i odróżnienia jawnego kłamstwa od prawdziwych faktów — mówił Kolski.

— Trzeba też wziąć pod uwagę, że Rosyanin przeciętny nie ma żadnego pojęcia o tem, co się u nas dzieje — dorzucił Kiełza. — Rozmawiałem niedawno z jedną literatką rosyjską, bardzo wykształconą niewiastą. Dziwiła się i oburzała się ogromnie, dowiedziawszy się odemnie, że w gimnazyach w Królestwie wykłada się nie po polsku. „Kakoje warwarstwo!“ — mówiła, zupełnie szczerze oburzając się.

Długo jeszcze bawiono się ignorancją Rosyan co do stosunków polskich, aż wreszcie Trawiński zawołał:

— Patrzcie, panna Andzia rozpaczliwie ziewa, chodźmy do domów, bo już późno, zaraz dwunasta.

Zaborowska pokazała mu koniuszek języka, ale wszyscy obecni studenci podnieśli się jak na komendę i poczęli się żegnać ze studentkami. W pięć minut potem wszyscy opuszczali ich mieszkanie, świecąc sobie zapalnikami na ciemnych schodach.

#### IV.

### MIŁOŚĆ.

— No, jeśli tak dalej pójdzie, to trzeba będzie chyba nasze kółko zwinąć — mówił z widoczną irytacją Proksz, leżąc na sofce w swym dość obszernym pokoju na Sierpu-chowskiej.

— Może i macie słuszość — potwierdził Janek, przechadzając się z kąta w kąt.

— Dyabli wiedzą co! Przeszłego piątku nie było Zaborowskiej i Kufnera, dziś i Śli-wicki nie przyszedł — ciągnął dalej Proksz, patrząc w jeden punkt sufitu.

— Widziałem dziś Śliwickiego w „kuchni“. Mówił, że przyjdzie napewno.

Proksz spuścił nogi na ziemię, usiadł i gwi-zdał jakiegoś marsza w ciągu chwil paru. Potem umilkł.

— Wiecie — przerwał milczenie Janek — że mnie te nasze zajęcia kółkowe nic zu-pełnie nie dają. Zbieramy się już od dwóch i pół miesięcy i przeczytaliśmy coś z 80 stron

„Nauk ekonomicznych Marksa“. Tymczasem ja zdążyłem w ciągu tych dwóch i pół miesięcy przeczytać sam sporo książek, zaznajomić się z niejedną sprawą, o której nie miałem przedtem pojęcia. Ot, marnuje się czas poprostu...

— Zupełna racya! — zawołał Proksz. — Absolutnie nie rozumiem, poco się mamy zbierać aż w pięciu, żeby czytać tego nieszczęsnego Kautsky'ego, kiedy go sobie każdy z nas potrafi sam przeczytać, i to daleko prędzej. Więc zgadzacie się na zaprzestanie tej rozrywki? Bo ja ani myślę więcej czasu tracić na nią...

— Zgadzam się zupełnie — odpowiedział Janek.

— No, to zawiadomimy resztę członków kółka, że — „schluss“ i basta!

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Pewnie Śliwicki — rzekł, nasłuchując, Proksz.

Nie był to jednak Śliwicki. Dały się słyszeć szybkie kroki, potem energiczne pukanie i, zanim jeszcze Proksz zdążył zerwać się z sofki, do pokoju wpadła zdyszana Zaborowska.

— Zdaje mi się, żem się nie spóźniła — zawołała, witając się z Jankiem i Prokszem.

— Przeciwnie, spóźniliście się — odparł Proksz — ale to nic nie szkodzi, bo właśnie przed chwilą postanowiliśmy z Pacewiczem zrobić zamach stanu.

— Co to znaczy? — spytała studentka, patrząc kolejno to na jednego, to na drugiego z pierwszokursistów.

— Znaczy to: „schluss“ i basta. Nie będzie więcej Kautsky'ego, nie będzie ekonomii, nie będzie opóźnień, bo nie będzie zebrań kółka... — mówił Proksz.

— Jakto?!

— Przyszliśmy do przekonania, że to jest strata czasu i chcemy zwinąć kółko — dorzucił Janek.

— Najświętsza prawda! Złote słowa, zasługujące na wykucie w marmurze! — krzyknęła panna Andzia, klaszcząc w dłonie. Ale to się Trawiński będzie złościł! Ojej!

— Dlaczego Trawiński? — zagadnął Janek.

— No, bo to jego pomysł całe to kółko. Nie wiecie, że on jest mentorem młodzieży polskiej, która gnuśniałaby w ciemnocie i tonęłaby w błędach i przesądach, gdyby nie on.

Obydwaj studenci przyjęli śmiechem tę charakterystykę.

— I Trawiński i Kielza i inni faceci ze starszych kursów wciąż by nam chcieli mentować — to prawda; macie, koleżanko, zupełną rację. Ja też nie zaprzeczam, że musimy się przedewszystkiem podkształcić, aby coś poważnego robić. Ale przecież takie ustawiczne obkuwanie się dość już w budzie chyba się może sprzykrzyć, żeby jeszcze po tem zawracać sobie niem głowę w kółku.

Chciałoby się coś zrobić na prawdę — mówił Proksz.

— Prawdę powiedziawszy, to co my tu w Petersburgu możemy zrobić? Od kraju jesteśmy oderwani, a tutejszy grunt zupełnie nam jest obcy — zauważył Janek.

— No tak, dlatego też czasem człowieka dyabli biorą — odparł Proksz. Ale coś przecieby się znalazło. Ot naprzykład koleżanka Zaborowska ma swoje szkółki, Ejchornówna zajmuje się pomocą więzienną... Doprawdy, te niewiasty szczęśliwsze są od nas, łatwiej znajdują sobie pole działalności...

— Bo nie marzymy zaraz o rzeczach kolosalnych — przerwała mu Zaborowska. — Mnie osobiście sprawa szkólek zupełnie zadawalnia, choć inni zapatrują się na tę robotę jak na coś pogardy godnego. A Ejchornówna — ta dopiero ma prawdziwą frajdę. Wspaniałości opowiada ze swej praktyki więziennej. Wyobraźcie sobie, co ona zrobiła tu kiedyś w „Krestach“ na „widzeniu“... Dała oficerowi łapówkę, ale wiecie ile? Zgadnijcie... Rubla!

— I wziął? — spytał zdumiony Janek.

— Wziął! Skonfundował się podobno trochę, ale wziął.

— No, ale i śmiałości trzeba, żeby dać oficerowi rubla — zdziwił się Proksz.

— O, śmiałości Ejchornównie nigdy nie zabraknie. Prostu jest bezczelna. W przeszłym roku odwiedzała faceta, który był ska-

zany na 10 miesięcy. Naturalnie udawała narzeczoną. Faceta wysłano na Sybir gdzieś na wiosnę. Teraz chodzi — znowuż jako narieczona — do innego więźnia. Żandarmi jej pytają, drwiąco, czy tamten, przeszłoroczny, narieczony ją zdradził? Ona sobie z tego nic nie robi i odpowiada, że bardzo zmienny gust ma. W tym roku w „Krestach“ tylko dwóch Polaków siedzi. Szkoda! Chciałam chodzić na „widzenia“ i prosiłam nawet, aby mi Szumska swego „narzeczonego“ odstąpiła. Powiada, że nie może... A, otóż i Śliwicki. Ładnie! Ładnie tak późnić się!

— Przepraszam, ale wcześniej w żaden sposób nie mogłem — mówił nowo przybyły student, witając się ze wszystkimi.

Zakomunikowano mu natychmiast, że kółko się rozwiązuje.

— Macie co przeciwko temu? — spytał Proksz.

— Nic a nic. Zresztą to się zupełnie dobrze składa. Zamiast czytania Kautsky'ego zaproponuję wam plan pewnej roboty.

— No, no? — zawołała zaciekawiona Zaborowska.

— Zaraz, dajcie mi tylko chwilkę odpocząć, bo pędzę z Bazylówki i zmachałem się setnie.

Śliwicki usiadł na sofce, zapalił papierosa i, zaciągnąwszy się parę razy, przystąpił do wyłożenia swego planu.

— Wiecie — mówił — że mam młodszego

brata w gimnazjum, tu w Pitrze. Otóż on na własną rękę zakrzętnął się koło sztubaków i utworzył kółko polskie, centralne. Ma ono zawiązać stosunki ze wszystkimi sztubami peterskiemi i wytworzyć polską organizację gimnazjalną. Obecnie powstał projekt wydawania pisma hektografowanego dla sztubaków. Ma się nazywać „Iskierka“. Faceci z kółka centralnego dużo sobie po niem obiecują, ale brak im zupełnie przygotowania do takiej roboty. Otóż proponują, aby do redakcyi „Iskierki“ weszło paru studentów i pokierowało nią. Jak sądzicie, czy nie byłoby dobrze, abyśmy się tem zajęli?

— Ależ to świetny pomysł! — zawołał Proksz.

— Czy tylko potrafimy to robić? — wtrącił Janek.

— Co do mnie, to ja się do tego zupełnie nie nadaję — oświadczyła Zaborowska. — Nic sklecić nie potrafię... A wypracowania były w gimnazjum moją najsłabszą stroną...

— No, nie potrzebujecie koniecznie pisać — przerwał Proksz. — Chodzi o omawianie planu numerów, o układanie ich treści, o nadawanie pismu kierunku. Przyznam się, że byłem w swoim czasie redaktorem paru pism sztubackich. Nie macie wyobrażenia, jaka to była frajda, kiedy wychodził numer takiego „Płomienia!“

— Więc zgoda? — spytał Śliwicki. — Zabieramy się do tego? A wy, Pacewicz?



— Trzeba spróbować! — odparł Janek.

— Na mnie nie liczcie — rzekła Zaborowska. — Nic się na tem nie znam...

— Ja bym radził poprosić kogoś ze starszych kolegów, na przykład Kolskiego lub Kielzę, może byśmy otrzymali jakie wskazówki — zaproponował Janek.

— Zobaczymy. Jeśli napotkamy trudności, to można będzie ostatecznie udać się do którego z nich, zwłaszcza do Kolskiego — zgodził się Śliwicki.

— Na Kolskiego zgoda! — rzekł Proksz. — Byczy chłop! Ogromnie mi się podoba. Mądry, wykształcony, a jednak nigdy ci nie da odczuć swej przewagi. Czy to prawda, że dwa lata siedział w cytadeli?

— Prawda — odpowiedziała Zaborowska. — Aresztowano go w Warszawie, kiedy był na drugim kursie. Siedział dwa lata, potem przeniół się do Pitra.

— Za co go aresztowano? Nie wiecie? — spytał Śliwicki,

— Za agitację socjalistyczną. Mówiła mi Sokólska, która zna go z Warszawy, że w więzieniu zachowywał się wspaniale. Przyjął na siebie winę kolegi chorego, bo tamten nie zniósłby więzienia. Udało mu się go wykręcić w ten sposób, ale sam musiał dwa lata odsiedzieć. Tymczasem przeciwko niemu nie mieli żadnych dowodów i pewnieby go uwolnili po paru miesiącach.

W pokoju Proksza zapanowało na jakiś czas milczenie.

Jankowi stanęła w oczach owa scena z wieczoru odczytowego, kiedy po przemówieniu studentki Kolski nachylił się ku niej i mówił jej coś z uśmiechem. Przypomniawszy sobie, jak mu się wówczas czegoś przykro zrobiło. Teraz opanowało go toż samo uczucie, ale bardziej spotęgowane. Czemże on był wobec takiego Kolskiego, nie wahającego się dla uratowania kolegi przyjąć na siebie winę niepopelnioną i pójść na dwa lata do więzienia? Widział teraz Kolskiego obok Sokólskiej, wyróżnionego przez nią, dumnego z tego wyróżnienia, szczęśliwego, kiedy on, Janek, czuł się pogardzonym, opuszczonym, wdeptanym w ziemię.

— Co mi jest? Co mi jest? — pytał sam siebie, czując, że jeszcze chwila i gotów się rozplakać na głos. I oto naraz nowa zupełnie myśl poczęła mu mózg świdrować.

— Toż ja ją kocham! — zrozumiał nareszcie. Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia i oto dlaczego przykrem mi było zbliżenie się do niej Kolskiego, oto dlaczego serce mi tak biło, kiedy spostrzegłem ją w Bibliotece Publicznej, oto dlaczego sam dźwięk jej głosu sprawiał mi rozkosz niewysłowioną...

Zaborowska już po raz drugi pytała o coś Janka, ale on nie rozumiał, czego studentka chce od niego. Dopiero gwałtownym wysiłkiem woli otrząsnął się z natłoku myśli, ja-

kie go opanowały, i zmusił siebie do uważania na to, co się dokoła niego działo.

Umawiano się co do rozmaitych szczegółów, związanych z redagowaniem „Iskierki“. Postanowiono, że trójka studentów zbierze się z przedstawicielami koła centralnego gimnazystów i że dopiero wówczas podzieli się pracą między wszystkich, należących do grona redakcyjnego.

Janek brał udział w omawianiu tej sprawy, ale myśl jego uciekała co chwila gdzieindziej. Rad był też, kiedy wreszcie mógł opuścić mieszkanie Proksza. Pożegnał się w bramie ze Śliwickim i Zaborowską i ruszył w przeciwnym kierunku.



## V.

### O „KUCHNIĘ”.

Minęło parę tygodni od owego dnia pamiętnego, kiedy Janek uświadomił sobie, że kocha Sokólską. Widywał ją rzadko, głównie w „kuchni”. Traktowała go z obojętną uprzejmością. Rzuciła mu parę słów przyjaznych i przechodziła do rozmowy z kimś innym. Raz Janek spotkał ją, idącą z Kolskim wzdłuż Mojki. Tak byli zatopieni w rozmowie, że nawet nie zauważyli Janka, kiedy ich mijali.

— Kocha go! — myślał Janek, a przekonanie to wywoływało w nim ból prawie fizyczny. Cierpiał tem bardziej, że gniotła go zupełna świadomość przewagi Kolskiego pod każdym względem.

Starał się zdusić w sobie uczucie dla studentki, oddawał się pracy zdwojonej. Ale nic nie pomagało. Podczas wykładu przestawał słyszeć to, co mówił profesor, a w uszach mu dzwięczał głos Sokólskiej. Opracowując

artykuł do „Iskierki“, widział nagle zjawiającą się na białej karcie papieru jej twarz o głębokich, mądrych oczach. Zrywał się z krzesła, chwycił za czapkę i paltot i szedł błąkać się po ulicach olbrzymiego miasta. Dążył szybko ku Newie, zakutej obecnie w potężny pancierz lodowy, i wracał do domu, dopiero wyczerpany kilkugodzinną przechadzką.

Nadeszły ferye Bożego Narodzenia. Długi pociąg kolei warszawskiej unosił Janka na Litwę, do jego miasta rodzinnego.

Do domu Janek zajechał późnym wieczorem. Padł w objęcia matce, tłumiącej łkania radości. Całował ją po rękach i twarzy, głaskał jej mocno siwą już głowę. Wybiła druga, potem trzecia, a Janek wciąż siedział przy matce, opowiadając jej o Petersburgu, o życiu studenckiem, o idei socjalistycznej.

Wdowa uważnie słuchała wynurzeń ukochanego chłopca. Nie rozumiała socjalizmu, ale serce jej podszeptywało, że to, za co walczył i cierpiał jej Kazimierz, znajduje jakby dalsze rozwinięcie w idei, którą ukochał Janek. Czuła, że stając się socjalistą, syn jej nie sprzeniewierza się Polsce.

Zaraz nazajutrz Janek odszukał paru gimnazystów z ósmej klasy, których znał jeszcze z czasów pobytu w gimnazyum. Zeszli się wieczorem w domu pani Pacewiczowej i przywieziona przez Janka spora paczka „bibuły“ powędrowała do tajnej biblioteczki sztubackiej, istniejącej już od kilku lat w B.

Następnych dni wieczorami Janek znikał z domu i wracał zwykle późno. Matka wiedziała, co te wycieczki oznaczają, i ciężki niepokój obsiadał jej serce. Przypominała rok 61—62 i ten ruch, jaki wówczas zapanował pomiędzy młodzieżą. Odpędzała od siebie złe przeczucia, ale te się odpędzić nie dały. I, kiedy Janek w dzień Trzech Króli wyjeżdżał do Petersburga, rozpląkała się na głos, jak gdyby już nigdy swego chłopca nie miała zobaczyć.

Im bardziej zbliżał się ku Petersburgowi unoszący Janka pociąg, tem mocniej budziło się w studencie pragnienie jak najszybszego powrotu do kolegów uniwersyteckich, „kuchni“, „Iskierki“ i tego wszystkiego, co mu wypełniało życie przed Bożem Narodzeniem. Kiedy wreszcie ujrzał na horyzoncie brudną czapkę dymu, unoszącego się z fabryk petersburskich, ogarnęła go radość ogromna. Może dziś jeszcze zobaczy ją, ukochaną istotę, dla której by życie oddał, a która jest dla niego na zawsze stracona. I jakiś ból rozkoszny ścisnął mu serce, kiedy o tem pomyślał.

W parę godzin po przyjeździe Janek wpadł do „kuchni“, ale Sokólskiej tam nie zastał. Nie zastał też nikogo ze studentów, z którymi żył bliżej. Zasiadł więc do obiadu sam.

Przy sąsiednim stole siedziała spora grupa studentów, przeważnie technologów, toczących hałaśliwą rozmowę. Janek, zajęty własnymi myślami, nie zwracał na nich wcale uwagi. Ale kilka frazesów, które padły z tego



grona, zastanowiło go niepomału. Począł więc słuchać.

— Kiedy płacę dwadzieścia kop za befsztyk, to chcę mieć befsztyk, a nie jakichś tam więźniów! — wołał rudy technolog, wy-machując serwetką.

— Trzeba już raz tę gospodarkę „postępową“ ukrócić — oświadczył przysadzisty student w mundurze instytutu dróg komunikacyi.

— A jakże, ukrócisz! — rzekł drwiąco inny technolog — zagarnęli w swoje ręce wszystko i teraz rządzą się jak szare gęsi, a my się dajemy naciągać.

— A dlaczego zagarnęli rządy w „kuchni“? — pytał ospowaty elektrotechnik — dlatego, że są zorganizowani, że myśleli o tem. Wszakżeż ich jest mała garstka i, gdybyśmy chcieli oprzeć się im przy wyborach, to bardzo wątpię, czy utrzymaliby się u władzy...

— Naturalnie! — to też powtarzam, że należy już raz ukrócić gospodarkę „postępową“ — przerwał mu student instytutu dróg komunikacyi.

— A przedewszystkiem musimy zaprotestować kategorycznie przeciwko potrącaniu procentów na pomoc więźniom — znowu odezwał się pierwszy technolog.

— Bardzo słusznie — wtrącił gruby technolog, który dotychczas zachowywał milczenie. — Kto sympatyzuje z ruchem, ten niech daje na więźniów, ale żeby tak wszyst-



kich naciągać, nie pytając, to już, wybaczenie, nadużycie kompletne.

— Właśnie przeciwko nadużyciom musimy wystąpić przy wyborach i dać „postępowemu“ zarządowi kolaniem tam, skąd nogi rosną — krzyknął elektrotechnik, uderzając pięścią w stół.

— Brawo, Sieklucki! — zawołał rudy technolog i nagle wszyscy siedzący w tej grupie poczęli mówić jednocześnie, przerywając sobie wzajemnie.

Janek skończył obiad i wyszedł z „kuchni“. Szedł teraz do Proksza, który przez czas ferij nie opuszczał Petersburga. Proksza jednak nie zastał w domu. Udał się więc do Śliwickiego, ale mu powiedziano, że ten od pierwszego zmienił mieszkanie i przeniósł się niewiadomo gdzie. Janek był mocno zirytowany, kiedy wracał do siebie, na Jekaterynhofski.

Już dochodził do domu, kiedy nagle wpadł na myśl odwiedzenia Sokólskiej i Zaborowskiej. Był u nich tylko raz jeden. A i ta jedyna jedyna wizyta nie pozostawiła w nim przyjemnego wspomnienia. Musiał się wydać Sokólskiej śmiesznym tem swoim kłopotliwym milczeniem. Zwłaszcza wobec Kolskiego...

Im bardziej zbliżał się do kamienicy, w której mieszkały studentki, tem mocniej chwiał się w swem postanowieniu. Pragnął zobaczyć Sokólską, spojrzeć jej w oczy, usłyszeć dźwięk jej głosu, a jednocześnie czuł, że, zjawiwszy

się u niej tak bez żadnego powodu, będzie skrępowany i wprost jak głupiec ostatni zapomni języka w gębie.

Wreszcie był u celu. Zatrzymał się przy bramie i odczytywał bezmyślnie kartki, ogłaszające mieszkania i pokoje do wynajęcia. Po chwili jednak zachnął się wewnętrznie na swą nieśmiałość i, wszedłszy pewnym krokiem na trzecie piętro, mocno pociągnął za rączkę od dzwonka.

Otworzyła mu pokojówka. Spytał o studentki.

— W domu — odpowiedziała służąca i, zamknawszy drzwi, szybko znikła w końcu kurytarza.

Janek zdjął palto i zapukał do drzwi pokoju studentek.

— Proszę! — dał się słyszeć głos Sokólskiej.

Janek wszedł. Sokólska była sama. Stała na środku pokoju z książką w ręku. Na widok Janka przelotny wyraz pewnego zdziwienia ukazał się na jej twarzy.

— To wy? Kiedyście przyjechali? — spytała go, podając mu rękę,

— Dziś rano... To koleżanki Zaborowskiej niema w domu? — zagadnął Janek, udając, że niby o nią mu chodzi.

— Niema, ale wkrótce już powinna wrócić. Siadajcie. No, cóż tam słychać? Szczęśliwy z was człowiek, byliście w domu, kiedyśmy się tu nudziły przez święta.

Janek jął szeroko opowiadać o swym po-  
bycie w B., o założonem przez siebie kółku  
gimnazyalnem, o nastroju młodzieży, o zaco-  
faniu inteligencji polskiej na Białej Rusi.  
Sokólska siedziała w fotelu, uważnie słucha-  
jąc Janka, który patrzył jej w oczy. I samo  
to patrenie w oczy studentki napełniało go  
rozkoszą niewysłowioną. Czuł, że w tej  
chwili zupełnie od jej woli zależy, że speł-  
niłby bez namysłu każdy jej rozkaz, najbar-  
dziej nawet bezsensowny i szalony. Po głó-  
wie mu chodziła chęć wypowiedzenia się  
przed nią ze wszystkich udręczeń. Chciało  
mu się klęknąć u jej nóg i wyznać, że jest  
jej niewolnikiem, że wszystko jej gotów zło-  
żyć w ofierze, byleby mógł zawsze tak jej  
w oczy patrzeć — w głębokie, jasne oczy.

Te i tym podobne myśli wirowały mu  
w mózgu, kiedy opowiadał studentce o wra-  
żeniach, wywiezionych z B. Mówił jej z ko-  
lei o matce swojej, o tem, jak ona odczuła  
potęgę i głębię idei socyalistycznej, jak zro-  
zumiała, że można się tej idei oddać całko-  
wicie...

— Jacyście szczęśliwi — rzekła Sokólska.  
Ja matki swej nie pamiętam. Umarła, kiedy  
miałam sześć lat zaledwie. Na macochę nie  
mogę się skarżyć. Przywiązała się do mnie  
ogromnie, dbała o mnie może nie mniej od  
rodzonej matki... A jednak brakowało mi  
pieszczot matczynych i zawsze zazdrościłam  
ich innym dziewczynkom, po które matki

przychodziły na pensję. Raz, pamiętam, roz-  
płakałam się na głos, widząc, z jaką rozpa-  
czą i zarazem bezbrzeżną miłością tuliła do  
siebie matka małą dziewczynkę, którą do-  
różka przejechała. Miałam wówczas 12—13  
lat. Niestety, jakie spotkało dziecko, wzru-  
szyło mię ogromnie. Cała drżałam. A jednak,  
kiedym zobaczyła jej matkę, obsypującą ze-  
mldoną dziewczynkę pieścotami, płakałam  
z zazdrości i pragnęłam, ażeby mię przeje-  
chała doróżka, bylebym mogła doświadczyć  
takich pieścot matczynych. Wicie, że do-  
tychczas zazdroszczę ludziom matek...

Sokólska umilkła. Słysząc było cykanie bu-  
dzika, stojącego na komodzie. Milczeli tak  
oboje czas jakiś.

— Andzia wraca — rzekła naraz Sokólska,  
wysłuchując się w ciszę.

Istotnie zaraz potem dał się słyszeć dzwo-  
nek i niebawem w pokoju zjawiła się Zabo-  
rowska.

— A, Pacewicz! Jak się macie? Dobrze,  
że jesteście. Musimy omówić jedną sprawę...  
Czekajcie tylko, każę zaraz Łuszy nastawić  
samowar...

Po chwili Andzia siedziała przy stole, roz-  
cierając zeszywniałe na mrozie palce.

— W „kuchni“ gromadzi się burza nad  
naszym zarządem — poczęła dziewczyna. —  
„Pawiani“ podburzają przeciwko niemu wsze-  
laką hołotę i chcą postępowy zarząd obalić...

Tu Janek przerwał dziewczynie i opowie-

dział, co zasłyszał był tego dnia w „kuchni“ podczas obiadu.

— No, widzicie — ciągnęła dalej Zaborowska. — Otóż należy bronić zarządu i nie dopuścić do obalenia go. „Pawianów“ niema się co bać. Przedewszystkiem jest ich nie dużo, a zresztą ogół studenteryi zezem patrzy na wszystkie ich świństwa, na pijatyki i skandale, przez to znaczne bractwo urządzane. Ale oni są bezczelni i mogą oddziaływać na sporą część studenteryi, która nie sympatyzuje z postępowcami...

— Nie zapominaj — wtrąciła Sokólska — że my stanowimy mniejszość nieznaczną.

— Dlatego też trzeba wziąć się na pazury i zdobyć większość... z pomiędzy niezdecydowanych... — mówiła Zaborowska.

— Wybory na początku marca. Jestem przekonany, że, byle się tą sprawą zająć, można jeszcze udaremnić próbę „pawianów“ — rzekł Janek.

— Otóż to właśnie — zawołała Andzia. — Musimy się tą sprawą zająć. My z Manią bierzemy na siebie studentki. O starszych facetów inni się będą troszczyli. Wy musicie, razem z Prokszem, Śliwickim i innymi pierwszokursistami zająć się najmłodszymi kolegami, bo o tych najbardziej chodzi. Dobrze? Co?

— I owszem.

— Raz na tydzień, np. w piątek, przychodźcie do nas — tak o 7 wieczorem. Omó-

wimy plan kampanii i obliczymy szanse — zaproponowała Sokólska.

— Doskonale! — zgodziła się Andzia i dodała: — ale musimy prowadzić całą akcję zupełnie niezależnie od zarządu. Będzie to najpraktyczniej.



## VI.

### „BAŁAGANY“.

Mijały tygodnie. Janek pędził życie nadzwyczaj czynne. Agitacya w „kuchni“ zajmowała mu sporo czasu, pozatem nie opuszczał posiedzeń redakcyjnych „Iskierki“, chodził dość pilnie na wykłady, tak że pozostawało mu nader mało chwil wolnych, tem bardziej, że miał codziennie dwie korepetycye. Schudł nawet porządnie z powodu ustawicznej lataniny po mieście. Do Sokólskiej i Zaborowskiej wpadał co kilka dni na godzinkę. Czuł się u nich swojsko zupełnie. I dziewczęta przyzwyczały się do niego. Zaborowska zaprzyjaźniła się z nim bardzo i traktowała go z wielką serdecznością i poufałością. Andzia domyślała się poczęści, że właściwie Sokólska jest powodem tych odwiedzin studenta, ale nie dawała poznać tego po sobie, zwłaszcza Jankowi. Raz tylko oświadczyła Sokólskiej po wyjściu Janka, parskając śmiechem:

— Maniu, ty nie masz wyobrażenia, jakie



on ma głupie oczy, patrząc na ciebie, kiedy ty z kim innym mówisz i nie widzisz jego.

— Co ty znowu pleciesz? — ofuknęła ją starsza koleżanka.

— Ależ daję słowo: patrzy na ciebie jak w obraz, a oczy ma takie wniebowzięte... On się w tobie kocha, Maniu.

— Nie gadaj głupstw, moja kochana, proszę cię bardzo — rzekła dość szorstko Sokólska.

Odtąd Andzia nie dzieliła się już z nią swemi przypuszczeniami co do uczuć Janka. Nie przestawała go jednak obserwować z pod oka.

Nadeszły zapusty — szeroka „maslennica“ rosyjska. Ulice Petersburga zaroily się od „wiejek“, robiących konkurencyę dorożkarzom. Niskie saneczki Czuchoców podmiejskich, zwanych „wiejkami“, zaprężone w małe kosmate koniki, uwijały się po wszystkich ulicach, a nieprzerwany dźwięk ich dzwoneczków przyczyniał się do wytwarzania nastroju, właściwego stolicy nadnewskiej w dni zapustne.

Wykłady były przerwane. Janek przyszedł raz do studentek przed południem i zastał tam Trawińskiego, który namawiał dziewczęta do wybrania się na „bałagany“.

— Zobaczycie — mówił — jak się lud rosyjski bawi. Przecież to wstyd, żeby tak nic a nic nie znać życia petersburskiego. Smazymy się we własnym sosie w ciasnych kó-

łeczkach, jak gdybyśmy na jakiejś bezludnej wyspie mieszkali...

— Ale czy tam przynajmniej zobaczymy coś ciekawego? — pytała Sokólska.

— Ciekawego... ciekawego... Nie dość wam, że zobaczycie rzeczy, o których pojęcia nie macie. No, ubierajcie się, chodźmy!

— Dobrze, idziemy — zawołała Zaborowska — ale z warunkiem, że pojedziemy „wiejkami“.

— Ależ naturalnie! — Któżby podczas „maslennicy“ inaczej jeździł. Weźmiemy parę „wiejek“. Doskonale się złożyło, że Pacewicz przyszedł. No jazda!

Studentki się ubrały jak można najcieplej i czwórka młodzieży podążyła na „bałagany“.

Trawiński z Zaborowską wskoczyli do pierwszych spotkanych saneczek czuchońskich. Janek i Sokólska zajęli następne. Małe kosmate koniki, popędzane energicznie przez owiniętych w grube „baszłyki“ furmanów, ruszyły z kopyta. Za przykładem Trawińskiego Janek objął zwyczajem petersburskim siedzącą obok niego koleżankę w pół. Lekkie saneczki mknęły rażno, podskakując na wybojach, a śnieg, wyrzucany końskimi kopytami, zasypywał twarze siedzących w saneczkach mroźnym pyłem.

Na ulicach był ruch niezwykły. Im bardziej zbliżali się do „Marsowego pola“ — kolosalnego placu miejskiego, gdzie ogniskowały się „bałagany“, tem więcej widzieli podochoconych — robotników, chłopów, żołnierzy i na-

wet inteligentów. Pijane głosy śpiewających mieszały się z fałszywymi dźwiękami harmoniki i dzwonieniem „wiejek“.

Na Małej Sadowej był tłok niesłychany, tak, że dorożki i „wiejki“ ledwie się posuwały. Postanowiono tedy wysiąść i iść dalej na piechotę, tem bardziej, że „Pole Marsowe“ było już zupełnie blisko. Koło „Zamku inżynierskiego“, pamiętnego uduszeniem w nim cara Pawła, do uszu naszej czwórki zaczął dolatywać jakiś oryginalny zgiełk, w którym królowały dźwięki bębna. W miarę zbliżania się do „Pola Marsowego“ w zgiełku tym można było odróżnić skowyt licznych katarynek, donośne dzwonienie, urywane dźwięki kapeli wojskowych, jakieś przeraźliwe piski, krzyki roznosiciele ulicznych, od czasu do czasu gęste strzały.

Olbrzymia fala płynącego ku „bałaganom“ tłumowi niosła coraz szybciej Janka i Sokólską, przedzielonych już teraz od Trawińskiego i Zaborowskiej zwartymi zastępami „szarej“ publiczności. Wreszcie fala ta przewaliła się przez most i szeroko rozlała się po „Polu Marsowem“, łącząc się z wypełniającym je kilkudziesięcioletnim tłumem. Pomimo, że na plac nieustannie przybywały ze wszystkich stron coraz to nowe tysiące, jednakże można się było na nim poruszać zupełnie swobodnie. Obydwie pary znowu się połączyły i zapuściły się razem w głąb placu.

Szli wzdłuż szeregu ogromnych bud z bia-

łych, nie pomalowanych desek. Były to właśnie „bałagany“, mieszczące teatrzyki, w których dawano 12—15 przedstawień dziennie. Ogromne szyldy wyobrażały najbardziej efektowne sceny produkowanych tam arcydzieł, noszących przeważnie patryotyczne tytuły.

„Śmierć bohatera czyli męstwo Rosyan w 1812 roku“, „Piękna mahometanka albo bitwa Rosyan z Kabardyńcami“. „Kozak Iwan Płatow“, „Zawojowanie Chiwy“, „Anczutka bez pięty czyli jak Jarosławiec dyabła oszukał“ — brzmiały tytuły tych sztuk, wymalowane olbrzymimi literami na ścianach „bałaganów“, skąd dolatywały krzyki, śpiewy, dźwięki kapeli i ustawiczna strzelanina.

Właściciele większych „bałaganów“ nie uciekali się do wybiegów, mających ściągać forsownie publiczność do przybytków reprezentowanej przez nich sztuki. Godność „poważnych firm“ im na to nie pozwalała. Natomiast mniejsze „bałaganiki“ nie pogardzały niczem, byle zarobić jak najwięcej. To też od czasu do czasu wychodzili z nich aktorowie w fantastycznych kostyumach, ucharakteryzowani, i zapraszali gapiącą się na szyldy publiczność do wnętrza. Kłown zjawiał się na balkonie takiego teatrzyku i wydawał przerażliwe dźwięki, dmąc w olbrzymią trąbę, za co go bił po twarzy pajac, ku wielkiemu zadowoleniu tłumu, od którego co chwila odrywało się po parę osób, dążąc ku kasie.

Karuzele, młyny dyabelskie i namioty,

w których produkowali się prestidigatory, kobiety, utrzymujące na piersiach serwisy, karzelki, „ludzie gutaperkowi“ i t. d., były w oblężeniu. Ogromny tłum stał przed budą, mieszczącą jakiś specjalny rodzaj karuzeli, a zaopatrzoną w balkon, na którym pokazywał różne sztuki t. zw. „dziad“. Co chwila śmiech hałaśliwy wstrząsał tłumem.

„Dziad“, w peruce, o długiej białej przyprawnej brodzie, zachrypnięty, „odwalał“ dowcipy, zmuszające do szybkiego wycofywania się z tłumu obecne tam kobiety, opowiadał anegdoty z życia żołnierskiego, gwizdał, tańczył „trepaka“, a kiedy go to już nużyło, dowcipkował z publiczności, znęcając się zwłaszcza nad rudymi.

— O, o, patrzcie prawosławni, jaki ryży, zaraz do czyjejs kieszeni się zbliży — wrzeszczał zachrypniętym głosem, wskazując na kogoś w tłumie.

Janek, nieświadomy gatunku dowcipów „dziada“, wpakował się był w tłum, utoro-wawszy drogę koleżance, ale po paru chwilach oboje musieli zmykać, co im przyszło nie bez trudu.

Stracili tymczasem z oka Trawińskiego i Zaborowską, którzy minęli „dziada“, nie zatrzymując się przed nim. Błąkali się tedy sami wśród niezliczonych bud, straganów z piernikami i chlebem świętojańskim, worków, napełnionych orzechami i ziarnkami słonecznika, oszołomieni wrzawą i zgiełkiem

„bałaganów“. Dopiero po paru kwadransach bezowocnych poszukiwań wzajemnych obydwie pary się połączyły. Byli trochę znużeni, choć w doskonałych humorach.

Stawało się coraz chłodniej, bo zerwał się zimny wiatr i dał od strony Newy. Sokólska oświadczyła, że ma już dość „bałaganów“ i tęskni do cywilizacji.

— A ja jestem głodna jak wilk! — dodała Andzia.

Trawiński zaproponował pójść do Isakowa, na ciastka, co też zostało przyjęte powszechną aprobatą. W dwadzieścia minut potem całe towarzystwo siedziało przy stoliku, zastawionym ciastkami i czekoladą, w dużej sali kawiarni Isakowa.


Trawiński, jak zwykle, droczył się z Andzią, sprzątając jej te ciastka, które ona sobie była upatrzyła. Janek bronił przed Andzią ciastek, wybranych dla Sokólskiej. Wesołe żarty i śmiechy rozlegały się przy stoliku, zajęтым przez tę czwórkę studencką, a twarz Janka promieniała szczęściem.

Bo też czuł się dnia tego zupełnie szczęśliwym. Wycieczka na „bałagany“ rozmarzyła go i nigdy jeszcze jego serce nie rwało się tak do Sokólskiej, jak tego dnia właśnie. Od chwili, gdy nieśmiałym gościem objął jej kibić, jadąc „wiejką“, aż do powrotu z „bałaganów“, kiedy studentka szła, mocno opierając się o jego ramię, fizycznie odczuwał jej bliskość. I przekonanie, że jest dla niego



straconą na zawsze, powoli ustępowało jakieś niewyraźnej, niesformułowanej, trwożliwej nadziei. Nie nudziła się przy nim, słuchała chętnie jego uwag, śmiała się serdecznie z jego dowcipów. Widział to Janek i otucha wstępowała mu w duszę.

Tej nocy bardzo długo nie mógł zasnąć. Rozpamiętywał wszystkie momenty dnia ubiegłego. Odtwarzał rozmowę, toczoną z Sokólską, uprzytamniał sobie wyraz twarzy, z jakim słuchała jego słów, wskrzeszał sam dźwięk jej głosu i uczucie dziwnej błogości rozlewało mu się po wszystkich żyłach. W końcu zasnął, ale niebawem się obudził. Serce mu biło przyśpieszonym tętnem, a pot wystąpił na czoło. Zupełnie wyraźnie widział Kolskiego, który kocimi krokami zbliżał się do jego łóżka, trzymając coś błyszczącego w ręku. Krzyknął i widmo znikło, ale Janek nie mógł się uspokoić. Zapalił świeczkę i leżał z otwartymi oczyma, patrząc w sufit, na którym powoli poczęła się zarysowywać twarz Sokólskiej o głębokich, mądrych oczach...





## VII.

### „GRUPKA P. P. S.”

Zbliżał się termin wyboru nowego zarządu „kuchni” studenckiej. Wśród młodzieży polskiej wrzało jak w ulu. Pomimo energicznej agitacji, prowadzonej przez młodszych postępowców, szanse dawnego zarządu stały nie świetnie. „Pawianom” udało się przeciągnąć na swoją stronę mnóstwo żywiołów niezdeklarowanych. W grę weszły i ambicje osobiste. Uwidaczniało się też coraz wyraźniej, że kierunek, nieprzychylny dla postępowców, bierze górę. Wobec tego członkowie dawnego zarządu postanowili nie kandydować ponownie. Wywołało to głośne niezadowolenie wśród młodszych postępowców, którzy byli najczynniejsi w agitacji przedwyborczej. Zaborowska wymyślała członkom zarządu od oportunistów i tchórzów. Wreszcie uradzono przeprzeć dotychczasowych członków zarządu wbrew ich woli — dla samej zasady. Postanowienie to wprowadziło rozstrój w szeregi

postępowe. Sporo zwolenników dawnego zarządu nie przyszło na wybory, część członków zarządu zawahała się i cofnęła rezygnację, rezultat zaś tego był taki, że do nowego zarządu weszli sami przeciwnicy postępowców.

Zaborowska o mało nie płakała ze złości. Janek był wściekły. Przypisywali oni wraz z resztą młodszego pokolenia całą winę porażki niedołęstwu starszych. Janka zastanowiło to, że na zebranie wyborcze nie pojawili się ani Kolski, ani Trawiński, ani Kiełza, ani Szumska. Nie było i Sokólskiej. Na pytanie Janka, zdziwionego jej nieobecnością, Zaborowska mruknęła:

— Nie przyszła, jest zajęta.

Po skończonem zebraniu wyszli razem jako idący w tę samą stronę.

— Gdzież jest panna Marya? — spytał Janek.

— Świat reformuje — odparła Andzia ze złością.

Szli jakiś czas, milcząc. Janek gubił się w rozmaitych przypuszczeniach co do powodów nieobecności Sokólskiej, ale nie mógł się domyśleć niczego. Wkońcu znowu zagadnął koleżankę:

— Czy panna Marya jest w domu?

— Niema jej w domu. Jest na zebraniu „grupki“.

— Jakiej jeszcze „grupki“?

— No, jakiejże? Pepeesowej! Aj! Zdaje

się, że popełniłam wielką zbrodnię, ale mnie nie zdradzicie?!

— Choćbym chciał, to nie potrafię, bo nic nie rozumiem... Wyłomaczcie mi to jakoś wyraźniej.

— A będziecie trzymali język za zębami? Bo ja właściwie nie mam prawa nic mówić, zresztą sama więcej się domyślam, niż wiem...

— Ależ będąc milczał jak grób, jak cały cmentarz!...

— No, pamiętajcie! Otóż Mania, Trawiński, Kiełza, Kolski, Szumska i jeszcze, zdaje się, kilka osób — wszyscy oni należą do „grupki“ P. P. S. w Petersburgu. „Grupka“ utrzymuje stosunki z partią w kraju, skąd od czasu do czasu przychodzą transporty „bibuły“. Czasami z Warszawy przyjeżdża przedstawiciel centralnego komitetu. Kontroluje tu robotę „grupki“, udziela jej wskazówek, co i jak ma robić, i zabiera pieniądze, zebrane tu na partię. Widziałem ze dwa razy takiego przedstawiciela. Jest to facet „nielegalny“, rozumiecie? Żyje pod cudzem nazwiskiem, nie ma ani stałego miejsca pobytu, ani własnego mieszkania. Straszne to musi być życie! Przyjeżdża tu na krótko, zwykle siedzi i nocuje u Kolskiego. Tam też go raz zastałam. Przychodzę po książki i widzę jakiegoś faceta, nie studenta. Nie przedstawiano nas sobie wzajemnie i zauważyłam, że Kolski był czegoś zmieszany. Szybko załatwiłam interes, ale zdążyłam przyjrzeć się facetowi: miał

taką energiczną twarz, krzaczaste brwi i duże wąsy. Od Mani dowiedziałam się, że to właśnie był ów „nielegalny“. Drugi raz widziałam go jadącego doróżką. Właśnie przechodziłam koło domu, gdzie mieszka Kolski — na Woźniesieńskim. — Doróżka zatrzymała się przed bramą, facet wysiadł, nieznacznie obejrzał się poza siebie i szybko znikł w bramie. Zdaje się, że i teraz on przyjechał. Mają dziś zebranie i dlatego nikogo z „grupki“ nie było na wyborach. No, ale pamiętajcie, coście mi przyrzekli. Nikomu ani pary z ust, a zwłaszcza przed Manią się nie zdradzcie, że coś wiecie. Głowę by mi urwała.

— Aż tak dalece?

— Wy jej jeszcze nie znacie dobrze. Potrafi ona pokazać pazurki, kiedy zechce, choć jest taka łagodna i dobra zawsze. Nie radzę wam z nią zadzierać...

— Ja też ani myślę — zauważył Janek.

— Widzę! — rzekła Andzia, chichocząc.

— Co widzicie? — spytał Janek, oblewając się rumieńcem.

— Co widzę, to widzę — i kwita — odparła dziewczyna. Popełniłam jedną niedyskrecję, więc już drugiej popełniać nie myślę.

Janek się zmieszał. Czyżby Andzia domyślała się tego, co on z taką starannością ukrywał przed wszystkimi? W takim razie może i Sokólska już wie? — przemknęło mu przez myśl. Przypuszczenie to zgnębiło go zupełnie.

Szedł, nie odzywając się ani słówkiem do Andzi, która obserwowała go z pod oka.

Doszli tak aż do kamienicy, w której mieszkały obydwie koleżanki.

— Czekajcie, zobaczę, czy Mania jest już w domu. To rzekłszy, Andzia zeszła z chodnika i spojrzała ku górze. — Nie, niema jej jeszcze: ciemno u nas. Chodźcie na herbatę, zaczekamy na nią. Trzeba dla porządku wygderać ją za nieobecność na zebraniu wyborczem.

Janek się zawahał, ale chęć zobaczenia Sokólskiej przemogła.

Nie zdążyli jeszcze zabrać się do herbaty, kiedy zjawiła się i Sokólska.

Janek i Andzia opowiedzieli jej o przebiegu i wyniku wyborów, przyczem Andzia nie omieszkała wytknąć jej „zaniechania obowiązków“.

— Ależ nie przejmujcie się tak porażką! — zawołała Sokólska. — Zobaczycie, że ta hołotka nie potrafi prowadzić „kuchni“ tak sprężyście i oszczędnie jak nasz zarząd. A ci, co dziś przeciwko nam głosowali, sami będą prosili postępowców o objęcie zarządu.

— Oby! — zauważyła niedowierzająco Andzia.

— Zanadto oni są przeciwko postępowcom roznamiętnieni, aby prędko skapitulować — dorzucił Janek.

— Przekonacie się! Zresztą to wszystko głupstwo... Wiesz, Andziu, z Jachimowiczem

jest zupełnie kiepsko. Przedwczoraj dostał strasznego krwotoku. Wywieźli go do kliniki. Nadziei prawie żadnej.

— Co ty mówisz? Przecież w ostatnich czasach czuł się zupełnie dobrze, nawet wyglądał lepiej niż zwykle.

— A jednak źle z nim jest teraz zupełnie. Podobno zaziębił się tu kiedyś znowu. — Znacie Jachimowicza? — zwróciła się Sokólska do Janka.

— Znam. To od niego dostałem po raz pierwszy „Robotnika“ i „Przedświt“.

— Miał w tym roku skończyć budę i wracać do kraju... Stałąby do roboty. W partyi liczone na niego... — mówiła Sokólska, patrząc w światło lampy.

Andzia i Janek porozumiewawczo spojrzeli na siebie wzajemnie.

— Strata ogromna. Orłem, co prawda, nie był, ale wolę miał żelazną i energię rzadką.

— Czyż naprawdę niema nadziei? — zagadnęła Andzia.

— Tak mówią medycy. Kolski odwoził go do szpitala. Jest przekonany, że Jachimowicz ma suchoty galopujące... Musimy go odwiedzić. Wybierzmy się w niedzielę, chodźcie i wy z nami — rzekła Sokólska, zwracając się do Janka.

Ten chętnie zgodził się. Jachimowicza znał bardzo mało, ale czuł dla niego wielką wdzięczność. Wspomnienie postaci chudego technologa kojarzyło się w jego myślach zawsze

z wrażeniem, wywartem przez literaturę socjalistyczną, której dostarczył mu Jachimowicz.

Janek wrócił do domu od studentek dość późno. To, czego się dowiedział od Andzi, panowało w nim nad wszystkimi wrażeniami dnia. O porażce w „kuchni“ zapomniał prawie zupełnie. Myślał natomiast ustawicznie o Sokólskiej, jako wchodzącej do „grupki“, a więc pozostającej w ścisłym związku z „partya“ — z tą partya, która tajemniczością swej pracy mocno oddziaływała na jego wyobraźnię. Urok tej tajemniczości udzielił się teraz w części i Sokólskiej, dla której Janek poczuł obecnie cześć jeszcze głębszą, jako dla przedstawicielki partii, budzącej w nim podziw oddawna, od pierwszego zapoznania się z „Robotnikiem“.

A jednak stwierdzenie, że Sokólska należy do partii, sączyło krople gorczy w jego serce. Trawiński, Kielza, a przedewszystkiem Kolski są takimiż samymi członkami „grupki“, kiedy on nie może chyba marzyć o tem, aby go przyjęto do organizacyi. I Sokólska musi traktować go jak młokosa, kiedy tamci stoją na jednym poziomie z nią. W Janku burzyło się wszystko na taką niesprawiedliwość. Jest nieśmiały — to prawda, ale pracował nad sobą, czytał dużo i zrozumiał istotę socjalizmu, i kto wie jeszcze, czy nie był bardziej oddany sprawie ruchu socjalistycznego od niektórych członków „grupki“. Zresztą ma



lat dwadzieścia — jest więc o jakie pół roku starszy od Sokólskiej, a przecież ona chyba należy do „grupki“ nie od wczoraj...

Janek zasnął, bijąc się z temi myślami. Postanowił uczynić wszystko, coby mu umożliwiło wreszcie wejście do partyi i pracę w jej organizacyi — obok Sokólskiej.



## VIII.

### NA CMENTARZU.

Szła wiosna. Lód ruszył na Newie i spłynął do morza. Słońce nie szczędziło zmarzłemu miastu ciepłych promieni. Łagodny wietrzyk osuszał bruk ulic. Na rozkaz policyi stróże energicznie współdziałali z przyrodą, usuwając żelaznymi drągami zlodowaciałą skorupę śniegu z pozbawionych słońca kątów.

Janek opuścił dawne swe mieszkanie i wynajął jasny, słoneczny pokój przy prospekcie Wozniesieńskim, w tym samym domu, gdzie mieszkał Kolski, akurat nad pokojem, zajmowanym przez tego ostatniego. Dopiero od dwóch dni był porzucił „Pokoje umeblowane“ na Jekaterynhofskim, więc nie zdążył jeszcze doprowadzić do porządku swoich rzeczy.

Janek śpiesznie dopijał herbatę, parząc sobie usta. Było już po dziesiątej, a o jedenastej powinien był stawić się na przeciwnym niemal krańcu miasta, w gmachu kli-

niki Villiers, skąd miano wywieźć na cmentarz zwłoki Jachimowicza.

Biedny technolog nie doczekał wiosny. Życie w nim gasło z dnia na dzień, aż wreszcie zagasło zupełnie. Leżał teraz w trupiarni klinicznej, w długiej trumnie, przykrytej płótnem, otoczony gromadką studenteryi polskiej, która przyszła odprowadzić go na cmentarz. Janek przyjechał w ostatniej chwili, kiedy już trumnę umieszczono na karawanie.

Karawan ruszył, a za nim podążyło kilkanaście osób, w tej liczbie Janek, Sokólska, Zaborowska, Kielza, Kolski i kilku innych kolegów zmarłego. Kondukt żałobny powoli posuwał się ulicami Strony Wyborskiej w kierunku cmentarza katolickiego, leżącego w odległości jakiejś wiorsty za miastem. Towarzyszący trumnie brnęli w błocie, które stało się coraz głębszem w miarę oddalania się konduktu od miasta.

Szli tak przeszło trzy kwadranse, z trudem krocząc szeroką, błotnistą drogą, narażając się co chwila na pozostawienie kaloszków w grząskiej, czarnej masie. Mijali jakieś samotne zabudowania, zczerniałe parkany, pustkowie, kępy drzew i oto, na zakręcie, nagle wynurzyła się przed nimi smukła wieżyca kościoła cmentarnego.

Naraz jęknęły dzwony i wszyscy umilkli. To cmentarz witał nowego przybysza, któremu miał zgotować łożo wiecznego spoczynku, i grał mu ostatnią kołysankę — kołysankę

śmierci. Rozpaczliwe łkania dzwonów cmentarnych budziły w duszach idącej za karawanem młodzieży uczucie bezbrzeżnego smutku, a jednocześnie ogarniał je jakiś uroczysty nastrój. Jankowi żal straszny ścisnął serce. Spojrzał na Sokólską, która szła obok niego. Twarz studentki była blada i skupiona. Zaborowskiej drgały usta, zdawało się, że zaraz wybuchnie płaczem...

W milczeniu głębokiem wsunęła się gromadka młodzieży na cmentarz w ślad za karawanem. Zdjęto trumnę i sześciu studentów chwyciło za jej posrebrzane antaby, udając się za księdzem i organistą ku krańcom cmentarza, gdzie czekał już dół, wykopany na przyjęcie zwłok Jachimowicza.

Szli wąską drożyną między szeregami mogił. Wśród niosących trumnę był i Janek. Szedł z prawej strony, ściskając antabę lewą ręką, która mu zdrętwiała zupełnie, zanim stanęli u celu.

Ksiądz odśpiewał krótką modlitwę, pokropił trumnę i zaintonował „Wieczne odpocznienie“. Tymczasem spuszczano trumnę do dołu. Studenci po kolei rzucali na nią grudki ziemi. Sokólska rzuciła mały bukietik fijołków, kupiony po drodze, i grabarze poczęli szybko dół zasypywać. Duże kawały przemarzłej ziemi, spadając na wieko trumny, wywoływały głucho łoskot. Organista śpiesznie kończył „Wieczne odpocznienie“, a grupka studentów stała

z odkrytymi głowami nad dołem, który na zawsze pochłonał ich kolegę.

Niebawem w tem miejscu wyrosła mogiła z tkwiącym na niej białym krzyżem. Grabarze, otrzymawszy napiwek, poszli sobie. Po mału i gromadka studentów zaczęła się rozpraszać. Część podążyła ku bramie, reszta rozsypała się po cmentarzu, przyglądając się nagrobkom.

Janek i Sokólska szli drogą, dzielącą cmentarz na dwie części. Obeszli kościół, skręcili na lewo i wkrótce znaleźli się na krańcu cmentarza, pod parkanem.

Były tu same ubogie mogiłki, zapadające się w ziemię, o pochylonych zczerniałych krzyżykach. Gdzie niegdzie tylko widniały opuszczone, zaśniedziałe, pokryte mchem grobowce. Ale zakątek ten pociągał ku sobie czarem jakiejś dziwnej melancholii, idącej od tych zapomnianych, opuszczonych mogił. Nie było tu starych, dużych drzew i słońce wysuszyło ziemię, z której wydobywała się już zielona trawka. Krzewy pokryły się nabrzmiątem pąkowiec. Na smukłej młodej brzózce pogwizdywała jakaś szara ptaszyna, ciesząc się z blasków słońca, zalewających cały ten zakątek. Spostrzegłszy nadchodzącą parę, zamilkła — i znowu cisza, niczem nie mącona, rozpostarła się nad opuszczonemi mogiłkami.

Sokólska usiadła na zczerniałym grobowcu i patrzyła w zamyśleniu przed siebie, jakby zasłuchana w ciszę. Ręce trzymała splecione

na kolanach. Janek umieścił się u jej nóg na szczątku stłuczonej kolumny. Zdjął czapkę i położył ją koło siebie.

Siedzieli milcząc. Twarz studentki była blada i smutna. Janek patrzył na nią i nagle jakieś dziwne, nieznane przedtem uczucie poczęło wypełniać mu duszę. Serce biło w nim jak młotem. Zdawało mu się, że słyszy jego gwałtowne uderzenia. Pochylił głowę i przytulił gorące usta do ręki dziewczyny.

Sokólska drgnęła, jakby nagle zbudzona ze snu. Nie cofała tej ręki, którą całował Janek, ale podniosła drugą i poczęła nią pieśczośliwie głaskać jasne włosy studenta.

Janek jakby w ekstazie drżał cały, czując przesuającą mu się po głowie dłoń Sokólskiej. Ścisnęło go coś za gardło. Tymczasem studentka pochyliła się nad nim i złożyła na jego czole długi, serdeczny pocałunek.

— Ja kocham... kocham cię — szeptał Janek, podnosząc głowę i topiąc roziskrzone spojrzenie w pałającej rumieńcem twarzy Sokólskiej.

— Wiedziałam o tem, domyślałam się... — rzekła urywanym głosem studentka — zabrakło mi woli, ażeby przerwać to odrazu, a teraz ja sama... Janku, Janku, po co się to tak stało?!

— Maryniu, więc kochasz mnie, powiedz, no powiedz: kochasz?!

I patrzył w nią, jakby oczekując rozstrzygnięcia losów życia i śmierci, choć wiedział

już teraz, że odpowiedź może być tylko jedna.

— Kocham! — szepnęła, a Janek pokrywał pocałunkami jej usta, oczy, czoło, ręce i szalał prosto ze szczęścia.

— Chodźmy już stąd — rzekła Sokólska, wstając. — Andzia mię chyba szuka.

Janek był jakby oszołomiony. Szedł obok Sokólskiej, a całą jego istotę przenikała jedna jedyna myśl: kocha mię, kocha, kocha...

Przy bramie cmentarnej spotkali Zaborowską i Trawińskiego.

— Gdzieżeście tak wędrowali? — spytała Andzia. — Czekamy tu na was od kwadransa. Wszyscy już poszli. Chodźcie prędzej, może znajdziemy dorożki, bo nie sposób jeszcze raz brnąć tak po tem bloku.

Ruszyli naprzód. Spotkali też niebawem dorożkę, ale, niestety, jedną tylko. Pojechały nią studentki. Janek z Trawińskim musieli iść na piechotę — aż do dworca Finlandzkiego, gdzie wsiedli w tramwaj.

Trawiński wysiadł po drodze, Janek zaś dojechał do Newskiego. Zaszył się w tłum i dał się mu nieść naprzód, zatopiony w myślach o szczęściu bezbrzeżnem, jakiego obecnie doświadczał. Przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły tego, co przeżył w cichym, słonecznym zakątku cmentarnym. Potem zaczął odtwarzać w pamięci wszystkie chwile, spędzone razem z Sokólską — od owego przypadkowego zetknięcia się na odczycie,



od spotkania w Bibliotece Publicznej. I znowu powracał myślą na cmentarz i widział siebie u stóp studentki, szepczącej: „kocham“.

Cały ten dzień Janek był jak nieprzytomny. Wałęsał się bez żadnego celu po odległych ulicach miasta aż do zmroku. Po tem wrócił do domu i, nie zapalając lampy, chodził dużymi krokami po pokoju. Za chwilę znów miał ją ujrzeć — ukochaną, swoją.

Poszedł do studentek. Na schodach swego domu zetknął się z Kolskim, który powracał z miasta. Obok medyka szedł jakiś cywilny. Jankowi przypomniał się opis Andzi: energiczna twarz, duże wąsy, krzaczaste brwi... Tak, to ten sam „nielegalny“ — nie ulega wątpliwości. Idzie na noc do Kolskiego.

Było już po północy, kiedy Janek wracał od Sokólskiej. Czuł jeszcze na ustach pocałunek Maryni, która pod pretekstem poświęcenia mu wyszła do przedpokoju. Zaborowską bolała głowa, więc cały wieczór przesiedziała wciśnięta w fotel, dziwiąc się niepomału nadzwyczajnej wesołości koleżanki.

Janek rozebrał się, zgasił lampę, ale zasnąć nie mógł. Wybiła druga, potem trzecia. Począł drzemać. Nagle posłyszał jakieś ciężkie stąpanie kilku par nóg na schodach i zaraz potem mocne szarpnięcie dzwonka. Ogarnął go jakiś nieświadomy niepokój. Słyszał, jak służąca, tupiąc bosemi nogami, poszła do drzwi i zapytała:

— Kto tam?

— Telegram! — dało się słyszeć w odpowiedzi.

Drzwi od schodów otworzyły się. Służąca krzyknęła przestraszona:

— „Hospodi!“

Słysząc było, że do przedpokoju wtargnęła znaczna liczba ludzi.

— Student? To tutaj — odpowiadała służąca na czyjeś zapytanie.

Janek zrozumiał...

Drzwi do jego pokoiku zostały gwałtownie otworzone i na progu zjawiono się kilka postaci w mundurach żandarmskich. Było i parę osób cywilnych. Stróż świecił latarką.

Jeden z żandarmów zbliżył się do łóżka Janka, który siedział, mierząc przybyłych zdziwionem spojrzeniem.

— Pan jesteś studentem Piotrem Kolskim? — spytał żandarm.

Coś jak błyskawica przemknęło przez umysł Janka. Pomylili się o piętro... A tam u Kolskiego nocuje „nielegalny“... Postać Sokólskiej stanęła na sekundę w oczach Janka i nagle jakby się w przepaść zapadła...

Janek się wyprostował i rzekł stanowczo i wyraźnie:

— Ja jestem studentem Piotrem Kolskim. O co chodzi?

— Niech się pan ubierze. Mamy rozkaz aresztowania pana — odparł żandarm.

IX.

**ZA KRATĄ.**

— Maniu, Janka aresztowano dziś w nocy — zawołała Andzia, stając zdyszana na progu pokoju, zajmowanego wspólnie z Sokólską.

Sokólska zerwała się z fotelu. Książka, którą trzymała, wypadła jej z rąk. Zbielałemi ustami wyszeptała :

— Jezus Marya! Andziu, co ty mówisz?

— Aresztowano go i odwieziono nad ranem, po rewizyi.

— Ależ za co?!

— Bo ja wiem?! Dokąd chcesz iść — pytała Andzia, widząc, że się Sokólska pośpiesznie ubiera.

— Idę, muszę iść...

Rozległ się dzwonek. Do pokoju wszedł Trawiński.

— Wiecie już? — spytał.

— Wiemy — odpowiedziała Zaborowska.

— Ale nie wiecie, w jakich okolicznościach go aresztowano.

— Mówcież! — rzekła, zbliżając się do niego, Sokólska.

— Miano aresztować Piotra, Kolskiego. Ale „fijoły“ pomylili się o piętro i zabrali Pacewicza, który powiedział im, że on jest Kolskim. A wiecie, że „Wiktor“ właśnie dziś rano wyjechał do Warszawy i nocował w mieszkaniu Piotra. Dzięki Jankowi uniknął, wraz z Kolskim, aresztowania i nawet nie domyśla się teraz, jakie mu niebezpieczeństwo groziło... Ale, wiecie, nie spodziewałem się po Janku takiej rzeczy...

— Bo się nie znacie na ludziach! — odparła Zaborowska. — Ja bo nigdy nie wątpiłam, że on jest lepszy od was wszystkich. I dlategośmy się z nim tak zaprzyjaźniły — no nie, Maniu? — spytała, zwracając się do Sokólskiej.

Ta nic nie odpowiedziała. Ból, jaki ścisnął jej serce na wieść o aresztowaniu Janka, ustąpił teraz zupełnie innemu uczuciu. Dumna była z tego, że to Janek, jej Janek poszedł do więzienia, ratując tem innych. I nagle chwyciła ją w szpony ogromna tęsknota do Janka. Chciałaby, bodaj za cenę wolności, być teraz przy nim, czuć się tak bliską mu jak wczoraj — tam na cmentarzu... Ale nie on ją, tylko ona jego powinna być teraz całować po rękach...

— Kolski będzie musiał wyjechać z Piotra — rzekła, przerywając wątek swych myśli o Janku.

— Chyba. Do domu już naturalnie nie wróci. Właśnie przyszedłem do was. Musicie jechać zaraz ze mną za Narwską rogałkę, do Kolskiego. On się tam ukrywa. Trzeba zdecydować, co mamy robić...

— Dobrze. Chodźmy. Już jestem ubrana. A ty, Andziu, na wszelki wypadek przetrząśnijno etażerkę, bo może gdzie zawieruszył się jaki numer „Przedświtu“...

Sokólska wyszła z Trawińskim. Wsiadli w tramwaj i po trzech kwadransach podróży oboje znaleźli się w mieszkaniu, gdzie się ukrywał Kolski.

— Macie jakie szczegóły o aresztowaniu Janka? — spytała Sokólska, witając się z Kolskim.

— Wiem tylko tyle, ilem się mógł dowiedzieć od stróża. Otóż było to tak. Dziś rano wychodzę z domu — o dziesiątej, a o dziewiątej wyszedł był „Wiktor“ (już wyjechał z Pitra). W bramie spotykam stróża. Ten spojrzał na mnie jak na waryata i aż się cofnął. Zdziwiło mię to, więc pytam, co mu jest? Toż przecie pana aresztowali tej nocy — powiada „dwornik“. Michajło był przy rewizji, bo ja spałem (z przepicia, niema co grzechu taić), i mówi dziś rano: a skubenta naszego, pana Kolskiego, zabrali taki gołębiczka. A tymczasem pan tu — jakżeż to? Stróż był trochę pijany, więc począłem go rozpytywać. W trakcie tego nadszedł ów Michajło, „młodszy dwornik“. „Starszy“ wpada

na niego: cóżeś ty, durniu naplótł — „pana Kolskiego zabrali“? Toż ot pan Kolski przed tobą stoi, w najlepszym zdrowiu, dziękować Bogu. To nie ten — powiada Michajło. Jakto nie ten? — Nie ten i koniec. Ja tego pana nie znam, a zresztą, jak ja mogę znać wszystkich lokatorów, kiedy ja tu wszystkiego czwarty dzień w służbie. Nie tego pana zabrali, powiadam, a innego, z pod szesnastego numeru. Stróż się śmieje: ty, głowo durna, toż tamten nie pan Kolski. — Jakto nie pan Kolski?! Sam przecież powiedział, kiedy ich błahorodje raczyli spytać: — ja — powiada — jestem skubent Piotr Kolski... Nie głuchym przecie, na własne uszy słyszałem...

— Dzielnie spisał się Janek! — zawołał Kieźza, który wszedł w trakcie opowiadania Kolskiego.

— No więc — ciągnął dalej Kolski — było teraz już dla mnie zupełnie jasne, że nie mam poco wracać do domu. Zapewne dziś jeszcze „fijoły“ powtórzą swoją wizytę i wyobrażam sobie ich wściekłość. Ale teraz musimy pomyśleć, co dalej robić. Ja muszę drapnąć, to oczywista, a i wszyscy nasi powinni mieć się na ostrożności, tem bardziej, że nie domyślam się zupełnie, z jakiego powodu miano mię aresztować.

Nastąpiła żywa wymiana zdań co do dalszego zachowywania się „grupki“, poczem wszyscy się rozeszli, pozostawiając Kolskiego w jego schronisku.

Zawiadomiono o zniknięciu Janka wszystkich, kto utrzymywał z nim bliższe stosunki. Członkowie „grupki“ zabrali się do jeneralnego oczyszczania mieszkań z wszelkiej „nielegalszczyzny“, spodziewając się rewizyj. Ale minęło kilka dni, a rewizyj nie było. Zapanowało wobec tego przekonanie, że to nie o żadną petersburską sprawę chodziło, tylko o jakieś dawne grzechy Kolskiego.

Próbowano dowiadywać się czegoś o losie Janka przez rozmaite stosunki, ale bezskutecznie. Za pośrednictwem Kiersnowskiego zawiadomiono matkę Janka o tem, co się z jej synem stało, lecz całą sprawę przedstawiono jej w ten sposób, że Janek za kilka, a conajwyżej za kilkanaście dni będzie wolny.

Tymczasem upływały tygodnie. Starania o „widzenie“ z uwięzionym rozbiły się o opór żandarmów. Postanowiono więc sprowadzić jego matkę do Petersburga.

---

Przy rewizyi w koszu Janka znaleziono kilkanaście egzemplarzy rozmaitych wydawnictw P. P. S. i rozpoczęty artykuł do „Iskierki“. Pytano go, skąd ma „bibułę“ i do jakiego pisma przeznaczał ów artykuł? — Pisał sam dla siebie, ot tak sobie, dla wprawy, a „bibułę“ zostawił u niego ktoś podczas jego nieobecności... Kto? — Nie wie i nie domyśla się, ktoby to mógł być.

Żandarm, indagujący Janka, ironicznie się



uśmiechał i niecierpliwie wzruszał ramionami, słysząc te lakoniczne odpowiedzi, powtarzane za każdym razem z jednostajną uporczywością.

Ale kiedy Janek, na pytanie, dlaczego przyznał się do nazwiska osoby, którą nie jest, odpowiadał: — byłem rozespany i mimowoli powtórzyłem nazwisko, o które mię pytano, — żandarm się wściekał. Próbował grozić, potem przechodził do łagodnej namowy, rozczulał się nad losem biednego chłopca, który nie wiadomo poco sam siebie gubi, ale wszystko to szło na marne.

Nie dająca się ukryć irytacja „fijoła“ budziła w Janku jakieś dziwne zadowolenie, coś jakby dumne poczucie przewagi nad tą brutalną potęgą przemocy, która mogła go zmiażdżyć, lecz nie zdolna była zmusić do pożądanых zeznań.

Janek widział z pytań, zadawanych w śledztwie, że udało mu się dopiąć celu i że Kolski uniknął pazurów żandarmskich. To też nie mógł powstrzymać się od przelotnego, złośliwego, zaledwie dostrzegalnego półuśmiechu, kiedy po raz pierwszy mówił, patrząc w stalowe, przeszywające go nawskróś oczy żandarma, że o żadnym Kolskim jako żywo nigdy nie słyszał.

Po każdym takim badaniu Janek znowu powracał do celi i, choć czuł pewne zmęczenie nerwowe, to jednak wyrwa w pasmie jednostajnie szarych dni więziennych, zrobiona

przez zetknięcie się z żandarmeryą, była dla niego źródłem trwającego jakiś czas podniecenia. To zaś dodawało mu sił i pozwalało nie odczuwać tak mocno dotkliwych ukłuc władzy więziennej. A tych nie brakowało. Zapowiedziano mu, że, trwając w uporze, nie będzie mógł korzystać z żadnych ulg. Pozbawiono go spacerów, nie dawano książek.

Pani Pacewiczowej, która przyjechała, zrozpaczona, w połowie czerwca do Petersburga, w sposób stanowczy i brutalny odmówiono „widzenia“.

— Trzeba było lepiej wychowywać syna — rzekł do niej ostro pułkownik żandarmski o nienaturalnie czarnych wąsach. — Zresztą, niech go pani nakłoni do przyznania się — dodał łagodniej.

Staruszka wyprostowała się dumnie i zacisnęła usta.

— Mamy pewność, że syn pani ułatwił ucieczkę ważnym przestępcom, zupełnie świadomie... Wybacz pani, ale nic dla niej nie możemy uczynić.

Przygnębiona, złamana wracała matka Jan-ka do hotelu. Wszystkie sposoby dostania się do syna były wyczerpane. Straciła wszelką nadzieję, widziała bowiem, że dalsze starania są najzupełniej bezcelowe. Postanowiła nazajutrz powrócić do B., po dwutygodniowym męczącym pobycie w Petersburgu.

Stała teraz przy oknie, opierając rozpalone czoło o szybę i patrząc na ruch uliczny.

Wzdłuż szerokiego prospektu mknęły setki dorożek i powozów prywatnych — w kierunku „wysp“, gdzie na letni sezon zogniskowały się najrozmaitsze przybytki wesołej muzy. Ręce kłusaki pędziły ku różnym „Arkadyom“, „Liwadyom“ i tym podobnym ogródkowym restauracyom, połączonym z teatrzykami letnimi, mieszczącymi siedliska artystycznej prostytutki. Wystrojone kobiety, elegancy oficerowie, panowie w wytwornych kostyumach sezonowych szybko przesuwali się przed oczyma biednej matki, która wciąż myślała o swym Janku, widząc go zmierzowanego, żółtego, w malutkiej celi, pozabawionej powietrza i światła.

A tuż pod oknem przejeżdżał lśniącym, nowiutkim powozem na gumach oficer żandarmeryi, obejmując w pół strojną kobietę w olbrzymim kapeluszu, na którym chwiały się strusie pióra.

Pani Pacewiczowa poznała w przejeżdżającym żandarmie jednego z tych, u których czyniła bezskuteczne starania w sprawie Janka.

Odeszła, przejęta wstrętem, od okna. Usiadła w fotelu i, ukrywszy twarz w dłoniach, zapadła w jakieś tępe odrętwienie. Siedziała tak długo, znużona, wyczerpana, nie słysząc ani odgłosów bieganiny służących hotelowych po korytarzu, ani co chwila rozlegających się dzwonek. Ukośny promień zachodzącego słońca zsunął się po ścianie na jej siwą gło-

wę i, ześlizgnąwszy się na podłogę, zgaś u stóp staruszki. Naraz wydało się jej, że ktoś puka do drzwi zajmowanego przez nią numeru. Podniosła głowę. Pukanie powtórzyło się.

— Proszę! — rzekła.

Do numeru weszła Sokólska.

— A, to pani, panno Maryo! — zawołała matka Janka, śpiesząc na powitanie studentki, którą ucałowała serdecznie.

— No cóż? — spytała Sokólska.

— To samo, co i dotychczas.

— Więc nie chcą pozwolić?

— Nie chcą. Mówią, że Janek — to „zawładniały przestępca“, „zakorenielny przestępnik“, i że na żadną względność nie może zasługiwać...

Studentka przeszła się parę razy wzdłuż pokoju. Pani Pacewiczowa znowu usiadła w fotelu.

— Cóż pani teraz zamierza robić? — zagadnęła Sokólska, stanąwszy przed matką Janka.

— Nic nie pozostaje jak wracać do domu. Odmówili mi tak stanowczo, że już nie sposób myśleć o nowych próbach. Jutro wieczorem jadę do B. — mówiła zdławionym głosem staruszka, a grube łzy spływały jej po twarzy.

Sokólska uklękła przy fotelu staruszki, opłótła ramionami płaczącą, przytuliła się do niej i jęła pocieszać, mówiąc, że Janka długo nie

potrzymają, że go muszą wypuścić, bo niczego mu przecież dowieść nie mogą, że napewno zobaczy go wkrótce. Janek jest zdrowy, silny, niema więc obawy o jego zdrowie, nic mu się nie stanie...

Koilo to ból, szarpiący duszę matki Janka, która powoli przestała płakać i słuchała teraz uważnie słów klęczącej przy niej dziewczyny. Sokólska, widząc, że się staruszka uspakaja, przeszła do opowiadania o Janku, o jego życiu petersburskiem, przypominała swe rozmowy z nim, marzenia, z których się jej zwierzał, przytaczała zdania współkolegów o nim.

Przejmowała się coraz bardziej wspomnieniami, a obraz Janka stawał w jej oczach jak żywy. I teraz ona z kolei odczuwała coraz mocniej, jaką pustkę bolesną stworzyło w jej życiu zniknięcie Janka, jak strasznie tęskni do niego, jak cierpi, nie mogąc być przy nim, jak pożąda dźwięków jego głosu, dotknięcia ręki, pocałunków, których tak mało zamienili dotąd... A matka Janka z wolna, stopniowo poczyniała rozumieć, że klęczącej przy niej dziewczynie nie samo tylko współczucie dla stroskanej kobiety dyktuje te gorące słowa, jakimi mówi o Janku.

I oto serce staruszki poczyną wzbierać jakąś nieodczuwaną przedtem tkliwością dla Sokólskiej. Całuje ją w głowę, pieszczotliwie przesuwając raz po raz dłonią po jej gładkim jak atlas policzku. A studentkę ogarnia dzi-

wne rozrzewnienie. Pieszczota matki Janka wydaje się jej teraz pieszczotą własnej, rodzonej matki, której nigdy nie znała, a do której tak zawsze tęskniła. Chwyta za dłoń staruszki, przyciska do ust i szeptem jakby w ekstazie: — Mamo, mamo! — a łzy gorące spadają na rękę matki Janka...



## X.

### POD DOZOREM POLICYJNYM.

I oto Janek znowu był w domu, w swem mieście rodzinnem, pod czułą opieką matki, która drżała co chwila na myśl, że jej mogą wydrzeć dopiero co odzyskanego jedynaka. I nie tylko to niepokoiło troskliwe serce matczyne. Jej chłopak ukochany był inny, całkiem odmienny od tego Janka, który niepełna trzy kwartały temu po raz pierwszy wracał do domu z Petersburga na ferye Bożego Narodzenia.

Nie było w nim tej rozlewności sił życiowych, tego żywiołowego rozpędu energii, które go cechowały dawniej. Skupił się w sobie, zamknął się, a w oczach błyszczały mu niekiedy ogniki zapamiętania, jakiejś upartej zaciekłości. Całemi godzinami chodził po swym małym pokoiku na „górcie“, dokąd uciekał przy każdej sposobności.

Dla matki był serdeczny po dawnemu, ale nie zwierzał się już jej ze wszystkich swych



myśli. Milczał przeważnie w jej obecności, zamyślony, nie rozumiejący niekiedy słów, z którymi się do niego zwracała.

Już od dziesięciu dni Janek był w B., dokąd go wysłano pod dozór policyi, bez prawa opuszczenia miejsca pobytu w ciągu roku. A jednak wciąż jeszcze nie mógł oswoić się z tem nowem położeniem. I nieraz, budząc się z głębokiej zadumy, ze zdziwieniem rozglądał się po otaczających go przedmiotach — zupełnie innych, aniżeli te, wśród których spędził pięć ostatnich miesięcy.

Dni, tygodnie i miesiące, spędzone w „Predwaryłce“ \*), odżywały w jego pamięci jako ohydne pasmo zlewających się ze sobą, rozpaczliwie jednostajnych, monotonnych okresów czasu, wlokących się z gnębiącą powolnością. Tylko badania, na które go wzywano niekiedy, wspominał niemal z zadowoleniem, one bowiem jedynie urozmaicały szarżyznę jego wegetowania za kratą.

Janek przez pierwszych kilka dni ani na chwilę nie mógł się uwolnić od wspomnień o „Predwaryłce“. Wzły się one w jego duszę jak pijawki i ssły ją w dzień i w nocy. Dopiero powoli, stopniowo wyzwał się z pod przygniatającego ciężaru tych wspomnień. I wówczas tęsknota bezkresa zaczęła wypełniać mu duszę. Myślał o Sokólskiej.

Nie wiedział zupełnie, gdzie się znajduje,

---

\*) Więzienie śledcze w Petersburgu.

bo się wakacje nie skończyły i dziewczyna nie mogła jeszcze powrócić do Petersburga. Wysłano go z Petersburga tak samo niespodzianie, jak i aresztowano, więc z nikim z kolegów nie mógł się zobaczyć, przedewszystkiem dla tego, że mu pozwolono pozostać dla „zlikwidowania“ interesów zaledwie przez dobę, następnie zaś, że z powodu wakacyj nikogo z tych, z kim żył bliżej, nie było w Petersburgu.

Wysłał list do Sokólskiej pod adresem „Kursów Bestużewskich“, wiedząc, że go studentka odbierze natychmiast po przyjeździe nad Nowę. Czekał więc tej chwili z niepokojem, coraz bardziej wzrastającym. Niepokój ten dziwił go samego. Wierzył w Sokólską niezłomnie i ani na chwilę nie mógł przypuścić, aby tych kilka miesięcy rozłąki wywołało jakąś zmianę w jej stosunku do niego. Był przekonany, że spotkają się tak, jakby się byli rozstali wczoraj. A jednak niepokój coraz większy wżerał mu się w świadomość, kiedy myślał o spotkaniu się z „Marynią“, jak zawsze nazywał w swych marzeniach Sokólską.

Pani Pacewiczowa często mówiła o studentce, wspominając swój pobyt w Petersburgu. Opowiadała Jankowi o tych wszystkich chwilach, które spędziła z Sokólską, unosząc się nad dobrem sercem dziewczyny, nad jej mądrością i delikatnością. Janek słuchał tego w milczeniu i matka jego dziwiła się nie po-

mału, dlaczego nie sam jej nie mówi o Sokólskiej. Wydawało się jej nawet, że Janek jakby unikał rozmowy o swej koleżance petersburskiej. Dziwiło to ją — tembardziej, że od Sokólskiej wiedziała przecież, jak przyjazne stosunki łączyły Janka i pannę Maryę. Staruszka domyślała się, że w uczuciu studentki dla jej chłopca było coś więcej nad przyjaźń koleżeńską, ale dziwne zachowywanie się Janka martwiło ją. Czyżby Janek był już obojętny dla Sokólskiej, a może miał o niej jakąś przykrą wiadomość?! Już kilka razy chciała go wręcz zapytać o to, ale Janek, jakby instynktownie wyczuwając ten zamiar, zawsze w jakiś sposób uniemożliwiał jego wykonanie. Najczęściej wprost uciekał na „górkę“ pod pierwszym lepszym pozorem.

I tam, na „górcę“, całkowicie oddawał się myślom o Maryni. Uczucie dla niej chował głęboko na dnie serca, jak jaką świętość. I strzegł tej świętości zazdrośnie, nawet przed własną matką, wobec której nie miał innych tajemnic. Zdawało mu się, że to uczucie było wyłączną własnością ich dwojga — Janka i Maryni — i że wprost nie miał prawa wtajemniczać w nie kogoś innego, chociażby to była jego matka, którą tak kochał. Myślał o Maryni, tęsknił do niej coraz silniej, a jednocześnie przemykał mu przez głowę strach dziki, że już jej może nigdy nie zobaczy...

Było jakieś święto uroczyste. Pani Pacewiczowa poszła do kościoła. Stara Wikta,

służąca, również była na nabożeństwie. Janek sam został w domu. Przechadzał się po swym pokoiku, trzymając w ręku książkę, której nie czytał, zatopiony w myślach.

Wtem posłyszał skrzyp furtki w ogródku przed domem, jakieś szybkie kroki po wysypanej żwirze dróżce i w kilka sekund potem pukanie do drzwi, na dole. Zbiegł pośpiesznie, otworzył drzwi i cofnął się oszołomiony.

Na progu stała Sokólska — w czarnym, obcisłym żakiecie, z torebką podróżną, przewieszoną przez ramię.

— Nie poznajesz? — spytała, uśmiechając się.

Janek pochwycił ją za obie ręce i gwałtownie pociągnął do sieni.

— Maryniu! Przyjechałaś! — szeptał, dygocąc cały ze wzruszenia.

Przeciąg zatrzasnął drzwi za nimi. Weszli do pokoju. Sokólska rozpięła żakiet i usiadła na kanapie. Janek ściągnął jej rękawiczkę i pokrywał pocałunkami rękę studentki, która przyglądała mu się bacznie. Wzięła wreszcie w obie ręce jego głowę, popatrzyła mu w oczy i pocałowała w czoło.

— Wydręczyli cię, mój biedaku — szeptała — takiś blady...

— E, co tam o tem mówić! Ale jakeś się ty, Maryniu, tu znalazła?... Nie rozumiem...

— Tymczasem to bardzo proste... Na „kursach“ zostawiłam swój adres i dałam szwajcarowi zlecenie, aby mi przysłał do Warszawy

wszystko, co przyjdzie dla mnie. Domyślałam się, że tam, a nie gdzieindziej dasz znać o sobie, skoroby cię podczas wakacyj wypuścili. No i nie omyliłam się. Odesłano mi twój list do Warszawy. Wiedziałam, gdzie jesteś, więc teraz, jadąc do Pitra, zboczyłam i oto jestem tu. A gdzież twoja mama?

— Poszła do kościoła. Sam jestem w domu, ale chyba niebawem wróci, bo to już dwunasta.

— Dwunasta. Mamy więc jeszcze sześć godzin przed sobą...

— Jakto?

— No, bo ostatni pociąg stąd idzie o szóstej.

— Maryniu, ty dziś nie pojedziesz!...

— Pojadę, Janku. Muszę jechać, muszę koniecznie — powtórzyła Sokólska z taką stanowczością, że Janek zagryzł usta i, choć serce ścisnęło mu się boleśnie, nie próbował namawiać dziewczyny do odroczenia wyjazdu.

Siedział naprzeciwko niej, wpatrzony w jej świeżą twarz, w promieniejące radością oczy.

— Maryniu, jaka ty jesteś ładna — rzekł, przysuwając się ku niej z krzesłem i biorąc jej ręce w swe dłonie. — Ja bardzo tęskniłem za tobą, bardzo, Maryniu... Tylko o tobie myślałem... Bałem się o ciebie strasznie...

— Czego?

— Sam nie wiem... Właściwie to może nie o ciebie się bałem... Raczej o siebie, bo ja bym nie zniósł tego, gdyby cię coś spotkało...

Maryniu, czyż tak koniecznie musisz dziś jechać?!

— Muszę, Janku, muszę koniecznie.

— Więc znowu cię nie zobaczę Bóg wie jak długo? Maryniu, ja tu wprost nie wytrzymam. Zmęczony jeszcze jestem, ale czuję, że odzyskuję siły. I mam tu gnić przez rok cały! Nie, ja nie chcę tego, nie chcę za nic!

Zerwał się i począł chodzić dużymi krokami wzdłuż pokoju.

— Jest na to rada! — rzekła Marynia.

— Jaka? — zawołał Janek, zatrzymując się przed studentką.

— Wyjedziesz stąd. Znikniesz policyi z oczu. Dam ci adres wileński, naszych facetów, przeprawią cię przez granicę. Wyjedziesz do Szwajcaryi, na przykład do Zurychu. Będziesz mógł tam studyować. Tak, tak, to jest pomysł... Nie możesz przecie tracić całego roku tu, w tej dziurze zapadłej...

W sieni dały się słyszeć kroki i do pokoju weszła matka Janka.

— Panno Maryo! — zawołała. — A toż gość nieoczekiwany a miły. Moje dziecko kochane!...

Ścisnęła i całowała serdecznie Sokólską, która zerwała się z kanapy i pobiegła na spotkanie staruszki.

— Wikty jeszcze niema? Toż musisz być głodna z drogi, dziecino moja. Czeka, zaraz ci coś przyrządę — mówiła matka Janka,



biegnąc do kuchni, choć Marynia ją zapewniała, że nic nie potrzebuje.

Janek znowu pozostał sam na sam z Sokólską. Jej projekt sprawił na nim niemal także samo wrażenie, jak wiadomość, że może opuścić celę więzienną w „Predwaryłce“, zakomunikowana mu przez żandar-mów. Więc jest sposób wyrwania się z tego więzienia, więc nie będzie tu gnął i skosztuje prawdziwej wolności w republikańskiej Szwaj-caryi — daleko od wszelkich „Predwaryłek“, „fijołów“, nocnych rewizyj, od tego całego gmachu niewoli i ucisku, w którym żył do-tychczas.

Gorące rumieńce wystąpiły mu na twarz, a głos jego drżał ze wzruszenia, kiedy oma-wiał z Marynią szczegóły tego planu. I tylko jedna myśl smutna mąciła mu radość, z jaką przyjmował plan wyjazdu za granicę. Musiał na długo rozstać się z Marynią. Tłómaczyła mu ona zresztą, że i takby się dłuższy czas nie widzieli. Wszak Marynia jechała do Pe-tersburga na cały rok, aby na wiosnę zdać egzamina. A kto wie, może jesienią i ona będzie mogła przyjechać do Zurychu.

— Maryniu, jedyna moja, ty przyjedziesz tam, przyjedziesz na pewno — zawołał Ja-nek, tuląc studentkę w objęciach i pokrywa-jąc pocałunkami jej oczy, usta, twarz, szyję...

— Janku, mama nadejdzie — broniła się dziewczyna, ale Janek nie słuchał jej prote-



stów, tem bardziej, że były takie słabe, takie  
pozbawione stanowczości. Odsunął się tylko  
od niej, kiedy posłyszał zbliżające się kroki  
matki, która niosła tacę, zastawioną rozma-  
itymi przysmakami domowej spiżarni.



## XI.

### NA „OBERSZTRASIE“.

Pociąg zbliżał się do stacji krańcowej, stopniowo zwalniając biegu. Miarowy łoskot kół stawał się coraz cichszym. Pasażerowie śpieszyli uporządkować rzeczy, a kilka osób już się podniosło ze swych siedzeń i przesunęło się ku wyjściu, trzymając w ręku pakunki.

— „Ist das schon Zürich?“ — spytał Janek opasłego mężczyzny, który, przeciskając się ku drzwiom, o mało mu nie zrzucił z głowy kapelusza.

— „Jawohl“...

Janek pośpiesznie zapiął paltot, wy dobył z pod ławki skromną walizkę i w parę chwil potem stanął na peronie.

Było już dobrze po dziesiątej, nie chcąc więc tracić czasu, natychmiast wyruszył w poszukiwanie „Towarzystwa młodzieży polskiej“, zostawiwszy walizkę u portyera na stacji. Wiedział, że lokal tego stowarzyszenia znaj-

duje się gdzieś na „Oberstrasse“, spytał więc paru przechodniów o tę dzielnicę i podążył we wskazanym kierunku.

Przeszedł most na szumiącej rzeczce, wdrapał się po kamiennych schodach na Oberstrasse i wkrótce potem znalazł się wśród ciszy zupełnej. Jakieś duże gmachy patrzyły wielkimi, czarnymi oczyma w ciemną przestrzeń, z której wynurzały się drzewa. Zrzadka tkwiące latarnie częściowo tylko oświetlały niemal wyludnioną ulicę. Szybko szedł naprzód, pytając parę spotkanych osób o stowarzyszenie polskie. W odpowiedzi jednak otrzymywał tylko wzruszenie ramionami i kilka wyrazów, niby niemieckich, całkiem przecież dla niego niezrozumiałych. Przystanął na chwilę, rozglądając się dokoła. Gdzieniegdzie świeciło się jeszcze w oknach dużych kamienic, ale przeważnie panowała w nich ciemność.

— Cóż to, u dyabła?! Czyżby się tu ludzie pakowali do łóżek jeszcze przed jędnastą? — pomyślał Janek i, straciwszy nadzieję znalezienia „Towarzystwa“, zawrócił z powrotem ku miastu dolnemu, skąd dolaływał szum rzeczeki, przerywany gwizdaniem parowozów, manewrujących na stacyi. Znalazłszy się na dole, Janek zabrał rzeczy ze stacyi, udał się do pierwszego napotkanego hotelu i wkrótce już dygotał z zimna pod kołdrą w nieopalonym numerze.

Zasnął jednak nie odrazu. Wrażenia ostatnich dni wirowały w jego mózgu, spędzając

sen z powiek. Kryjomy wyjazd do Wilna, przejście granicy z cudzym półpaskiem, zgiełk ulic berlińskich — wszystko to przepełniało jego świadomość jakimś chaosem barw i dźwięków. W końcu jednak znużenie odniosło zwycięstwo nad wszystkimi władzami duszy i ciała Janka. Zasnął tak, że się zbudził na-  
zajutrz około jedenastej.

W pół godziny potem był już na Oberstrasse. Co chwila napotykał młodzież żydowską, mówiącą po rosyjsku. Spytał jednego ze studentów, wyjątkowo posiadającego rysy wielkorosyjskie, o „Towarzystwo młodzieży polskiej“.

Ten łypnął na niego z pod okularów oczyma, pomyślał chwilkę i odpowiedział niedbale, wskazując na jedną z pobliskich kamienic:

— Zdaje mi się, że tam, ale, zresztą, dyabli ich wiedzą...

Janek udał się do wskazanego mu domu i istotnie znalazł tam lokal poszukiwanego towarzystwa. Wszedł do niezbyt dużego pokoju.

Za długim stołem, nad rozrzuconymi w nieładzie pismami siedział brunet o gęstej czuprynie, który podniósł na Janka duże oczy i przyglądał mu się ciekawie, zanim ten zbliżył się od progu do stołu.

Janek się przedstawił:

— Pacewicz.

— Kotowski — odpowiedział tamten, podając mu rękę, i spytał:

— Pan przyjeżdżasz zapewne na studia?  
— Tak, chciałbym wstąpić na politechnikę.  
Podobno świetnie jest obsadzona.

— O tak! Bycza buda! A co kolega zamierza kuć specjalnie?

— Chemię i wogóle przyrodę...

— Co do tego, toście trafili jak w dym. Sam studuję chemię, pracuję tu w „labo“ i, powiadam wam, bycza buda!... Dużo się tu można nauczyć. Czyście już byli w jakiej budzie?

— Byłem tylko kilka miesięcy na przyrodzie, w Pitrze...

— Taak?... Kiedyście przyjechali?

— Dziś w nocy.

— A macie już jaką dziurę? Wtryniliście się gdzie?

— Nie, właśnie chciałbym poszukać jakiego mieszkania...

— Wiecie, to doskonale się składa... Moja „baba“ ma teraz jeden pusty pokój — widny, ciepły. Poczciwa z kośćmi stara „Hajbka“. Uplacujemy was w mig, ale po obiedzie, bo teraz już czas iść do kuchni — mamy tu kuchnię studencką, wspólnie z Moskałami. Chodźmy więc!...

— A to dobrze! Właściwie od wczorajszego obiadu nic nie miałem w ustach i czuję głód potężny.

— No, to chodźcie!

Zeszli szybko na dół i podążyli do „kuchni“. W drodze Kotowski objaśniał Janka

co do stosunków zuryskich, warunków wstąpienia na politechnikę i t. d.

Wkrótce stanęli u celu i weszli do lokalu, mieszczącego „kuchnię“ polsko-rosyjską.

— Zajmiemy te miejsca — rzekł Kotowski, odwracając dwa talerze dnem do góry. — Tu jest czysto polski stół, reszta przeważnie mieszana. Chodźcie no, to was poznamię z facetami.

Mówiąc to, zlekka popchnął Janka ku przeciwnej stronie długiej sali, gdzie około bufetu skupiła się grupka wesoło gwarzących studentów-Polaków.

— Nowy kolega, Pacewicz — tylko co przyjechał — zarekomendował Kotowski Janka, który po kolei ścisnął ręce wszystkim, wymieniającym mu swe nazwiska.

— Czarnocki...

— Minnert...

— Rybak...

— Jasiewicz...

— No, napijmy się z tej racyi wódki, zanim obiad podadzą — zaproponował Kotowski.

— Władek stawia — zauważył Minnert.

— No, no, prędzej to już na ciebie kolej — odparł Kotowski — ale niech już tam... Do stałem dziś trzydzieści wołów „stypy“... „Szesť riumok, pożałujsta“ \*) — zwrócił się do studentki-Rosyanki, dyżurującej przy bufecie.

---

\*) Proszę o sześć kieliszków.

Wypito wódkę, przegryziono śledziem i wszyscy udali się do „polskiego“ stołu, bo już dyżurni przynieśli byli wazy z zupą. Sala się wypełniła po brzegi. Było gwarno i wesoło. Najweselsze usposobienie panowało jednak przy „polskim“ stole. Tu co chwila wybuchał śmiech głośny, sypały się żartobliwe docinki, tu też najprędzej wyprózniano talerze.

Janek, jako obcy, nie brał udziału w wesołej rozmowie, ale ogólny nastrój wytworzył tu taką ciepłą atmosferę, że czuł się jak w domu i ani wątpił, że w parę dni zaaklimatyzuje się zupełnie w tem towarzystwie.

— Ulokuję was zaraz, a potem odpoczniecie sobie — rzekł Kotowski, wstając od stołu.

— Nie jestem zmęczony, wyspałem się w hotelu wcale nieźle.

— Tem lepiej. Dziś mam wolne popołudnie. Pokażę wam Zurych, pójdziemy nad jezioro... Chcecie?

— Ależ bardzo wam będę wdzięczny...

Wyszli z „kuchni“ i podążyli na dworzec, skąd zabrali walizkę Janka. Posłaniec wziął ją na plecy i zaniósł na Oberstrasse, do domu, w którym Janek wynajął mały, schludny pokój, tuż obok nieco większego pokoju, zajmowanego przez Kotowskiego. Stara „Hajbka“ bardzo szeroko rozwodziła się nad zalecaniami pokoju Janka, tłómacząc mu coś w swem chrapliwym narzeczu, czego Janek ani rusz



nie mógł zrozumieć. Kotowski tymczasem przyrządzał czarną kawę, paląc krótką fajeczkę.

— Zaraz pójdziemy, napijemy się tylko kawy — rzekł Kotowski, wchodząc do pokoiku Janka. — Nieźle tu u was, a oto, patrzcie, Alpy berneńskie.

Janek spojrział tam, gdzie wskazywał Kotowski. Istotnie, na horyzoncie widać było zupełnie wyraźnie poszarpaną linię gór, pokrytych śniegiem.

Przeszli do pokoju Kotowskiego, który nalał Jankowi i sobie po sporej szklance czarnej kawy.

— Długo byliście w Pitrze? — spytał Kotowski.

— Nie, mniej niż rok, ale studyowałem zaledwie kilka miesięcy, bo już w kwietniu dostałem się do ula...

Kotowski zerwał się z kanapki, na której siedział, podkurczywszy pod siebie jedną nogę.

— Więc to wy jesteście tym facetem, o którym mi pisano z kraju? Bodajże was! — zawołał. — Ale też mały, żeby nie podać nazwiska! Piszą: przyjedzie młody facet, Litwin, student peterski, aresztowany w kwietniu i świeżo wypuszczony — zaopiekuj się nim. A o nazwisku ani słówka. Niech ich tam z tą konspiracją! No, ale dobrze się stało, żeście odrazu na mnie wpadli.

— Któż to o mnie pisał? — spytał zdziwiony Janek.

— Mój kolega szkolny, Kolski. Musieliście go znać w Pitrze.

— Znałem. To on jest w kraju? Sądziłem, że wyjechał za granicę.

— Jest, ale tak jakby go nie było. Kolskiego zresztą w kraju niema... Wogóle o tem niema co mówić — rozumiecie?

— Rozumiem — odrzekł Janek, domyślwszy się, że Kolski zapewne stał się „nielegalnym“.

— No, teraz chodźmy — powiedział Kotowski, wkładając kapelusz.

Wyszli z domu, udając się w kierunku jeziora, dokąd prowadziła długa, łagodnie obniżająca się ulica, środkiem której pędził tramwaj elektryczny. Kotowski rozpytywał Janka o stosunki petersburskie, o nastrój młodzieży polskiej nad Newą, przyczem Janekowi się zdawało, że Kotowski chce go zrecznie wybadać, zadając mu rozmaite pytania. Ponieważ jednak odrazu poczuł do Kotowskiego szczerą sympatyę, przeto nie miał mu tego za złe i chętnie odpowiadał na wszystko.

Szli brzegiem jeziora. Ukośne promienie zachodzącego słońca malowały powierzchnię wody tysiącem barw bajecznych, wywołując na niej plamy, mieniające się złotem i purpurą, iskrzące się brylantami od uderzeń białych skrzydeł mew, które swym przeciągłym piskiem rozdzierały powietrze.

Janek szedł, oczarowany tym obrazem,

nie spuszczać oka z powierzchni jeziora. Śledził wzrokiem szybujące nad wodą mewy i niezbyt uważnie słuchał Kotowskiego, który tłumaczył mu, dlaczego woda jeziora zuryckiego posiada zielone zabarwienie.

Naraz Kotowski urwał swe wywody chemiczne i powitał, zdejmując kapelusz, trzy zbliżające się panny. Szły, wzięwszy się pod ramię i jednocześnie pochyliły głowy w odpowiedzi na powitanie Kotowskiego. Jedna z nich rzekła głośno: „zdrawstwujcie!“, inne milczały. Janek zwrócił uwagę na najstarszą z nich — mocną brunetkę, dobrze zbudowaną, o dużych oczach i czerwonych ustach. Ona go też zmierzyła okiem od stóp do głowy, mijając.

— Rosyanki? — spytał Janek, kiedy trójka dziewcząt się oddaliła.

— Tak, studentki. Ta, co do was takie oko zrobiła (nie potrzebujecie się rumienić!), mieszka nawet w tym samym domu, co my. Bycza niewiasta! Pochodzi z Odesy, ma w sobie coś krwi greckiej. Znam ją bliżej, bośmy razem byli w zarządzie „kuchni“. Chce się uczyć po polsku... Fantazyja taka przyszła jej do głowy, ale wątpię, czy starczy jej cierpliwości na parę lekcyj.

— Medyczka?

— Nie, studjuje filozofię, czy tam coś w tym rodzaju. Zresztą, zdaje się, że traktuje to więcej jako sport. Bogata panna.

Przyjechała tu z Genewy, a poprzednio była w Monachium...

— A te dwie inne? — spytał Janek.

— Jednej nie znam wcale, widocznie dopiero co przyjechała, a druga, ta blondynka, co szła z lewej strony, to córka jednego z emigrantów rosyjskich. Ta, to istotnie studjuje medycynę.

— A Polek-studentek dużo jest w Zurychu? — zagadnął po chwili milczenia Janek.

— Nie, w tym roku mało, zaledwie kilka — i to bardzo nieciekawe typy przeważnie. Poznacie je zresztą w „Towarzystwie“. Nasze niewiasty zwykle jadą do Genewy. Tam znowu mężczyzn prawie niema, chyba że który zjawi się „na dokończenie wykształcenia“, jak się tu u nas na Obersztrasie mówi, w celach matrymonialnych... No, ale czas do domu. Zawracajmy.



## XII.

### OBCHÓD NARODOWY.

Była niedziela, więc nie potrzeba było wcześniej wstawać. A ponieważ Janek poszedł spać dość późno, więc leżał teraz w łóżku, podłożywszy ręce pod głowę i, pomimo, że się już zbliżała jedenasta, ani myślał się ubierać. Marzył o Maryni, prznosił się myślą do Petersburga i starał się zgadnąć, co się obecnie mogło dziać wśród studenteryi polskiej nad Newą.

Zapukano do drzwi. Janek odruchowo podciągnął kołdrę pod szyję i nasłuchiwał.

Do pokoiku wpadł Czarnocki.

— Co? Jeszcze w łóżku? — zawołał. — To was dwa miesiące pobytu w Zurychu tak zdemoralizowały? Ładnie!

— Zaraz wstaję. Nic nie mam dziś do roboty, więc leżałem sobie tak...

— Widzę, widzę... Chcieliście pójść na obiad wprost z łóżka. Może nie macie nic floty? To wam pożyczę parę frani...

— Ależ dziękuję, mam jeszcze...

— Myślałem, że tak „bez oszczędność“ czekacie w łóżku na obiad. Wcale dobry sposób! Póki się leży, wcale się jeść nie chce.

— E, tak źle jeszcze nie jest, żebym się miał do podobnych sposobów uciekać.

— Tem lepiej, bo to — psiakość! — jak się śniadania nie zje, to się potem po obiedzie okrutnie żryć chce. Ale, ale! Przyszedłem do was z propozycją, a właściwie z prośbą. Nie macie przypadkiem tużurka? Bajecznie by mi pasował, a właśnie mam dziś występować z deklamacją, nie byle gdzie, fiu, fiu, na „obchodzie narodowym“, muszę więc mieć tużur. Nie mogę się przecież tak zaprezentować społeczeństwu w tej marynarce wyświechtanej, bo innej nie mam.

— Nie, tużurka nie posiadam — rzekł Janek. Może kto inny ma?

— A niechże was wszyscy dyabli z taką garderobą! U Minnerta byłem — niema, u Żerańskiego — niema, Izbicki mi chciał dać swój, cóż kiedy brak prawie wszystkich guzików i w dodatku taki rozpruty pod pachami, że ani ręką ruszyć. A ja przecież muszę gestykulować — „Grób Aagamemnona“ — to nie pies.

— Cóż to za obchód narodowy? — zagadnął Janek, patrząc jak Czarnocki chodzi po pokoiku, drapiąc się w głowę.

— Listopadówka... „Mamuty“ urządzają...

— Co za „mamuty“ jeszcze?

— Stare pryki, co to w 63-im mieli zamiar wybrać się do powstania. Zresztą opowiadają o sobie dziwy niesłychane, myślałby kto, że naprawdę dali się Mochom we znaki...

— Więc to uczestnicy powstania?

— Kto ich tam wie, czy brali naprawdę udział w powstaniu, czy nie. Zresztą są między nimi bajeczne typy. Idźcie na obchód, to sami zobaczycie. Tylko że gdzie ja u stu dyabłów tużurek dostanę? Chyba frak pożyczyc? Jest tu w kolonii taki frak, co go faceci do egzaminów pożyczają. Wiecie, że to idea! Lecę do Strugały — on ma ten frak. No, do widzenia! Wstawajcie już, bo czas na obiad... A na obchód przyjdźcie koniecznie. Tylko wybierzcie się z kimś, kto zna Zurych, bo to daleko, na przedmieściu, w knajpie u Krzywobłockiego...

Wieczorem Janek znalazł się wraz z całym gronem studentów na dalekim przedmieściu Zurychu, w małej restauracyjce, trzymanej przez emigranta Krzywobłockiego, który właśnie aranżował ów obchód listopadowy — nie tyle dla wzmocnienia uczuć narodowych wśród зараżonej niemieckim kosmopolityzmem studenteryi — jak mówił — ile dla zasilenia kasy bardzo licho idącego interesu.

W salce restauracyjnej, przy ustawionych w kilka rzędów stolikach, siedziało zaledwie kilkanaście osób, kiedy nadpłynęła młodzież z Obersztrasu. Wszyscy wesoło witali właści-



ciela lokalu, który szykował przy bufecie szklanki i kieliszki.

— Jak się pan ma? — pytał go Kotowski. — Cóż tam, od ojca świętego dawno nie było listu?

Stary błysnął na niego gniewnie oczyma z pod siwych brwi i nic nie odpowiedział.

— Trzeba wam wiedzieć — mówił Kotowski do Janka, zajmując miejsce przy jednym ze stolików — że Krzywobłocki ustawicznie listy pisuje do różnych wybitnych osobistości — do cesarza Franciszka Józefa, do papieża... dawniej Bismarka bombardował listami. Ciekawy ananas! Udzielał im rad i wskazówek. A papieża to specjalnie przed intrygami Bismarka przestrzegał.

— Czy to powstaniec z 63-go roku? — spytał Janek.

— Jeszcze jaki — zawołał Minnert. — Oповіда niestworzone rzeczy o swych zwyczajstwach, jak to armatki na jodełki wciągał i stamtąd Moskali prażył... Sto pociech!

— Ale brał jednak udział w powstaniu? — dopytywał się Janek.

— A brał... podobno wódkę dla powstańców szwarcował. Z tego też powodu musiał wyemigrować — dorzucił Kotowski.

— Co wy mówicie?! — dziwił się Janek.

Zjawił się Czarnocki — we fraku, z miną uroczystą, z zadartą do góry głową i śmiejącymi się oczyma.

— O, o, deklamator! — zawołano od stołu, przy którym siedział Janek.

— Chodź tu, małego zielona, jest jeszcze miejsce — krzyknął Rybak.

Czarnecki usiadł przy stole młodzieży, która drwiąco przyglądała się jego uroczystemu strojowi.

— Co się na mnie patrzycie, „ludzie niekształtni“, jak mówi Krzywobłocki, zaraz go tu poproszę, to zrobi z wami porządek, kosmopolity przebrzydłe — mówił Czarnecki.

Tymczasem właściciel restauracyi sam zbliżył się do stolika młodzieży.

— Cóż to, panowie, tak na samem piwku poprzestaniecie? A ja przygotowałem krupniku prawdziwie litewskiego, jest też schab, może każecie podać? Wino też mam dobre...

— Kiedy, panie, puste kieszenie studenckie — odparł Minnert.

— Tak, kiedy rodaka trza poprzeć, to puste — rzekł Krzywobłocki. — Nikt tu do mnie nie zagląda... Zdaleko — mówią. Gdybym miał dziewczki do obsługi, toby się panowie studenci zlatywali z Obersztrasu... Ha, ha, ha — śmiał się zgryźliwie stary, odsłaniając duże żółte zęby. — Ot i dziś — ciągnął dalej — iluż was tu się zebrało? Aż ośmiu całej parady. I to na obchód narodowy! Oj, źle się dzieje z młodzieżą naszą! Te tam różne socjalizmy, materyalizmy zupełnie jej w głowie przewróciły...

— Et, nie gderalibyście, panie Krzywo-

blocki — przerwał mu Rybak — lepiej opowiedzcie, jak to tam z temi armatkami było, coście je na drzewa tarabanili...

Stary uśmiechnął się i podkręcił wąsa.

— A no, strzelało się. Było to, jak dziś pamiętam, na wiosnę. Nasz oddział cofał się z pod... tego, jakże to tam, aha — Przasnysza. My tu, a Moskale tu. My znowu tu, a Moskale tu. Tak tedy powiadam ja dowódcy...

— Słuchajże, stary — nagle przerwała mu żona, która nadbiegła od bufetu — tam pod oknem stalują wino, ale chcą dobrego.

— Zaraz, zaraz, no, kiedyindziej dokończę wam o tem, co się dalej działo, teraz muszę iść...

Salka powoli wypełniła się. Przyszło kilku emigrantów, parę rodzin polskich, mieszkających czasowo w Zurychu, garść robotników. Przy stoliku pod bufetem stanął jakiś mężczyzna, trzymający w ręku duży rulon papieru.

— Ojej! — szepnął Minnert — zadręczy nas.

Zgiełk, panujący dotychczas, zwolna ustawał, stopniowo przekształcając się w szmer cichy, który zamilkł zupełnie, kiedy ów mężczyzna rozwinął rulon i począł czytać monotonnym głosem wypracowanie na temat powstania 1831 r. Wymieniał najrozmaitsze daty i nazwiska, przytaczał opisy bitw i tak znudził słuchaczy, że wszyscy poczuli wielką ulgę, kiedy nareszcie skończył.

Po nim przemawiał jakiś brunet o semi-ckim typie twarzy, już nie młody. Rozpoczął od wyrazów: — Jeszcze jedna karta odwróciła się...

— Co roku to samo mówi — szepnął Kotowski Jankowi do ucha. — Zaraz będzie piorunował na zmateryalizowanie społeczeństwa — zobaczycie.

Istotnie mówca podniesionym głosem piętnował zmateryalizowanych wnuków bohaterskich dziadów i zaraz potem ustąpił miejsca Czarnockiemu, który z wielką brawurą oddeklamował „Grób Agamemnona“. Następnie wszyscy obecni odśpiewali „Z dymem pożarów“. Podniosła pieśń, wykonana dość zgodnie, stworzyła nastrój poważny. Kiedy umilkły jej dźwięki, czas jakiś było zupełnie cicho w salce restauracyjnej. Milczenie to przerwała deklamacya niemiecka.

Staruszek jak gołąb biały, o twarzy księdza Ściegiennego, z ogromnym zapalem deklamował poezyę niemiecką o ostatnim czwartaku, a kiedy kończył, łyzy błyszczały w zaczerwienionych oczach starca.

— Kto to? — spytał Janek Kotowskiego.

— Szymanowski, syn emigranta z 30 roku, robotnik, socyalista. Nie umie zupełnie po polsku, ale uważa się za Polaka i stale z Polakami przystaje. Bardzo sympatyczny typ.

Huczne brawa pokryły echo ostatnich wyrazów deklamacyi staruszka. Jego miejsce zajął szczupły blondyn, który w krótkiej,

energicznej mowie scharakteryzował ścieranie się czynników klasowych w ruchu trzydziestego roku, zrobił kilka ostrych wycieczek przeciwko konserwatywnym patryotom współczesnym i zakończył wezwaniem, aby się wszyscy garnęli pod sztandar Polskiej Partii Socjalistycznej, bo ona jest prawowitą spadkobierczynią dawnych pokoleń rewolucjonistów.

Oklaskiwano go od stołu młodzieży, ale widać było, że większość zebranych niezbyt sympatycznie spotkała jego słowa. Pod oknem nawet rozległ się szmer wyraźnej dezaprobaty. Na miejscu, które tylko co opuścił mówca, stanął właściciel lokalu, Krzywobłocki, skrzyżował ręce na piersiach, uśmiechnął się zgryźliwe i rzekł dobitnie:

— W sześćdziesiątym trzecim w lesie byłem, walki klas nie widziałem... Skończyłem.

Salka aż się zatrzęsła od hucznych oklasków, którymi wynagrodzono krótkie przemówienie gospodarza. Klaskali wszyscy. Następnie ktoś zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła“. Odśpiewano pieśń legionów, stojąc. Bezpośrednio potem ów mówca socjalistyczny zanucil tenorem „Krew naszą długo leją katy“... Grupka studentów go poparła i dźwięki hymnu robotniczego wypełniły salkę ku wielkiemu zgorszeniu jej gospodarza i znacznej części gości, którzy oburzali się widocznie na to sprofanowanie obchodu narodowego buntowniczą pieśnią socjalistyczną.

Janek po raz pierwszy słyszał melodyę „Czerwonego Sztandaru“, ale starał się wtórować Minnertowi, który śpiewał najgłośniej, patrząc wyzywająco w kierunku okna, gdzie kilka osób dostatnio ubranych i zażywnie wyglądających nie ukrywało swego oburzenia na to, że ich zmuszano do słuchania tak „niepatryotycznej“ pieśni.

Po odśpiewaniu „Czerwonego“ młodzież wyniosła się, pozostawiając Krzywobłockiego w towarzystwie „lepszej“ publiczności. Wyszedł i Szymanowski, a z nim paru robotników.

Jeszcze przed dziesiątą powrócił Janek do domu i zaraz poszedł do pokoju Kotowskiego, który swym zwyczajem, paląc fajeczkę, przyrządzał czarną kawę. Wypili po szklance, kiedy naraz drzwi się otworzyły i na progu stanęła brunetka, którą Janek raz już widział był nad jeziorem, w dzień przyjazdu swego do Zurychu.

Spostrzegłszy Janka, jakby zawahała się na chwilę, czy ma wejść.

— Można? — spytała po rosyjsku.

— Proszę bardzo — rzekł Kotowski, podając jej rękę.

— Ale może przeszkadzam? — mówiła, rzucając okiem na Janka.

— Gdzieżby tam! — zapewniał Kotowski i dodał: — Kolega Pacewicz, panna Fadiejewa.

Studentka podała Jankowi rękę — deli-

katną, wypieszczoną, o niezmiernie gładkiej skórze.

— Przyszłam do was, Kotowski, po zapalki. Wróciłam tylko co do domu i nie mogę znaleźć zapalek. Baba moja śpi, służąca też. Widziałam, że się u was świeci, więc myślę: pójdę do Kotowskiego...

— Służę zapalkami, ale przecież nie śpieszycie, Fadijewa, do poduszki... Posiedźcie z nami chwilkę. Może czarnej kawy pozwolicie?

— Doskonale. Dajcie mi czarnej kawy, Kotowski, ale to już na waszem sumieniu będzie, jeśli nie zasnę po niej.

Fadijewa usiadła, zdjęła barankową czapkę z głowy i rzuciła ją na łóżko. Kotowski podał jej szklanekę czarnej kawy.

— Tak dużo, a jaka mocna! — zauważyła. — Chyba nie zasnę po niej prędko.

— Ale za to, jak zaśniecicie, to napewno mię zobaczycie we śnie — rzekł, śmiejąc się Kotowski.

— Przypuszczacie? — spytała Fadijewa, mrużąc oczy. — Ja bo nie sądzę: nie zasłużyliście na to, Kotowski... Gniewam się na pana...

— Na mnie? Ależ com ja wam zrobił?

— A kto obiecał uczyć mię po polsku? Tymczasem oto już kilka miesięcy minęło od czasu, kiedyście mi to obiecali, a ja po polsku umiem tyleż, co i po szwedzku... Kiedyż nareszcie rozpoczniemy lekcye?



— Gotów jestem w każdej chwili.

— Więc jutro przyjdźcie do mnie wieczorem — o siódmej, nie, o ósmej, dobrze?

— Doskonale... Ale uprzedzam, że jestem surowym pedagogiem.

— Czyżby?

Rozmawiając z Kotowskim, Rosyanka od czasu do czasu rzucała spojrzenia na Janka, który siedział, w milczeniu popijając drobnymi łykami kawę.

— Więc do jutra? — rzekła Fadiejewa, żegnając się z Kotowskim.

Podala rękę Jankowi i wyszła, odprowadzana przez Kotowskiego, który oświecał jej drogę zapalką.

— Bycza niewiasta! Nieprawdaż? — spytał Kotowski Janka, powróciwszy do pokoju.

— Ale nie radziłbym nikomu dostać się w jej aksamitne łapki! Zauważyliście, jaką ma rękę?

— Istotnie, aksamitną... No, ale czas do łóżka, jutro o ósmej musimy być już w „poli“. Dobranoc!

— Dobranoc! Wiecie, może zamiast mnie, to wy się jej przyśnicie. Zerkała na was dość często ukradkiem...

Janek powrócił do swego pokoju, położył się do łóżka i zgasił lampę. Długo jeszcze jednak nie spał. Myślał o Maryni i mimowoli porównywał ją z tylko co poznaną Rosyanką. Marynia była szczuplejsza i miała świeżą, delikatną cerę. Smagła twarz Rosyanki uderzała swoją bladością. Obie miały ładne oczy.

Ale kiedy w czarnych, zagwiałych się oczach Rosyanki pełgały jakieś błyski, przejmujące Janka obawą, graniczącą prawie z odrazą, z głębokich, szczerych, czystych oczu Maryni biła jasność promiennej duszy, niosąca spokój i ukojenie.



### XIII.

## Z. Z. S. P.

Było już późno. Janek siedział nad podręcznikiem, wypisując zeń do zeszytu formuły chemiczne. Przez cały dzień padał deszcz. I teraz jego krople jak grad drobnych śrucinek biły w szyby. Wiatr ciskał się do okien, wył w kominie i łomotał po dachu. Zapukano do drzwi pokoju Janka i jednocześnie dał się słyszeć głos Kotowskiego:

— Jeszcze nie śpicie?

— Nie, wstąpcie...

Kotowski wszedł.

— Kujecie? — spytał.

— Tak, trochę... chciałem powtórzyć sobie parę ustępów z „organicznej“, ale już właściwie skończyłem — odpowiedział Janek, zamykając podręcznik i kładąc go na półkę.

— Wracacie z miasta? — spytał.

— Nie, byłem na dole, na lekcji... u Fadijewej...

Janek spojrział na Kotowskiego i dopiero

teraz zauważył, że ten wyglądał jakoś inaczej, niż zwykle. Jego spokojną zazwyczaj twarz przebiegały drgania nerwowe, wzrok pałał nienaturalnym ogniem, policzki płonęły gorącym rumieńcem.

— Cóż, robi postępy? — zagadnął po chwili Janek, patrząc na Kotowskiego, który chodził po pokoju, zmarszczywszy brwi.

— Kto? A, Fadijewa? Tak, rozumie już sporo... Tylko, że my więcej czasu tracimy na polemikę, niż na naukę polskiego. Spieramy się o najrozmaitsze kwestye. Niegłupia facetka... Indywidualistka krańcowa, anarchistka, a jednocześnie taka nacyonalistka rosyjska, że aż dziwne. Doprowadza mię czasem do wściekłości. A wyszczekana! Argumentów jej nigdy nie brakuje. Czytała też sporo i potrafi bardzo sprytnie operować cytataami. Już to Moskale wogóle bez cytat nie mogą się nigdy obyć. Nie wiem, czyście to zauważyli. Chłop rosyjski, wchodząc do izby, przedewszystkiem żegna się z wielkim rozmachem i dopiero potem przystępuje do powitania i do interesu, w którym przyszedł. Rosyjski inteligent nie może przystąpić do rzeczy, zanim nie powoła się na jakąś powagę, dziś zwykle na Marksa... Fadijewa zresztą cytuje Nietsche'go najczęściej... No, ale, wiecie, przyszedłem, ażeby z wami pogadać o pewnej sprawie praktycznej. Jesteście tu już zgórą trzy miesiące, rozpatrzyliście się w stosunkach, o ile mogłem zrozu-

mieć, to jesteście z przekonania socjalistą, peesowcem...

— Tak, już w Pitrze się nim stałem...

— A więc „all right!“ Do organizacyi jednak nie należeliście?

— Nie, nie należałem...

— Sądzę, że czas już, abyście się zorganizowali. Jutro mamy posiedzenie sekcji tujejszej „Związku zagranicznego socjalistów polskich“. Jeśli chcecie, to możecie być przyjęci.

Tu Kotowski wydobyl z pularesu arkusik we czworo złożonej bibułki i podał go Jankowi.

— To jest ustawa — rzekł — przeczytajcie ją sobie.

Janek wziął w rękę ustawę Z. Z. S. P. i począł się w nią wczytywać. Ale nie mógł się skupić i drobne literki londyńskiego druku skakały mu przed oczyma. Opanowało go radosne wzruszenie. Będzie „zorganizowanym“, a więc stanie się jednym z tych kółek, które przyczynią się do pchnięcia naprzód potężnej siły, mającej z czasem zdruzgotać nienawistny gmach niewoli. Szybko przebiegł do końca paragrafy ustawy i zwrócił ją Kotowskiemu.

— Cóż, przystępujecie? — spytał ten, chwając do pularesu bibułkę.

— Całem sercem! — rzekł Janek, a wyrazy te, mimo jego woli, zabrzmiały tak uroczyście, że się aż wewnątrznie zawstydził.

Kotowski pożegnał go mocnem uściśnieniem ręki, a nazajutrz po południu obydwaj zdążyli krętymi, spadzistemi uliczkami dolnego miasta do małej podrzędnej restauracyjki, gdzie w osobnym pokoiku miało się odbyć posiedzenie sekcji zuryskiej Z. Z. S. P.

Kotowski pozostawił Janka na kilka chwil w salce ogólnej, poczem wezwał go do osobnego pokoiku, gdzie tymczasem odbyło się głosowanie.

— Zostaliście przyjęci jednogłośnie — obwieścił Kotowski.

Janek przywitał się z obecnymi. Byli to sami studenci, dobrzy znajomi Janka z politechniki, „Towarzystwa“ i „kuchni“. Poza tem w przewodniczącym Janek poznał owego szczupłego blondyna, który przemawiał na obchodzie listopadowym. Był to, jak się dowiedział, stolarz z Warszawy, emigrant, osiadły w Zurychu od roku.

Janek, na propozycję, aby sobie dobrał pseudonim partyjny, przezwał się „Litwinem“, poczem przystąpiono do załatwienia spraw bieżących. Omawiano głównie sposoby dopomożenia towarzyszom galicyjskim w ich walce przedwyborczej, co też gorąco zalecał ostatni okólnik Centralizacyi Z. Z. S. P., otrzymany z Londynu. Janek z zajęciem przysłuchiwał się wymianie zdań obecnych, nie biorąc udziału w dyskusyi. Postanowiono wreszcie urządzić bal.

— Ze dwieście frani może z tego być — mówił Strugalski.

— Może i więcej, ale trzeba Rosyan zagitować w „kuchni“ — dorzucił Minnert.

— Parę niemieckich znajomości ja mam — zauważył Rybak — a zresztą Czyżewski powinien w „Eintrachcie“ trochę biletów puścić.

— Nie wiem, czy się uda — odparł Czyżewski, ów stolarz z Warszawy. — Na wybory austriackie zbierają tam dość dużo, wątpię, czy się dadzą jeszcze na bal naciągnąć.

— Jakoś to tam będzie! — zawołał Kotowski. Grunt, aby do komisji balowej wybrać energicznych facetów.

Przystąpiono do wyboru komisji. Wybrano do niej i Janka, wkładając nań obowiązek agitacji wśród kolegów-Rosyan. Kasyer ściągnął składki zaległe i posiedzenie sekcji zostało zamknięte. Stopniowo wszyscy opuścili lokal restauracyjny. Janek wyszedł razem z Kotowskim i Czyżewskim.

Szli, milcząc, w górę — w kierunku Obersztrazu. Spotykali i wymijali całe grupy Szwajcarów, korzystających ze święta, ażeby wypełnić winiarnie, piwiarnie i inne temu podobne zakłady. Nieinteligentne twarze mężczyzn i niezgrabna budowa kształtów kobiet, zgarbionych, o wklęsłych piersiach, o potwornie dużych, płaskich stopach wciąż jeszcze uderzały Janka, pomimo że się już zdążył był poniekąd przyzwyczać do takiego



wyglądu „Hajbów“. Ale na Obersztrasie ci ostatni jakby gubili się wśród cudzoziemców, gdy tymczasem tu, w dolnem mieście, studenteryi cudzoziemskiej nie było widać.

Janek i jego towarzysze wchodzili na Obersztras z wolna podnoszącą się długą ulicą. Tu spotykali już coraz częściej studenckie typy cudzoziemskie, podążające nad jezioro.

— No, będziecie się mogli natychmiast zabrać do spełniania funkcyj, które na was włożono — odezwał się nagle Kotowski, zwracając się do Janka.

— Niby jak ?

— Widzę idące nam na spotkanie Rosyanki — Fadiejewą i jej koleżankę, Brucht. Zapoznam was z niemi, a raczej z Brucht, bo Fadiejewą już znacie, i pójdziemy nad jezioro. Można będzie je zaagitować na rzecz balu. Dobrze? Co?

— Owszem — odrzekł Janek po chwili namysłu.

Pożegnali pośpiesznie Czyżewskiego i przyłączyli się do studentek, które właśnie nadchodziły.

Kotowski poszedł obok Fadiejewej, Janek — obok jej koleżanki. Ponieważ chodnik był wąski dla całej czwórki, więc ta podzieliła się na pary, które szły jedna za drugą. W miarę zbliżania się ku jezioru przestrzeń je dzieląca wzrastała tak, że wreszcie ani Janek, ani jego towarzyszka nie słyszeli słów Fadiejewej i Kotowskiego.

— Dziwię się ja wam — mówiła Brucht do Janka — że was tak obchodzą wybory w Galicyi. Powiedzmy w Wiedniu, to rozumiem, ale w Galicyi!

— Ależ te wybory odbędą się u nas, w kraju, bo przecież Galicya jest tak samo częścią kraju naszego, jak i Królestwo.

— Co wy mówicie? Przecież to za granicą, w Austrii.

— No tak, ale lud tam mówi tak samo po polsku, robotnicy-Polacy pragną wybrać swoich własnych, polskich posłów socjalistycznych, a zwycięstwo socjalistów w Galicyi będzie zwycięstwem całego polskiego obozu socjalistycznego. I dlatego my, socjaliści Polacy, bez względu na to, skąd pochodzimy, chcielibyśmy ułatwić zwycięstwo naszym towarzyszom galicyjskim.

— Wiecie co? To nie jest objaw solidarności międzynarodowej. To mi się wydaje raczej czemś, co pachnie, nie obraźcie się, ciasnym nacjonalizmem.

— Więc, jeśli byśmy posłali dochód z balu zuryskiego do Wiednia, byłby to objaw solidarności międzynarodowej? A jeśli przelejemy te pieniądze do kasy naszych towarzyszków polskich w Galicyi, to będziemy ciasnymi nacjonalistami, zdrajcami sprawy robotniczej?... Czy nie tak?

Brucht nic na to nie odpowiedziała. Szli chwilę, milcząc.

— Dobrze! Powiedzcie mi teraz — rzekła

znowu studentka — czy dla was bliższymi są socjaliści polscy w waszym galicyjskim Krakowie, czy rosyjscy w Petersburgu, Moskwie albo Niższym Nowogrodzie? Odpowiedzcie całkiem szczerze, bez wykrętów.

— Zupełnie nie potrzebuję żadnych wykrętów używać...

— Więc jakżeż?

— Socjaliści polscy mnie, socjaliście polskiemu, są bliżsi od rosyjskich, pomimo że z rosyjskimi łączy mię wspólność wroga, z którym musimy walczyć i w Warszawie i w Petersburgu. Wicie: z socyalistami polskimi w Galicyi czy w Poznańskim stanowimy jedność naturalną, z socyalistami rosyjskimi zaś łączą nas wspólne kajdany, tak jak i z socyalistami ormiańskimi czy gruzińskimi, uciskanymi przez ten sam rząd co i my. Zupełnie tak samo proletaryusza polskiego z hiszpańskim czy szwedzkim łączy ucisk międzynarodowego kapitalizmu, co wytwarza w rezultacie poczucie solidarności międzynarodowej wszystkich proletaryuszy...

Brucht wzruszyła ramionami.

— Może nie dość jasno się wyrażam — ciągnął dalej Janek — więc powiem tak: z socyalistami polskimi wszystkich części Polski stanowimy jedność, pomimo dzielących nas granic; z socyalistami rosyjskimi (tak samo jak z niemieckimi, francuskimi, angielskimi) połączeni jesteśmy węzłami soli-

darności międzynarodowej, solidarności socjalistycznej...

— Nie, mówcie co chcecie, to nie jest prawdziwie socjalistyczne stanowisko — przeważa Rosyanka. — Prawdziwy socjalista nie uznaje sztucznych przedziałek narodowościowych. Dla niego istnieje Ludzkość, a nie narody, bo te są formą przemijającą. Proletaryat nie ma ojczyzny. On walczy z kapitalizmem na całej kuli ziemskiej, tak samo w Rosyi, jak w Austrii, we Włoszech, jak w Ameryce...

Studentka mówiła głośno, żywo gestykulując, idąc coraz prędzej. W ten sposób szybko się zbliżali do Kotowskiego i Fadiejewej. Byli już o krok od nich, kiedy Kotowski, słysząc ostatnie wyrazy studentki, zauważył:

— Oho, Brucht się wybiera do Ameryki...

— Słuchaj, Nadiu, co Pacewicz wygaduje na temat międzynarodowej solidarności proletaryatu. Okropność!

— Znowu polityka! — zawołała Fadiejewa. — Bójcie się Boga, ludzie! Czyż się to wam nie sprzykrzy już raz? Widzicie, co za cudny zachód słońca. Siadajmy tu i patrzmy. Właśnie jakby na nas czekała ta pusta ławka.

Mówiąc to, Fadiejewa usiadła na niskiej ławce żelaznej. Wszyscy poszli za jej przykładem.

Ostatnie promienie słońca dogasały, złączając brzegi różowych obłoków. Szare wzgórza po

drugiej stronie jeziora tonęły coraz bardziej we mgle. Mrok powolutku zasnuwał całą tę część wybrzeża, którą widać było z ławki, zajętej przez czwórkę polsko-rosyjską. Chłodny wiaterek dął od strony Rapperswylu, ale nikt z siedzących nie zwracał na to uwagi. Cisza, przerywana miarowym pluskiem fali, odbijającej się od pokrytych skorupą lodową kamieni nadbrzeżnych, narzuciła potrzebę milczenia. Milczeli też wszyscy. Mrok gęstniał. Jezioro zczerniało, a nad miastem coraz wyraźniej jaśniała luna — odbicie tysięcy światła, palących się na ulicach Zurychu.

— Nadiu, zaśpiewaj — szepnęła Brucht.

— Daj spokój, taka cisza cudowna...

— Zaśpiewajcie, Fadiejewa, proszę was — mówił Kotowski, zaglądając błagalnie w oczy siedzącej przy nim dziewczyny.

Fadiejewa wyprostowała się i czyste, głębokie kontralto Rosyanki przerwało ciszę.

Noce bezsenne,  
O, noce szalu...)

śpiewała, a pełne dziwnie bolesnej tęsknoty dźwięki pieśni cygańsko-rosyjskiej budziły w duszach słuchaczy struny namiętych pożądań rozkoszy...

Fadiejewa skończyła i podniosła się z ławki, ale reszta siedziała jak zahypotyzowana.

— Chodźcie już, bo chłodno — rzekła Fadiejewa.

Janek i Brucht jednocześnie powstali, tylko Kotowski wciąż jeszcze siedział.

— No, Kotowski, ruszcie się! Chyba nie pamiętacie, że mamy dziś jeszcze lekcję?

— Pamiętam — odrzekł Ktowski i zerwał się zaraz z ławki.

Brucht poszła naprzód. Za nią podążył Janek. Kotowski i Fadijewa pozostali tymczasem w tyle. Obydwie pary szły szybko chodnikiem wybrzeża. Wydostawszy się z mroków skweru na przestrzeń, zalaną światłem latarni ulicznych, Janek i Brucht zatrzymali się mimo woli, olśnieni. Ale jednocześnie zamilkł i odgłos kroków idącej za nimi pary. Janek obejrzał się odruchowo i zobaczył Kotowskiego i Fadijewą splecionych w namiętnym uścisku.

„Noce bezsenne, o, noce szału“... zadźwięczało w duszy Janka. Poczul, że nagle ogarnia go jakaś czczość, jakaś niechęć do wszystkiego otaczającego, do idącej koło niego dziewczyny o chudej, piegowatej twarzy, do Fadijowej, do Kotowskiego i całego Zurychu.

Odprowadził Brucht do jej domu na Vogelśangweg, zaledwie odpowiadając na jej pytania, potem znów skręcił na dół, do miasta, wstąpił do pierwszej napotkanej restauracji i tam przesiedział prawie do północy nad ćwiartką kwaśnego miejscowego wina, którego prawie nie tknął.

Kiedy powrócił do domu, Kotowskiego jeszcze nie było. Przekonał się o tem, zajrzawszy do jego pokoiku. — „Lekcja“ — rzekł

sam do siebie, uśmiechając się złośliwie. —  
A zresztą, cóż mię to obchodzi? — pomy-  
ślał, zżymnąwszy się na wspomnienie sceny,  
jakiej mimowoli stał się świadkiem tam, na  
wybrzeżu.





#### XIV.

### LAFIRYNDĄ.

Bal się udał, choć agitacya Janka nie odniosła wielkiego sukcesu. Miał zamało znajomości wśród Rosyan, zresztą nie umiał im trafiać do przekonania. W każdym razie zapoznał się z całą gromadką studentów i studentek rosyjskich, z których się jednak na bal zjawiła tylko „delegacya rosyjska“, jak nazwał obecnych Rosyan Czarnocki, obliczywszy, że ich jest wszystkiego dziewięćcioro.

— Poczekajcie, dranie! — mówił — będziecie urządzali jaką szopkę, to wam wyślemy delegacyę z jednego faceta — dla zadokumentowania międzynarodowej solidarności...

Było coraz przestronniej, bo publiczność szwajcarsko-niemiecka, a za nią i wszyscy starsi opuścili już lokal restauracyjny, w którym się bal odbywał. Zmęczeni muzykanci urządzali coraz większe przerwy między je-

dnym a drugim tańcem. Potworzyły się grupki rozmawiających o różnych sprawach, które nie miały żadnego związku z balem.

W jednym z bocznych pokojów zebrało się kilkanaście osób, tworząc chór improwizowany, nie tyle zgodny, co głośny. Minnert, czerwony, spocony, dyrygował, zabawnie kiwając się i łapiąc co chwila za spadające mu z nosa binokle. Śpiewano po polsku, po rosyjsku i po ukraińsku, niemiłosiernie kalecząc wymową rosyjską dźwięki języka Szweczenki. Zaintonowano wreszcie pieśń gruzińską „Dzamije“, bardzo popularną w zuryjskich kołach studenckich.

— Prędeż, prędeż! — wołał Minnert, rozpaczliwie wymachując obydwoma rękami, a Bułgar Todorow wydawał tak potężne dźwięki basowe, że niemal zagłuszał piskliwy głos studentki-Rosyanki, wrzeszczącej fałszywie nad samym uchem Janka.

— Wierka, daj spokój! — mitygowała ją koleżanka, ale bez skutku.

Skończono wreszcie pieśń gruzińską.

— „W ni-i-iz pa ma-a-a-tusz-kie-e-e pa Wołgie...“ — zanucił ktoś z Rosyan i zaraz przyłączył się do niego cały chór. Bujna melodia nadwołżańskiej pieśni rozbójniczej wypełniła mały pokój i wydarła się z niego na salę, gdzie panował gwar głośnych rozmów. Kilka osób podążyło w kierunku, skąd dolatywały odgłosy pieśni. Za ich przykładem poszli inni i oto na progu i przed progiem pokoiku,

w którym się mieścił chór improwizowany, skupiło się całe mnóstwo młodzieży.

Oklaskiwano śpiewających, co ich zachęcało do coraz to nowych popisów, aż wreszcie położyła im kres przygrywka do walca, który się miał zaraz rozpocząć. Słuchacze tłumnie podążyli na salę, znalazła się tam i część chóru, który w ten sposób zakończył swe istnienie.

— Coś zanadto koło tej Fadiejewej nasz Kotowski się uwija — zauważył Czyżewski, patrząc na wirujące pary.

— To wy znacie Fadiejewą? — zagadnął go Janek, do którego właśnie zwrócił się ze swą uwagą emigrant.

— Jeszczeby też nie! Znam ją z Monachium. Wyjechała stamtąd do Genewy, bo musiała wyjechać: jakiś facet otruł się tam z jej powodu. Ale i w Genewie widać nie długo popasała. Teraz tu się znowu kręci...

— Studjuje, zdaje się, filozofię — wtrącił Janek.

— Nie wiem ja, co ona tam studjuje, ale spotkałem ją tu kiedyś z Wechslerem — jest tu taki Niemiec, niby anarchista, niby socyalista. Otóż ten Wechsler grubo mi się nie podoba. Przekonałem się, że rozumie po rosyjsku, choć ukrywa to starannie. Nie dałbym głowy za to, że nie jest szpiclem.

— Rosyjskim?

— Naturalnie.

— Więc przypuszczacie, że Fadiejewa?...

— Przypuszczać, nie przypuszczam, ale zawsze nie podoba mi się, że nasz Kotowski tak wciąż przy niej wisi. Po co ma sobie nią chłopak głowę zawracać? Toż to — między nami mówiąc — lafirynda...

— Mieszka w tym samym domu, co i my, to jest ja i Kotowski.

— Taak? A gdzie macie skrzynki do listów, pewnie na dole?

— Na dole.

— No, wiecie, możeby lepiej było, aby listy z Londynu nie przychodziły na adres Kotowskiego. Zawsze to: strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówi przysłowie. Muszę mu to powiedzieć przy sposobności. Oho! Ale to już po drugiej, na mnie czas. O wpół do ósmej muszę być w warsztacie. Bywajcie!

Czyżewski poszedł do domu, a Janek stał w drzwiach sali i, patrząc na tańczących, rozmyślał nad podejrzeniami stolarza. Czyżby to być mogło, aby Fadiejewa utrzymywała stosunki ze szpiegami lub sama była szpicłówką? Wydawało mu się to wręcz nieprawdopodobnem, a jednak słowa Czyżewskiego pozostawiły pewien ślad w jego wyobraźni, która pracowała usilnie nad stworzeniem poszlak, obciążających dziewczynę. To przenoszenie się z miejsca na miejsce, te stosunki z podejrzanym anarchistą-Niemcem, ukrywającym znajomość języka rosyjskiego, ta natrętna chęć zawarcia bliższych stosunków z Kotowskim — dawały dużo do my-

slenia. Ale sam Czyżewski rzucił słowo, które to wszystko tłumaczy doskonale: lafirynda! Zresztą przecież i z Monachium wyjechała na skutek jakiejś awantury. W każdym razie źle jest, że się Kotowski wplątał w miłośćkę z Fadijewą. Bo chyba jej nie kocha na seryo, tak jak on Marynię. Też porównanie! Janek odczuł, że samo zestawienie Maryni z Fadijewą było obrazą dla jego ukochanej dziewczyny i przykro mu się jakoś zrobiło.

Właśnie tuż koło niego przelatowała Fadijewa, wsparta na ramieniu Strugalskiego. Była prześliczna. Obcisła, czerwona bluzka uwydatniała jej bujne kształty, blada zwykle twarz była mocno zaróżowiona, oczy żagwiły się gorącym blaskiem, a z poza rozchylnych warg lśniły w rozkosznym, mdlejącym uśmiechu dwa rzędy równych, oślepiająco białych zębów.

— Hurysa! — pomyślał Janek, śledząc oddalającą się studentkę wzrokiem, pełnym zmysłowego zachwyty, i poczuł nagle, że ktoś uważnie na niego patrzy. Podniósł głowę i spotkał się ze spojrzeniem Kotowskiego, które mówiło wyraźnie: „A co? ładna? podziwiasz? Tymczasem ona jest moją, do mnie jedynie należy“. W czarnych oczach Kotowskiego odbijała się duma tryumfującego samca i nic więcej. — Stanowczo on jej nie kocha — powiedział sobie w myśli Janek, i przekonanie to sprawiło mu wielką ulgę.

Dźwięki walca zamilkły. Muzykanci zabrali się do składania nut i instrumentów. Bal się skończył. Studenci poprzynosili koleżankom okrycia na górę i reszta uczestników „balu na wybory galicyjskie“ opuściła lokal, w którym się ten odbywał.

— Chodźcie, Pacewicz, z nami do „Wiener Café“, na czarną kawę! — zaproponował Strugalski. — Idziemy tam całą bandą: Fadijewa, Kotowski, Minnert, Rybak...

— Nietylko na kawę, ale i na „Knickebein“ — poprawił go Kotowski.

— Dobrze, chodźmy! Ale cóż to jeszcze za „Knickebein“?

— Zobaczycie! Tylko chodźcie prędeż...

Uszeregowano się w pary i ruszono w kierunku „Wienerki“, gdzie wejście rozbawionej studenteryi z Kotowskim i Fadijewą na czele wywołało niemałą sensację, tem bardziej, że już wkrótce miano kawiarnię zamknąć.

Nowoprzybyli zasiedli przy dużym okrągłym stole i zażądali czarnej kawy oraz „Knickebeinu“.

Janek siedział wprost naprzeciwko Fadijowej, przyglądającej się pod światło szmaragdowo-rubinowemu likierowi, uwieńczonemu całym żółtkiem. Patrzył na nieco znużoną twarz studentki, na jej lekko podkrążone oczy i znowu zastanawiał się nad pytaniem, wywołanem nieokreślonymi podejrze-

niami Czyżewskiego: czyżby naprawdę miała coś wspólnego z tajną policją rosyjską?

— O czym tak myślicie, Pacewicz? — spytała nagle studentka, bacznie wpatrując się w Janka.

Janek się zmieszał.

— Tak sobie, o niczem — bąkał, unikając jej wzroku.

— Pacewicz napewno jest zakochany i to bez wzajemności, ręczę za to — mówiła, głośno śmiejąc się, Fadiejewa. — Czyż nie tak? Milczy zawzięcie, nie tańczył na balu i nawet zdaje mi się, że schudł w ostatnich czasach.

Twarz Janka okryła się rumieńcem. Gniewał go ton, w jakim mówiła studentka, gniewały spojrzenia wszystkich, siedzących przy stole, zwrócone na niego. Zmarszczył brwi i milczał.

— Co do mnie, tobym się nie potrafiła kochać bez wzajemności i wam, Pacewicz, nie radzę...

— Musicie mieć dużo praktyki w tym kierunku, że tak szafujecie radami — wycedził przez zęby Janek, podnosząc oczy na Fadiejewą.

— Oho jaki zły! Czegóż się zaraz tak złościć?! A co do praktyki, to kochałam się tyle razy, ile mi się podobało, ale nigdy bez wzajemności. I, gdybym chciała, tobyście się i wy, Pacewicz, we mnie zakochali.

— Spróbujcie! — mruknął Janek.



— Kiedy mi się nie chce... No, nie gniewajcie się! Bądźmy przyjaciółmi! A teraz wypijmy za spełnienie się życzeń każdego.

Podniosła do ust kieliszek z resztką likieru i wychyliła go do dna. Wszyscy poszli za jej przykładem.

— Możeby jeszcze kolejkę? — zaproponował Minnert.

— Owszem, ale już nie tego świństwa — zauważył Rybak.

— Więc czego, benedyktyнки, albo chartreuse'y? — spytał Kotowski.

— Wszystko jedno, niech będzie benedyktyнка! „Sechs Benedictiner!“ — rzucił Rybak kelnerowi.

W dziesięć minut potem cała kompania powracała na pogrążony w sen głęboki Obersztras. Fadijewa nuciła jakąś melodyę operetkową, mocno wspierając się na ramieniu Kotowskiego. Minnert pierwszy odłączył się od towarzystwa i znikł w jednej z kamienic, nie żegnając się. Rybak i Strugalski wkrótce potem skręcili w boczną uliczkę. Janek szedł teraz obok Fadijowej.

— Cóż, wciąż się gniewacie na mnie, Pacewicz? — spytała, zaglądając mu w oczy.

— Ale skądże? Wcale nie! — zapewniał Janek i wciąż powracał myślą do podejrzeń Czyżewskiego.



XV.  
SZPICEL.

W miarę zbliżania się terminu wyborów do parlamentu austriackiego te ostatnie spychały na plan dalszy wszystkie sprawy, zwykle zaprzątające uwagę polskiej młodzieży socjalistycznej w Zurychu. Gazety galicyjskie, przychodzące do czytelnicy „Towarzystwa“, wdzierano sobie wzajemnie. Obliczano szanse kandydatur socjalistycznych w Galicyi z całą drobiazgowością, a Strugalski podkreślał w „Kalendarzu Robotniczym“ nazwy wszystkich tych punktów na wsi w okręgu krakowskim, gdzie się odbyły zgromadzenia przedwyborcze, zwołane przez organizację socjalistyczną. Sprzeczne wiadomości, nadchodzące z Galicyi, tendencyjne łgarstwa prasy, wrogiej socyalistom, wątpliwości teoretyczne co do powodzenia agitacji wśród chłopów — wszystko to dawało powód do nieskończonych sporów i dyskusyj w „Towarzystwie“ i w kuchni. Zainteresowanie się wyborami galicyjskimi udzieliło

się nawet studentom, obojętnym na punkcie polityki. I w kolonii rosyjskiej mówiono bardzo dużo o wyborach w Austrii.

Nadszedł wreszcie dzień wyborów. Hio-bowa wieść o zupełnej klęsce w Wiedniu wywołała nastrój ponury. Z obawą i z drżeniem serca oczekiwano telegramu, który miał nadejść z Krakowa, od jednego z byłych zuryszan. Wszyscy członkowie sekcji zuryskiej zebrali się w pokoju Kotowskiego, pod którego adresem miał przyjść ów telegram.

Mijały godziny, a telegramu nie było. Kotowski już po raz czwarty przyrządzał czarną kawę, a od dymu tytoniowego zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

— Pewnie kłapa, więc facetowi nie chce się telegrafować — rzekł Rybak, przerywając ciężkie milczenie.

— Kto wie? W każdym razie czekajmy telegramu — zauważył Strugalski, ale i w jego głosie brzmiała nuta ostatecznego zwątpienia.

Czyżewski przechadzał się po pokoju z założonemi w tył rękami. Nagle zatrzymał się, nasłuchując.

— Telegram! — zawołał Kotowski i wszyscy rzucili się do drzwi.

Istotnie w przedpokoju stał posłaniec z telegrafu, który wręczył depeszę Kotowskiemu. Ten rozdarł ją drżącemi rękami i odczytał wzruszonym głosem:

„Kraków, Lwów zdobyte, Rzeszów możliwy“.

— Hurra! — wrzasnął Minnert, zapominając, że to już dawno po „Polizeistunde“ i że „baba“ Kotowskiego i Janka śpi od paru godzin.

— Cicho! — mitygował go Janek, ale i sam czuł potrzebę wznoszenia okrzyków i radośnego hałasowania z powodu wiadomości o zwycięstwie.

— Wynośmy się, wynośmy się wszyscy! — naglił Rybak. — Trzeba oblać ten tryumf.

— Chodźmy, bo nie wytrzymam i będę ryczał jak bawół! — wołał Minnert.

— Cicho, bawole, zbudzisz mi „babę“! Jeszcze mię gotowa wylać — ofuknął go Kotowski.

Wszyscy opuścili mieszkanie, szybko zbiegli po schodach i dopiero na ulicy dali wyraz swej szalonej radości. Wśród nieustannych okrzyków poszli do restauracji „Blaue Fahne“, aby wznieść zdrowie pierwszych polskich posłów socjalistycznych. Ułożono też dwa telegramy — do Krakowa i do Lwowa, poczem wszyscy ruszyli nad jezioro i długo jeszcze rozprawiali na temat zwycięstwa i wszystkich jego konsekwencji, a ciepły, łagodny wiatr unosił ku Rapperswyłowi dźwięki „Czerwonego Sztandaru“, którym przerywano dyskusję.

Nazujutz Janek obudził się w wesołym usposobieniu. Idąc na wykłady, spotkał na schodach listonosza, a ten mu wręczył list — od Maryni. Każdy taki list był prawdziwą

uroczystością dla Janka, który zapominał o całym otaczającym go świecie i tonął w szczęściu, przenosząc się myślą nad Nowę.

Sokólska pisała o planach swych na przyszłość najbliższą. Część egzaminów ostatecznych postanowiła zdać przed wakacjami, resztę na jesieni. „Na wakacye — pisała — wyjadę zapewne do Toksowa, mam obiecaną lekcję, przygotowywanie dwóch dziewczynek do gimnazjum. Toksowo leży nad granicą Finlandyji, podobno w prześlicznej okolicy. Może mi się uda zrobić wycieczkę i do Finlandyji. Chciałabym skorzystać ze sposobności, bo już chyba nigdy nie będę tak blisko. Chyba i Pitra długo nie zobaczę. Nareszcie wrócę do kraju! Ty nie masz wyobrażenia, jak mi się chce już raz rozstać z tym obrzydliwym Petersburgiem, do którego napewno nigdy w życiu tęsknić nie będę. To też dłużej jak dwa tygodnie nie zabawię w nim jesienią. Zaraz po egzaminach jadę do Warszawki ukochanej. Nie wiem, czy mi się uda tam odrazu o coś zaczepić się. Chyba dyplom ułatwi mi poszukiwanie posady. Zresztą mam już parę obietnic. Jakoś to tam będzie w każdym razie. Ale Warszawy nie chciałabym opuszczać. W najgorszym wypadku jeszcze możebym się na Łódź zdecydowała. A na Boże Narodzenie mój pan i niewolnik ujrzy mię w Zurychu. To już zdecydowane ostatecznie. Janku mój! Wprost

się boję marzyć o naszym spotkaniu i czasem zdaje mi się, że nie nastąpi ono wcale. A wtedy taka jestem biedna, taka biedna! Prawie rok cały jeszcze do Bożego Narodzenia... Czy ja Cię zastanę w Zurychu takiegoż samego, jakim byłeś wtedy, kiedyśmy się żegnali w B.? Pamiętasz?“

Janek odczytywał list na ulicy, szybko idąc do laboratorium. Przeczytał go raz i drugi. Ścisłe określenie terminu spotkania się z Marynią było dla niego zupełną niespodzianką, dotychczas bowiem we wszystkich jej listach ta sprawa była pomijana denerwującym go milczeniem. Napróżno błagał Marynię kilkakrotnie, aby napisała coś określonego. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi na to, poczynił już myśleć niekiedy o przedostaniu się do kraju i Petersburga bodaj na dni parę. Teraz miał oznaczony termin — daleki, ale pewny, mógł więc czekać z większym spokojem.

W laboratorium spotkał się z paru kolegami rosyjskimi, o których wiedział, że są socyalistami. Jeden z nich, Goldlust, zatrzymał Janka, kiedy ten zmierzał do swego stolika.

— Wiecie, Pacewicz, Edelsztajn aresztowany na granicy. Jechał do kraju z walizką o podwójnem dnie, z literaturą socyalno-demokratyczną. Jest to już trzeci wypadek, że biorą na granicy zuryszanina z literaturą. I to w ciągu niespełna dwóch miesięcy. Za-

chodzimy w głowę, co to może być za przyczyna. Nie ulega wątpliwości, że w kolonii jest szpieg, ale wyśledzić go niepodobna. W każdym razie komunikuję wam o aresztowaniu Edelsztajna. Przestrzeżcie swoich towarzyszy, Polaków.

— Dobrze. A czy nie macie jakiego podejrzenia na kogo? — spytał Janek, przypominając słowa Czyżewskiego.

— Czy nie mamy podejrzeń? Mamy, ale zupełnie niedostateczne. Kręci się tu kilka takich typów podejrzanych, ale nikt ich na gorącym uczynku nie złapał.

— A nie znacie niejakiego Wechslera? — zagadnął Janek.

— Znam go z widzenia... Anarchista. Albo co?

— Krążą o nim pogłoski, że rozumie po rosyjsku, ale ukrywa się z tem.

— Słyszałem o tem, ale on nie utrzymuje żadnych stosunków z nami, zwłaszcza z socjalnymi demokratami. Widziałem go parę razy w „Eintrachcie“, podczas dyskusyj. Aha, prawda! Rozpytywał wówczas Warschauera, czy w kolonii rosyjskiej niema anarchistów. Nawet odprowadził Warschauera do domu.

Do rozmawiających zbliżył się inny student-Rosyanin, Eisenmann.

— Ty, znasz Wechslera? — spytał Goldlust.

— Osobiście nie, ale widziałem go parę razy. Mieszkał w tym samym domu co Edel-



sztajn, na Stapferweg, 11. Zajmował pokój obok pokoju Edelsztajna. Kiedyś zebrało się nas dość dużo u Edelsztajna, na parę dni przed jego wyjazdem.

— No, no... — wtrącił Goldlust.

— Ktoś z nas zwrócił uwagę, aby nie gadać tak głośno o rzeczach konspiracyjnych, ale Edelsztajn zapewniał, że słyszeć nas może tylko mieszkający obok anarchista niemiecki, który nic a nic po rosyjsku nie rozumie.

— Ten anarchista, to był Wechsler, który, jak się okazuje — ot kolega Pacewicz też wie o tem — rozumie po rosyjsku, ale się z tem kryje.

— Co ty mówisz? — zawołał zdziwiony Eisenmann.

— Tak, wiem to od człowieka, godnego zaufania — potwierdził Janek.

— Ależ teraz wszystko się wyjaśnia! — krzyknął Eisenmann. — Toż i „Czerwony“ i Birnbaum wyjechali z bibułą od Edelsztajna, bo w jego mieszkaniu złożone były te walizki...

— Należy natychmiast uprzedzić wszystkich, że Wechsler jest szpiegiem — rzekł Goldlust.

— A czy teraz mieszka kto w pokoju, zajmowanym uprzednio przez Edelsztajna? — spytał Janek.

— Tak, Kriwcow, ale on się polityką nie zajmuje — odrzekł Eisenmann. — W każdym razie przestrzedz go należy.

— Oczywiście! A wy ostrzeżcie Polaków, Pacewicz.

— Naturalnie.

Janek pożegnał się z kolegami Rosyanami i poszedł do pracy. Ale, mozołąc się nad preparatem chemicznym, co chwila odbiegał myślą od kolb i epruwetek. Podejrzenia Czyżewskiego co do Wechslera potwierdziły się najzupełniej. Teraz należało koniecznie wykryć, co za stosunek łączył z tym szpiegiem Fadijewą. Lecz w jaki sposób to zrobić? Do pośrednictwa Kotowskiego uciekać się niepodobna. Trzeba chyba iść na przebój i dowiedzieć się prawdy od samej Fadijewej. Ale jak to uczynić, ażeby jej nie spłoszyć i nie popsuć całej sprawy? Bijąc się z temi myślami, Janek rozlał jakiś rozczyn, zepsuł cały preparat i wreszcie dał spokój pracy, widząc, że ma głowę zaprzątniętą zupełnie czem innym.

Podczas obiadu wieść o zdemaskowaniu Wechslera szybko rozpowszechniła się w kuchni, tak wśród Rosyan, jak i między Polakami. Rozmawiano tylko o tem, tak że nawet uciecha z powodu zwycięstwa socjalistów w Galicyi, panująca wśród Polaków, została poniekąd przytłumiona. Kotowskiego nie było na obiedzie, gdyż wraz z całą grupą studentów-chemików pojechał oglądać jakąś fabrykę. Fadijewa rzadko zaglądała do kuchni, stołując się na mieście.

Janek postanowił skorzystać ze sposobności

i pójść do studentki, ażeby zakomunikować jej wiadomość o wykryciu szpiega i zobaczyć, jakie to wywoła wrażenie. Chciał, ażeby się dowiedziała od niego, nie zaś jakąś inną drogą. Był przekonany, że, zaskoczona znie-nacka sensacyjną wieścią, musi się zdradzić, jeśli tylko łączą ją z Wechslerem stosunki, któreby chciała ukryć.

Poszedł do Fadijowej wprost z obiadu. Zastał ją w domu. Dziewczyna przyjęła go nie bez pewnego zdziwienia, gdyż był u niej dotychczas zaledwie parę razy i to nigdy sam, zawsze z Kotowskim.

— O, rzadki gość! — zauważyła. — Siadajcie... Cóż tam słyhać?

— Nie wiecie jeszcze nic?

— Nie, cóż się stało?

Janek obmyślał, jakby skuteczniej cios wymierzyć.

— No, mówcież! Może jakie nieszczęście? Może Kotowski?...

Fadijewa zerwała się z krzesła i stanęła przed Jankiem, wpatrzona weń wystraszonym wzrokiem.

— Nie, żadne nieszczęście. Przeciwnie, zapobiegło się nieszczęściu na przyszłość...

— Cóż więc?...

— Wykryto szpiega rosyjskiego — mówił powoli Janek, bacznie patrząc jej w oczy, w których jednak nie mógł spostrzedz nic poza naturalną ciekawością.

— Któż jest nim?

— Anarchista niemiecki, Wechsler, zdaje się, że go znacie...

— Wechsler? Być nie może! — zawołała Fadiejewa głosem, w którym brzmiała zupełnie nieoczekiwana dla Janka radość. — Ale czy macie pewność, czy są na to dowody? — pytała gorączkowo, a z tonu jej słów można było wnosić, że wprost chodziło jej o to, aby była pewność, aby dowodów nie brakowało.

— Fakt, że Wechsler jest szpiegiem, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości — odrzekł Janek, nie wiedząc, co ma myśleć o zachowaniu się studentki. Spodziewał się wszystkiego, ale nie radości.

Fadiejewa tymczasem chodziła nerwowymi krokami po pokoju, przygryzłszy usta. Rumieniec wystąpił na jej bladą jeszcze przed chwilą twarz. Naraz stanęła przed Jankiem.

— Skąd wiecie, że ja go znam, od Kotowskiego? — spytała.

— Nie, nie od Kotowskiego — szepnął Janek.

— Aha, w takim razie od tego stolarza, emigranta, który tu przyjechał z Monachium?

— Tak, od niego.

Studentka znowu zaczęła przechadzać się po pokoju, nie zwracając zupełnie uwagi na obecność Janka, który obserwował wszystkie jej ruchy. Spostrzegł, że pierwotna radość ustąpiła miejsca gwałtownemu wzburzeniu, które tak samo było dla niego niezrozumiałe.

Nie wiedział, co ma mówić, więc po chwili podniósł się z krzesła.

— Już uciekacie? — spytała go Fadijewa, prawie nań nie patrząc.

— Muszę już iść — bąknął i pośpiesznie wycofał się z pokoju studentki, zły na nią i na siebie samego, że się znalazł w tak głupiej sytuacji.

O niczem się nie dowiedział i, kto wie, czy nie popełnił karygodnej nieostrożności. Trzeba będzie pomówić o tem wszystkim z Kotowskim — myślał, powoli podnosząc się po schodach na trzecie piętro. Właśnie stanął przed drzwiami swego mieszkania i sięgał po klucz do kieszeni, kiedy posłyszał, że ktoś wyszedł z tegoż samego mieszkania na pierwszym piętrze, które był przed chwilą opuścił. Wychylił się przez poręcz i ujrzał Fadijewą, szybko zbiegającą na dół.

Tknęło go coś na ten widok. Fala niepokoju dziwnego zalała jego świadomość. Stał chwilę, nie wiedząc sam, na co się ma zdecydować. W końcu schował klucz do kieszeni i, przesadzając po kilka stopni, szybko zbiegł na dół.

Spojrzał na lewo i spostrzegł Fadijewą, skręcającą w jedną z bocznych ulic. Szybko podążył za nią i po chwili znowu miał ją przed sobą w odległości kilkudziesięciu kroków. Szedł za nią krok w krok, czając się popod murami kamienic, a po głowie mu wirowała myśl, że popełnia świństwo, śledząc

dziewczyne. Nie mógł się jednak oprzeć temu musowi wewnętrznemu, który zniewalał go do nieprzerywania pościgu. Wchodził teraz w labirynt krzyżujących się niedługich uliczek, przyspieszył więc kroku, aby nie stracić Fadijewej z oczu. Nagle znalazł się na Stapferweg i to w tej samej chwili, kiedy Rosyanka znikła w drzwiach jednego z niedużych domków. Szedł coraz szybciej. Naraz poczuł, że mu krew uderza do głowy. Domek, do którego weszła Fadijewa, był oznaczony numerem jedenastym. Ten numer właśnie wymienił Eisenmann, podając adres Wechslera...



## XVI.

### WYZNANIE.

Janek powrócił do domu z przespiegów z głową, pełną najróżniejszych myśli i zamiarów. Zły był na siebie, że się tak dał wywieść w pole studentce, która niewątpliwie miała konszachty ze szpiegiem. Posiadał teraz dowód aż nadto oczywisty, a jednak nie mógł się opędzić wątpliwościom. Sądził, że nie należało ukrywać tego, co wiedział, ale wahał się z rozgłoszeniem wiadomości o Fadijewej ze względu na Kotowskiego. A ten jakby na złość nie wracał. Janka ogarniało wobec tego coraz większe zdenerwowanie.

Zapadał już zmrok, kiedy Kotowski nareszcie powrócił. Janek czekał chwilkę i udał się do pokoju kolegi.

Ten leżał na łóżku, paląc nieodstępną fajeczkę.

— Zmachałem się — rzekł do Janka.

Janek usiadł przy nim na łóżku i milczał parę minut.



— Nie widzieliście się jeszcze z nikim po powrocie? — spytał wreszcie.

— Nie, wracam wprost z Erlikonu... Albo co?

— Wiecie, odkryliśmy tu szpicla rosyjskiego... zasypał kilku facetów z bibułą... na granicy...

Kotowski uniósł się nieco i, wsparłszy się na łokciu, z ciekawością słuchał słów Janka.

— Któż to? — zagadnął.

— Anarchista, Niemiec — Wechsler...

— Wechsler? — zawołał Kotowski, nagle siadając, i dodał półgłosem: więc Nadia miała rację...

— Kto, Fadijewa? — spytał, w najwyższym stopniu zdumiony Janek, stając przed Kotowskim.

— Tak, Fadijewa. Napomykała mi już parę razy, że Wechsler jest prawdopodobnie na usługach tajnej policji rosyjskiej, ale puszczając to mimo uszu. Tłumaczyłem sobie poprostu te podejrzenia nienawiścią, jaką ona pała ku Wechslerowi.

— Nienawiścią? Więc ona go nienawidzi?

— Zacięcie...

— Ależ za co?

— Nie wiem dobrze — rzekł Kotowski, unikając wzroku Janka. — Znali się w Genewie... dość blisko... Przynajmniej tak mogłem wnosić z jej słów... Musiał popełnić jakąś podłość, bo Na... bo Fadijewa nigdy nie wspomina o nim inaczej jak z nienawi-

ścią. Zdaje się, że gotowa byłaby go zabić, gdyby miała po temu sposobność...

Janek milczał. Gubił się w przypuszczeniach, któreby zdołały wytlómaczyć związek między tem, co teraz powiedział Kotowski, a pójściem Fadijowej do Wechslera, i nic prawdopodobnego nie mógł wykombinować. Wreszcie postanowił wyznać Kotowskiemu, że śledził Fadijową i widział, jak weszła do domu, w którym mieszkał Wechsler. Nie zdążył jednak tego uczynić.

Nagle drzwi, prowadzące do mieszkania, zajmowanego przez obydwóch studentów, zostały gwałtownie otwarte, rozległy się szybkie kroki i na progu prawie ciemnego pokoju Kotowskiego stanęła postać kobieca. Była to Fadijowa.

— W domuś? — spytała, rozglądając się.

— Jestem! — zawołał Kotowski. — Czekał, zaraz zapalę lampę — dodał. — Siedzimy tu z Pacewiczem i gadamy o najświeższej nowości, o wykryciu szpiega w osobie Wechslera...

— Byłam właśnie u niego — rzekła studentka, siadając na krześle i rzucając na stół jakiś ciężki przedmiot, który błysnął w świetle zapalanej przez Kotowskiego lampy.

Kotowski o mało co nie wypuścił z rąk klosza, który trzymał w ręce.

— Jakto, byłaś u niego? — krzyknął.

Janek, oswoiwszy się trochę ze światłem, poznał w przedmiocie, rzuconym na stół przez

dziewczynę, rewolwer. — Zabiła go! — pomyślał i ciarki przeszły mu po skórze.

Fadiejewa siedziała przy stole, splótłszy ręce na kolanie. Na jej twarzy malowało się mocne znużenie, usta nerwowo drżały, a oczy były zupełnie pozbawione blasku.

— Poszłam do niego, musiałam pójść — mówiła jakimś rozbitym głosem.

Janek sam nie wiedział, co ma czynić. Chciał usłyszeć koniecznie tłumaczenie się dziewczyny, ażeby rozwikłać nareszcie ten splot dręczących go zagadek. Jednakże poczucie pewnej delikatności nie pozwalało mu pozostawać dłużej. Posunął się tedy ku drzwiom.

Fadiejewa zauważyła ten ruch.

— Zostańcie! — rzekła. — Po co ta komedia? Wszak i wy i wszyscy inni domyślają się, wiedzą, co mię łączy z Władysławem... Jestem wolnym człowiekiem i nie potrzebuję ukrywać swych postępków. Otóż chcę, ażebyście się i wy razem z Władysławem dowiedzieli, dlaczego byłam u Wechslera i co zaszło między mną a nim... teraz — i dawniej. Tak chcę...

Oczy Rosyanki zapaliły się zwykłym blaskiem, twarz zlekka zaróżowiła się.

— Kochałam Wechslera... krótko, ale kochałam... w Genewie. Podobał mi się jego cynizm. Imponowała mi jego pogarda dla wszelkich dogmatów. Zdobył na mnie wpływ straszny. Mógł mię popchnąć do wszystkiego.

Kiedy wyjechał do Bazylei na kilka dni, byłam jak szalona. Nie pozwolił mi jechać ze sobą, więc błagałam go codziennie w listach, aby powrócił, bo żyć bez niego nie mogę. Dopiero... daj mi wody, Władysławie.

Kotowski nalał jej szklanekę wody, którą wypija duszkiem.

— Dopiero w parę miesięcy potem przyszło otrzeźwienie. Poznałam go dobrze i zrozumiałam, jaką zgniliznę pokrywały te wszystkie jego frazesy. Odepchnęłam go z nienawiścią. Nie chciał mi wrócić moich listów i wyjechał. Spotkałam go tu raz na ulicy i zażądałam znowu mych listów. Powiedział, że mogą mu się jeszcze przydać. Nazwałam go niktzemnym, zdolnym do szantażu, do szpiegowstwa. Zaśmiał się tylko, a wyraz twarzy miał wówczas taki, że mimowoli powiedziałam sobie: on albo zostanie, albo już jest szpiegiem. I przekonanie to nie opuściło mię ani na chwilę. Nie mówiłam ci o tem, Władysławie?

— Mówiłaś — szepnął Kotowski.

— Dziś, kiedym się dowiedziała od Pacewicza, że go zdemaskowano, poszłam do niego. Wiedziałam, gdzie mieszka, bom go wówczas, żądając listów, opuściła przed samem jego mieszkaniem. Nie było go w domu, więc czekałam... nie wiem już jak długo, w każdym razie kilka godzin. Przyszedł wreszcie... Był widocznie zaniepokojony tem, że mię zastaje u siebie. Powiedziałam mu odrazu,

że wszystko wykryte. Zbladł, stracił zupełnie głowę i nawet nie próbował się wypierać. Wówczas podałam mu rewolwer, który przyniosłam ze sobą. — Strzel sobie w łeb, kanalio! — rzekłam — nic ci innego nie pozostało. On wziął rewolwer, obejrzał go, potem wyjął z niego wszystkie ładunki, schował je do kieszeni i rewolwer położył przedemną, śmiejąc się tak samo, jak wówczas, kiedym mu powiedziała, że jest zdolny do pełnienia służby szpiega. Plunęłam mu w twarz i wyszłam...

Fadiejewa umilkła, ciężko oddychając. Kotowski siedział naprzeciwko niej, ukrywszy twarz w dłoniach. Janek przechadzał się czas jakiś po pokoju, poczem nieznacznie wyniósł się za drzwi, widząc, że milczenie trwa w dalszym ciągu.

Wstąpił do siebie tylko po kapelusz, ażeby pójść na miasto, bo o żadnej pracy wobec nawału wrażeń dnia tego nie mogło być mowy. Szedł, kierując się ku jezioru, które było zawsze celem jego wycieczek. Myślał o Fadiejewej i o jej dziwnym stosunku do Wechslera i przypomniał sobie jej słowa, powiedziane wówczas, po balu, w „Wienerce“: — kochałam się tyle razy, ile mi się podobało. Na wspomnienie o tem chwycił go niewymowny wstręt, jak gdyby dotknął się jakiegoś ropiejącego wrzodu. I żał mu się zrobiło Kotowskiego, który jest objektem zmiennego upodobania tej „lafiryndy“ — nie wiadomo

już którym, w każdym razie zastępującym jej obecnie... szpiega. Janek aż się wzdrygnął, pomyślawszy o tem. Gdyby ją jeszcze kochał, no to co innego. Ale tu chyba o miłości nie może być mowy. Że Kotowski nie kochał Fadiejewej tak jak on, Janek, kocha Marynię, o tem był przekonany. A ona? Czyż taka, co to przechwala się, że kocha tyle razy, ile się jej podoba, może kochać na seryo? Lafirynda! — rzekł głośno, nie zwracając uwagi na mijających go przechodniów.

Chodził dość długo ponad jeziorem, wciąż rozmyślając nad stosunkiem wzajemnym Kotowskiego i Fadiejewej, który mu się wydawał coraz bardziej ohydny. Kotowski musi go zerwać, musi, musi... Przekonanie to świrowało mu w mózgu przez całą drogę powrotną, kiedy szybkimi krokami podążał ku domowi.

W oknach Kotowskiego świeciło się. Nie wszedł jednak do niego, lecz udał się wprost do siebie. Ale zaledwie zdążył zapalić lampę, kiedy Kotowski zjawił się u Janka.

— Gdzieście byli? — spytał.

— Nad jeziorem... przechadzałem się... sam... Wiedziecie, że to wszystko zupełnie mię wyprowadziło z równowagi. Głowa mi poprostu pęka. Słuchajcie, nie gniewajcie się na mnie, może to nawet jest i śmieszne, że ja, właściwie taki młokos, jak u nas na Litwie mó-



wią „błazen“, odzywam się do was jak do... no, kolegi w tej sprawie, ale doprawdy...

— Mówcie, mówcie! — przerwał mu Kotowski. Czyż nie widzicie, że ja potrzebuję słowa koleżeńskiego, braterskiego? Czyż nie widzicie, że... poprostu dyabli mię biorą?...

Janek spojrział na twarz Kotowskiego, którą w tej chwili ściągnął taki kurcz bólu, że, zdawało się, jeszcze sekunda i student wybuchnie płaczem. Jankowi żal ścisnął serce, które wezbrało współczuciem dla Kotowskiego, i jednocześnie spotęgowaną odrazą do Fadijewej.

— Rzućcie ją! — wyszeptał. — Wszak wy jej nie kochacie...

— Czy ja wiem? Czasami zdaje mi się, że jest mi najzupełniej obca, że nic, ale to nic mię z nią nie łączy. A jednak są chwile, kiedy byłbym, gdyby mi powiedziano, że jej już nie zobaczę. Nie widząc jej przez kilka godzin, odczuwam pustkę zupełną. Kilka razy chciałem się już przemódz i zerwać z nią. Ale wystarczyło dotknięcia jej aksamitnej ręki, jej jednego uśmiechu — i wszystkie moje postanowienia rozpraszały się jak mgła. Dopiero dziś uczułem, że między mną a nią powstaje przepaść. Wydało mi się nagle, kiedy słuchałem jej opowiadania, że nadszedł kres, że ona już nie ma władzy nademną. Tak, nie myłę się... to jest kres...

Kotowski mówił jak gdyby sam do siebie,



a choć patrzył na Janka, zdawał się go nie widzieć.

— Tak, dziś było coś dziwnego... Rozstaliśmy się jak obcy sobie. Ona wstała i rzekła mi „do widzenia“. Mnie ani do głowy nie przyszło jej uściskać. Nie, nie mógłbym nawet tego uczynić... Wszakżeż i ten... szpieg ją ściskał. Kochała go... Sama to powiedziała... A potem nie poszedłem do niej już. Tak, to kres...

Ukrył twarz w dłoniach i siedział, milcząc. Od czasu do czasu nagle się wzdrygał cały, ale potem znowu jakby zapadał w odrętwienie. Nie odezwał się już ani słówkiem. Kiedy nareszcie wstał, potarł ręką czoło, jakby chciał z niego zetrzeć ślad trosk głębokich, serdecznie uściskał Janka i, milcząc, wrócił do swego pokoju.



## XVII.

### WIEŚCI Z PITRA.

Nazajutrz Janek wczesnie wyszedł z domu. Był na wykładach, potem pracował w laboratorium. Podczas obiadu w kuchni w dalszym ciągu omawiano sprawę wykrycia szpiega. Wśród Rosyan powstały już na tem tle legendy. Mówiono, bez wymienienia nazwisk, o istnieniu całej organizacyi szpiegów w kolonii rosyjskiej. Przypomniano sprawę barona Ungern-Sternberga, słynnego ajenta-prowokatora, który niezbyt dawno próbował organizować kółka dynamitardów wśród młodzieży, kształcącej się za granicą.

Ktoś twierdził, że ów baron znowu był niedawno w Zurychu. Inni zaprzeczali temu, uważając to za niemożliwe wobec faktu, że Ungern-Sternberg został aresztowany i skazany na więzienie, co niektórzy uważali za bardzo wątpliwe albo wprost za komedję. Przytaczano cały szereg sprawek szpiegów rosyjskich za granicą.

Kotowski nie przyszedł na obiad, co Janka mocno zdziwiło, gdyż wiedział, że tego dnia nie było żadnej wycieczki w rodzaju wczorajszej. Nie zjawił się i w „Towarzystwie“, dokąd zwykle szła z obiadu cała Polonia na gazety. Z „Towarzystwa“ Janek znowu udał się do laboratorium, gdzie pracował aż do 6-tej. Dopiero potem wrócił do domu.

Zajrzał do pokoju Kotowskiego i w półmroku spostrzegł go leżącego na łóżku, twarzą do poduszki. Podeszedł ku niemu. Na odgłos kroków Janka Kotowski zerwał się na równe nogi.

— Wyjechała — szepnął.

— Kto? Fadijewa?

— Tak, wyjechała, nie wiem dokąd... macie, czytajcie.

Tu Kotowski podał Jankowi jakąś kartkę. Janek zapalił zapalniczkę i odczytał przy jej świetle:

„Wyjeżdżam. Żegnaj i wybacż! N.“

Zapalniczka się dopaliła. Janek usiadł na łóżku obok Kotowskiego, który ukrył twarz w dłoniach i siedział zgięty, oparłszy łokcie na kolanach. Milczeli obydwaj. Nagle Kotowski wstrząsnął się całym ciałem i ciszę rozdarły dźwięki tłumionego płaczu męskiego, podobnego do ryku. Janek nachylił się nad płaczącym, objął go wpół i począł uspakajać...

— To nic, już minęło... zapalcie lampę — szepnął Kotowski, dusząc łkania.

Janek spełnił jego prośbę i po chwili świa-

łło załało pokój: Kotowski był blady jak trup. Podsiniate oczy zdawało się uciekły gdzieś w głąb głowy. Dokoła ust zarysowały się dwie głębokie zmarszczki.

— Zostawcie mnie samego — rzekł i znowu padł na łóżko, przyciskając twarz do poduszki.

Janek wyszedł na palcach jak z pokoju chorego i powrócił do siebie. Niebawem posłyszał, jak Kotowski zaczął chodzić po pokoju. Mijały godziny, a odgłos jego kroków nie ustawał. Janek poszedł spać dość późno i zaraz zasnął. Obudził się jednak, kiedy jeszcze było zupełnie ciemno. Z pod drzwi, dzielących pokój Janka od sąsiedniego, wydobywał się wąski pasek światła. Kroki Kotowskiego słychać było teraz, wśród nocnej ciszy, jeszcze wyraźniej. Wybiła trzecia. Janek przewrócił się na drugi bok i zasnął ponownie.

Następných dni Kotowski prawie nie wychodził z mieszkania. Podczas obiadu w kuchni milczał przeważnie. Zżółkł jakoś, zmizerniał, widać było na nim ślady przebytego cierpienia. Janek wpadał do niego kilka razy, ale zawsze czuł się tak jakoś nieswojsko, że uciekał co szybciej, pozostawiając Kotowskiego, leżącego na łóżku, wpatzonego w jeden punkt sufitu.

Raz, powróciwszy do domu z wykładów, Janek zastał list, przyniesiony podczas jego

nieobecności. Rzucił się nań z radością, bo był to list z Petersburga. Marynia pisała:

„Jesteśmy tu wszyscy wzburzeni okropnym wypadkiem, którego widownią było więzienie w twierdzy Piotropawłowskiej. W grudniu aresztowano jedną z bestużewek, Maryę Wietrową. Czas jakiś trzymano ją w „Predwaryłce“, ale w końcu stycznia przeniesiono do twierdzy. Niedawno wypuszczono studenta, którego cela znajdowała się obok celi Wietrowej. Ten opowiadał, że słyszał w ciągu paru dni okropne jęki. Kiedy zaś pytał dozorczy, co to jest, odpowiedziano mu, że to jęczy panna, która ma ataki nerwowe. Wówczas koleżanki Wietrowej udały się do prokuratora, żądając wyjaśnień.

„Ten powiedział: „ze łzami w oczach muszę oświadczyć paniom, że Wietrowa zginęła śmiercią męczeńską, oblała się naftą i spaliła się“. Dodał przytem, że pochowano ją na cmentarzu Preobrażeńskim. Kiedy koleżanki Wietrowej udały się na cmentarz, zapewniono je, że Wietrowej wcale tam nie chowano. Dopiero po powtórnem udaniu się do prokuratora i po zapewnieniu jego, że był obecnym przy ekspedycyowaniu zwłok na cmentarz, powiedziano, że istotnie pochowano ją tam, ale nikt nie wie, gdzie znajduje się jej mogiła.

„W tydzień potem jedna z przyjaciółek Wietrowej otrzymała list od komendanta fortecy, który potwierdził wiadomość, udzieloną

przez prokuratora, i podał kilka szczegółów o ostatnich chwilach Wietrowej. Dwa dni leżała w szpitalu w strasznych męczarniach i, pomimo usiłowań dwóch lekarzy, którzy jej nie odstępowali, skołała. Niebawem wykryło się, co było powodem tak strasznego samobójstwa: usiłował ją zgwałcić żandarm, prowadzący śledztwo.

„Znałam Wietrową i pamiętam dobrze tę twarz, zawsze zwracającą moją uwagę. Twarz inteligentna, smutna, zamyślona, miała jakiś dziwny wyraz energii, graniczący z zaciętością. Bardzo niedbale ubrana, zawsze poważna, z przejmująco smutnem wejrzeniem, miała wygląd działaczki, ciałem i duszą oddanej sprawie. Aresztowano ją jako socyalistkę...

„Koleżanki postanowiły zakupić mszę żałobną w soborze Kazańskim. Po długich debatach, podczas których wyszło na jaw немало tchórzostwa i spodlenia, postanowiono wziąć gremialnie udział w tej manifestacji. Sobór był przepelniony. Podają liczbę zebranych na 6000. Pop czmychnął. Kiedyśmy wychodzili z soboru, spostrzeegliśmy, że cały sobór jest już otoczony ze wszystkich stron policją i konnymi żandarmami.

„Rozpoczęto śpiew „wiecznaja pamiat“ i tłum ruszył na Newski. Żandarmerya rozstała się i przepuściła część tłumy, potem nagle, korzystając z tego, że dla uniknięcia natłoku przy wyjściu trochę się zatrzymano, od-

dzieliła tych, którzy już byli wyszli na Newski, od pozostałych na placu.

„Zgromadziły się tłumy publiczności. Chciano przerwać łańcuch żandarmeryi i przejść na Newski, ale o tem mowy być nie mogło. W końcu żandarmi zapowiedzieli, że na Newski pod żadnym pozorem nie puszczą, ale, jeśli chcemy, to możemy się udać na Kazańską. Policmajster dał słowo, że tam przejście będzie wolne. Skierowaliśmy się więc na Kazańską, śpiewając, z wysoko podniesionymi wiankami. Policya i żandarmerya nas eskortowały. Wszystkie lufciki były otwarte, we wszystkich oknach widać było dużo twarzy.

„Na pierwszej poprzecznej ulicy oczekiwał nas zwarty szereg żandarmów, który natychmiast otoczył powoli posuwający się tłum — samej studenteryi — i zaprowadził nas do najbliższego cyrkułu. Tam zapisano nazwiska wziętych — przeszło tysiąc. Reszta zdążyła ulotnić się, gdyż z początku żandarmi nie przeszkadzali. My, Polacy, dotrwaliśmy do końca. Wróciliśmy z Andzią coś koło 9-tej.

„Teraz niewiadomo, co z tego wyniknie. Nasz dyrektor oświadczył, że, jak go zapewnił minister „oświaty“, wszystkie studentki, które brały udział w manifestacyi, będą wydalone. Prawdopodobnie jednak wszystko skończy się na niczem, bo wzburzenie wśród szerokiej publiczności jest zanadto wielkie, ażeby władze chciały dolewać oliwy do ognia, wydalając młodzież. Teraz we wszystkich zakładach naukowych są zbierane podpisy tych,



k którzy w cyrkule nie byli, ale z demonstracją współczują.

„Wiesz, Janku, kiedyś szła do soboru Kazańskiego i kiedyś znalazła się po demonstracji w cyrkule, tak mi Ciebie brakowało, tak smutno mi było, że Ciebie niema przy mnie. A ten czas wlecze się nieznośnie. Gdyby nie to, że tyle się go już straciło, tobym chętnie rzuciła wszystko i, nie czekając na dyplom, poleciała do Warszawy, a stamtąd do Zurychu, do Ciebie, choć na kilka dni...”

Janek siedział nad listem. W jego oczach stał obraz Maryni — takiej, jaką żegnał owego popołudnia jesiennego w B., a żmija-tęsknica opłotła mu serce, wpełzła do mózgu i zatapiała w nim swe żądkło. Jeszcze tyle długich, jednostajnych miesięcy upłynie, zanim nadejdą nareszcie święta Bożego Narodzenia!... Janek już wiedział, że Marynia ma przyjechać do Zurychu na zjazd „Zjednoczenia“, jako delegatka. I to go napełniało niepokoje. Chciał być z nią sam na sam, pójść z nią nad jezioro, na Zurychberg, na jakąś wycieczkę zamiejską. Tymczasem ich spotkanie się odbędzie w zgiełkowej atmosferze zjazdu całej młodzieży polskiej za granicą, a do tego Marynia, jako delegatka, będzie musiała bywać na wszystkich posiedzeniach... Przerażało go to poprostu, więc obmyślał rozmaite projekty, aby wszystkiego tego uniknąć, lecz żaden z nich nie wydawał mu się odpowiednim...

Tego dnia wieczorem miało się odbyć walne zebranie członków kuchni polsko-rosyjskiej wraz z wyborem nowego zarządu. Tym razem wśród członków-Rosyan, stanowiących większość, ujawniała się tendencja wybrania do zarządu przeważnie Polaków. Interesy finansowe kuchni szły bowiem, jak się wyrażał Kotowski, „pod zdechłym psem“ i sam zarząd, złożony prawie wyłącznie z Rosyan, rozumiał, że gospodarka poprzedniego, „polskiego“ zarządu była całkiem inna, co doprowadziło kuchnię do stanu kwitnącego. Dlatego też członkowie ustępującego zarządu usilnie agitowali za Polakami i namawiali upatrzonych przez siebie kandydatów-Polaków do przyjęcia wyboru, choć ci, a między nimi Kotowski i Janek, energicznie się temu opierali.

Walne zebranie miało charakter burzliwy i nieporządnym w najwyższym stopniu. Krytykowano ustępujący zarząd, wymyślano mu za niedołęstwo i proponowano rozmaite, wyłącznie fantastyczne, plany sanacyi.

Wreszcie wśród nieustającego zgietku zabrał głos „wieczny student“, od niepamiętnych czasów przebywający w Zurychu Rosyanin, Czebyszew.

— Słuchajcie, koledzy — mówił. — Byłem ja już parę razy w zarządzie. Otóż, kiedy większość w nim stanowił nasz brat, Rosyanin, to się słyszało bardzo wzniosłe mowy „zasadnicze“ na temat, czy kuchnia ma mieć

„duszę“. Spierano się potem, jaką właściwie ma być ta „dusza“. A zarząd polski rozprawił o cenach mięsa, kartofli, mąki, o wynalezieniu dobrej kucharki i t. d., i t. d. W rezultacie przy polskim zarządzie i obiady były lepsze i więcej było obiadów bezpłatnych dla kolegów niezamożnych. A jak przyszedł zarząd rosyjski, kuchnia szybko chyliła się do bankructwa. Otóż, koledzy, wyciągnijcie sobie z tego wnioski praktyczne. Skończyłem.

Wynik wyborów dał „polski“ zarząd, do którego wszedł i Janek. W ten sposób spadło na niego sporo pracy, zabierającej mu prawie wszystkie wolne chwile.



## XVIII.

### ZJAZD „ZJEDNOCZENIA”.

Wbrew oczekiwaniom Janka, czas upływał mu szybko. Praca na politechnice i w zarządzie kuchni ledwie pozostawiała mu trochę chwil na czytanie pism, tak że dopiero podczas letnich wakacyj zabrał się do poważniejszej lektury. Większa część młodzieży porozeżdżała się do domów i Janek z zadością patrzył na kolegów, powracających do kraju. Coraz częściej myślał o matce, którą opuścił na szereg lat, i tęsknił do niej tak, jak w ciągu pierwszych miesięcy pobytu w Petersburgu. Od Maryni, która mieszkała w Toksowie, na wsi fińskiej, otrzymywał częste wiadomości i z bijącym sercem uprzymniał sobie, że już teraz pozostało do spotkania się z nią mniej niż pół roku. Wynajął wspólnie z Kotowskim duży widny pokój po drugiej stronie jeziora, na krańcach wsi przedmiejskiej, w domu jakiejś

wdowy, która za tanie pieniądze zaopatrywała ich we wszystko, czego potrzebowali.

Tak spłynęło im lato — na czytaniu, wycieczkach i odpoczynku.

Kotowski znowu był tym samym wesołym, żywym studentem, mentorującym Jankowi, jak dawniej. O Fadiejewej nie wspominał nigdy. Janek też nie dotykał w rozmowie nic, co by mogło przypomnieć Rosyankę — „lafiryndę“, jak ją zawsze w myśli nazywał.

Z nowym semestrem w zuryskiej kolonii polskiej nowe zapanowało życie. Przewszystkiem zwiększyła się ona znacznie, następnie zaś wzrósł w niej liczebnie żywioł kobiecy. Przyjechało kilkanaście koleżanek z kraju, garść przeniosła się do Zurychu z innych miast uniwersyteckich. Kuchnia polsko-rosyjska już się nie odrodziła po wakacjach i studenterya polska zorganizowała własną kuchnię. Skutkiem tego nastąpiło widoczne oddalenie się kolonii polskiej od rosyjskiej.

Z początkiem grudnia na plan pierwszy całego życia Polonii zuryskiej wysunęły się sprawy, związane z mającym się odbyć na Boże Narodzenie zjazdem delegatów „Zjednoczenia“. Ospała zwykle wymiana listów między zarządem „Zjednoczenia“ a poszczególnymi towarzystwami młodzieży ożywiła się ogromnie. Członkowie komisji zjazdowej rozwijali gorączkową działalność. Wyszukiwano

odpowiednich lokalów, gdzieby się mogły odbywać posiedzenia zjazdu — przed i południowe, zamawiano mieszkania dla delegatów i delegatek, mających przybyć z innych miast Szwajcaryi, z Paryża, z Belgii, Niemiec i t. d. Odbywała się „wielka wędrówka narodów“, jak mówił Czarnocki, polegająca na tem, że koledzy i koleżanki przenosili się na czasowy pobyt do sąsiadów, swoje zaś pokoje odstępowali na przyjęcie gości. Janek miał zamieszkać z Kotowskim, odstępując swój pokoiik delegatce z Petersburga, którą, jak zapewnił członków komisji zjazdowej, znał dobrze i której już obiecał wystarać się o mieszkanie. W ten sposób umożliwił sobie przebywanie pod jednym dachem z Marynią.

Już tylko dwa dni pozostały do rozpoczęcia się zjazdu i każdy pociąg przynosił do Zurychu gromadkę młodzieży polskiej, spotykaną na dworcu przez delegatów komisji zjazdowej, którzy odprowadzali przybyłych do wyznaczonych im mieszkań. Janek wychodził na spotkanie każdego pociągu, przyjeżdżającego od strony Bazylei, i denerwował się coraz bardziej, nie widząc wśród przybyłych Maryni.

Poczęły go wreszcie ogarniać niepokojące przecucia, a wyobraźnia malowała mu ponure obrazy uwięzienia Maryni, z której listów mógł wnosić, że praca zarobkowa nie wypełniała jej całego życia w Warszawie. Z bardzo ostrożnych, niejasnych napomknień

dziewczyny wynikało niewątpliwie (przynajmniej według rozumienia Janka), że jest „w robocie“. Budziło to w nim spotęgowaną chęć połączenia się z nią i pracowania razem i jednocześnie napełniało go strasznym niepokojem o jej losy.

Dał się w końcu zupełnie opanować gnębiącym przecuciom i przychodził na dworzec, zgóry będąc przekonany, że i tym pociągiem Marynia nie przyjedzie. To też kiedy zobaczył ją w przeddzień zjazdu, wychodzącą z ostatniego wieczornego pociągu bazylejskiego, sprawiło to na nim takie wrażenie, że sam nie wiedział, co ma począć i tylko po chwili, kiedy Marynia go już spostrzegła i szła ku niemu, rzucił się jej na spotkanie.

Była widocznie znużona podróżą. Twarz miała przybladłą, a potargane włosy wydobywały się w nieładzie z pod kapelusza. Janek pochwycił jej rękę w popielatej rękawiczce i przycisnął do ust, nic nie mówiąc.

— Otóż jestem! — rzekła wesoło. — Ale muszę wyglądać jak czupiradło ostatnie. Poczekaj, jutro będzie inaczej... Zmęczyłam się porządnie... Dwie noce nie spałam...

— Chodźmy, odpoczniesz zaraz, pokoik już przygotowany — mówił pośpiesznie Janek, zły na siebie wewnętrznie, że to ich spotkanie się po tak długiej rozłące ma jakiś taki banalnie szary charakter.

Wziął tłómaczek Maryni i, torując jej drogę wśród publiczności, wy dostał się razem z nią



na plac przed dworcem. Wjechali „drucikiem“ na Obersztras i w kwadrans potem Marynia już się roztasowywała w pokoiku Janka, kiedy ten pobiegł do najbliższego „Konsumverein“, ażeby przynieść coś do herbaty.

Kiedy powrócił, Marynia już się umyła i uporządkowała włosy i teraz, siedząc przy stoliku pod oknem, bacznie się przyglądała Jankowi, pochłoniętemu całkowicie rolą gościnnego gospodarza, która mu pozwoliła ukrywać jakieś dziwne, wprost niezrozumiałe pomieszanie. Drżącymi rękami nalał Maryni i sobie herbaty i usiadł wreszcie naprzeciwko dziewczyny.

I dopiero teraz, kiedy tak patrzył jej w oczy, w te same jasne, głębokie oczy, które całował tam na cmentarzu w Pitrze, a potem w B., w dzień rozłąki, dopiero teraz pomieszanie ustąpiło. Gorąca fala szczęścia bezbrzeżnego zalała mu duszę. Czuł, że mu się straszna krzywda działa dotychczas, kiedy mógł obcować z Marynią tylko listownie, i myśl, że się z nią będzie musiał znowu rozstać, wydawała mu się wprost śmieszna, zupełnie nieprawdopodobną.

— Maryniu — rzekł — ja już dłużej takiego życia nie zniosę. Nie widzieć się latami całemi i drzeć każdej chwili, że cię może spotkać nieszczęście... Nie, albo ty tu zostaniesz...

— Cóżbym ja tu robiła, Janku?

— Albo ja pojedę z tobą do kraju... Ma-

rynium, wszak ty jesteś w „robocie“, domyśliłem się, choć mi nie pisałaś o tem. Wiesz przecie, że jeszcze w Petersburgu, kiedy ci się spowiadał ze wszystkich mych myśli i zamiarów, postanowiłem wejść do partii z czasem i całkowicie oddać się sprawie. Teraz, kiedy ty już pracujesz i kiedy jabyś mógł pracować razem z tobą, czyż konieczne muszę kończyć tę głupią chemię, ażeby mię przyjęto do „roboty“? No, powiedz, Maryniu, czy to jest tak nieodwołalnie potrzebne? Powiedz!...

Janek zerwał się z krzesła i stanął przed dziewczyną, oczekując jej odpowiedzi.

— Wiesz, Janku, i ja o tem myślałam, ale czy ty rozumiesz, co to znaczy być „nielegalnym“ w kraju? A musiałbyś być nielegalnym, nie mieć własnego mieszkania, tułać się jak ptak nocny. Ciągleby ci groziło niebezpieczeństwo, bo takie życie, to loterya. Nie, nie, jabyś nie zniosła tego! Świadomość, że ty każdej chwili możesz wpaść, zaturwałaby mi życie...

— A teraz, czyż ja nie drzę o ciebie?...

— To co innego, Janku... Cóż mię może spotkać? Wsypię się, posiedzę kilka miesięcy w ulu, no i wyślą mię, przypuścimy, do Wołody albo do Wiatki... na dwa — trzy lata. A nielegalnemu grożą Jakuty... Czy ty pojmujesz, co to znaczy Kołymsk albo coś podobnego? (Tam ludzie giną, waryują, strzelają się, bo tam żyć już nie sposób...)

Marynia chodziła po pokoju z kąta w kąt z twarzą skupioną, ze zmarszczonymi brwiami.

Janek milczał chwilę, potem ujął dziewczynę za obie ręce i spytał, patrząc jej w oczy:

— A teraz powiedz, Maryniu, gdybyś wiedziała napewno, że cię wyślą nie do Wiatki na dwa lata, ale do Niżnie-Kołymska na dziesięć lat, czybyś się wycofała z „roboty“, czybyś ją porzuciła? Powiedz, Maryniu: — tak, czy nie?

— Nie — rzekła stanowczo dziewczyna.

— A odemnie żadasz, abym był tchórzem, abym unikał niebezpieczeństwa, abym się stał filistrem? Czy nie tak?

— Nie, nie, Janku, tylko, że ja się więcej o ciebie boję niż o siebie, bo ja cię kocham więcej niż siebie, więcej niż życie, więcej niż „robotę“...

— Mojaś ty — wyszeptał Janek, tuląc Marynię w ramiona i całując jej usta, oczy, włosy, szyję...

Marynia uwolniła się z objęć Janka i usiadła przy stole, na którym oddawna stygła herbata. I znów rozmowa skierowała się ku nielegalnej „robocie“. Marynia opowiadała o kółkach robotniczych, które prowadzi, o towarzyszach, z którymi dzieli niebezpieczeństwo pracy agitacyjnej, a Janek słuchał tego wszystkiego i postanowienie jazdy do kraju na „nielegalnego“ utrzymywało się w nim coraz potężniej.

Wybiła dwunasta. Janek zerwał się z krzesła.

— Kiedyż ty się wyśpisz, Maryniu, toż jutro o dziewiątej posiedzenie delegackie. Musisz być na niem. Ale też ze mnie gapa!

— Wyśpię się, niema obawy, wszak mam osiem godzin snu przed sobą — według programu — dodała, uśmiechając się, i, ujawszy oburącz głowę Janka, ucałowała go w czoło. — Pa! A teraz wynocha...

Nazajutrz rozpoczął się zjazd. Po zebraniu delegackiem nastąpiła parugodzinna przerwa. Wieczorem wszyscy zeszli się na tradycyjnej wili z niemniej tradycyjnymi toastami. Janek siedział naprzeciwko Maryni, więc cały czas miał przed sobą jej twarz, tryskającą weselem i szczęściem. — Jaka ona ładna! — mówił sam do siebie od czasu do czasu. Spostrzegł też, że siedzący obok niej studenci — delegaci z Darmsztatu i Paryża — stanowczo muszą podzielać jego zdanie i było mu to dziwnie przyjemne.

Właściwe posiedzenia zjazdowe poczęły się dopiero nazajutrz. Sprawozdania, odczyty, dyskusye, utarczki przedstawicieli obydwóch grup przekonaniowych, ścierających się w „Zjednoczeniu“, rezolucye, wyrażające stanowisko większości młodzieży zorganizowanej w najrozmaitszych kwestyach aktualnych — wszystko to wypełniało szczerlnie czas, przeznaczony na zjazd. W końcu trzeciego, ostatniego, dnia ogół członków zjazdu tak był znużony nieprzerwaną pracą, że się już pra

wie nikomu nie chciało dyskutować. Przebieczowano więc resztę materiału co prędzej i zamknięto zjazd ku ogólnej radości.

Tłum młodzieży opuszczał dużą salę „Zur Linde“, gdzie się odbyło ostatnie posiedzenie zjazdu. Gwarny potok ludzki rwał się na cząstki, podążające w różnych kierunkach. Poszczególne grupki znikwały stopniowo na zakrętach ulic, biegnących w rozmaite strony.

Janek i Marynia wydostali się z tłumu i szli wciąż w górę, w kierunku Zurychbergu, drogą, pokrytą śniegiem. Mówili o przyszłości, o wspólnej „robotcie“ w kraju, dokąd się Janek miał udać, jak tylko Partya będzie tego potrzebowała. Minęli zwarte szeregi domów, wydostając się na przestrzeń szeroką, gdzie tylko zrzadka widniały rozrzucone pojedyncze domki. Marynia miała się postarać o to, aby Janka wzięto do „roboty“ jaknajprędzej. Podnosili się coraz wyżej, brnąc po coraz głębszym śniegu. Weszli wreszcie do lasu, pomiędzy rzadkie szeregi młodych choinek, pokrytych szronem. Cicho było dokoła i tylko z daleka z dołu dolatywał niewyraźny pomruk miasta. Miryady gwiazd iskrzyły się nad Zurychbergiem.

— Spójrz, Maryniu, jakie to cudne — rzekł Janek, obejmując w pół dziewczynę i wskazując jej na gwiaździsty płaszcz nocy. Marynia oparła głowę na jego ramieniu i patrzyła w górę. Stali tak oboje, przytuleni do siebie, a serca ich biły jednym tętnem.

— Czytałam gdzieś — mówiła Marynia — że romantycy niemieccy, rozjeżdżając się w różne strony, obierali sobie jakąś gwiazdę i, patrząc na nią o umówionej porze z różnych miast lub krajów, sądzili, że ich dusze się wtedy spotykają. Wiesz, Janku, może i my tylko w ten sposób będziemy obcowali ze sobą...

Janek nic nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej przytulił do siebie dziewczynę.



## XIX.

### DO „ROBOTY“.

Janek chodził dużymi krokami wzdłuż wąskiego numeru hotelowego i czekał niecierpliwie na zjawienie się „faceta“, który powinien się być stawić zaraz po siódmej, jak było umówione. Tymczasem dochodziła już ósma, a „faceta“ wciąż jeszcze nie było.

Janek wsłuchiwał się uważnie w odgłos kroków, rozlegających się w korytarzu, ale wszystkie milkły daleko od jego numeru, położonego w samym kącie trzeciego piętra „Hotelu Saskiego“. Stał wreszcie przy oknie, patrzył w dół na pędzące w różnych kierunkach dorożki i myślał o wrażeniach paru ostatnich tygodni, które mu przesłoniły całkowicie prawie półtoraroczny pobyt w Zurichu. Przypominał sobie, z jakim wzruszeniem odczytał list Maryni, wzywający go do kraju, i z jaką radością opuszczał Obersztras — ten światek mikroskopijny, zamknięty w obrębie drobnych spraw studen-



ckiej kolonii polskiej, oderwany od gruntu miejscowego, obcy wszystkiemu, co nie dotyczy interesów kilkudziesięciu ludzi, rzuconych zrzędzeniem losu nad jezioro zuryskie. Pośpieszny wyjazd z Zurychu, przelotny pobyt w Monachium i w Wiedniu i wreszcie Kraków, gdzie spędził parę tygodni — wszystko to zlewało się w jeden barwny obraz, wobec którego Zurych tonął coraz bardziej jakby w mgle jakiejś...

I oto Janek był w Warszawie — na progu nowego życia — zupełnie innego niż dotychczasowe. Pociągało go ono swą tajemniczością, nęciło rozkoszą walki. A jednocześnie Janek bał się, że nie potrafi spełnić przyznanego na siebie zadania i lęk go ogarniał jak przed rzuceniem się w nurty rzeki, której dna nie widać. Kraj, ludzie i stosunki, wśród których miał działać, były do tąd obce dla niego, gdyż nie stykał się z nimi nigdy praktycznie. Niepokoił się teraz, że nie potrafi przystosować się do tego nowego życia i stwarzał w wyobraźni rozmaite sytuacje, w których nie wiedział poprostu, jak postępować.

Biła dziewiąta, kiedy wreszcie zapukano do numeru Janka, który pośpiesznie otworzył drzwi, zamknięte na klucz. Na progu stał Kolski. Janek poznał go odrazu, choć były medyk petersburski zmienił się dość znacznie: schudł mocno, a oczy miał zmęczone, jakby stałem niedosypianiem.

Uściskali się serdecznie. Przybyły rzucił się na fotel i wyciągnął przed siebie nogi.

— Uf! Zmachany jestem... Całe popołudnie laziłem po mieście. Teraz wracam z Pragi i musiałem porządnie krażyć, ażeby nie zabrać ze sobą szpicla. Wogóle jestem „czysty“ dotychczas, ale byłem na zebraniu, co do którego nie mam pewności, czy się tam jaki „prowok“ nie wkręcił. Zdaje się, że te stosunki trzeba będzie puścić kantem... A szkoda! Powstawała tam już wcale niezła organizacja. No, ale do rzeczy! Kiedyście przyjechali? Wczoraj?

— Tak, wczoraj wieczorem.

— Macie „pasek“ austriacki?

— Tak, dostałem w Krakowie. Rysopis zgadza się zupełnie...

— Na razie możecie z niego korzystać, bo zostaniecie przez jakiś czas w Warszawie, zanim się nie otrzaskacie cokolwiek z robotą. Potem chcemy was pchnąć na prowincję... tu i ówdzie, abyście się zapoznali ze stosunkami...

— Tylko że ja, wy to zresztą wiecie, nie mam dotychczas żadnej praktyki w tym kierunku... Chciałbym robić jaknajwięcej, ale nie wiem, czy potrafię — mówił z pewnem zakłopotaniem Janek.

— Nie święci garnki lepią — przerwał mu Kolski. — Każdy z nas na początku nie jednego bąka palnie, ale z czasem się przyzwyczai... O ile, naturalnie, nie wsypie się

przedwcześnie — dodał, śmiejąc się. A praktykę zdobywa się dość prędko. Zobaczycie! Na początek będziecie łazili po stosunkach nie sami, lecz z kimś już doświadczonym. Potem obejmiecie jakieś stosunki — już utrwalone i pewne — na własną rękę i stopniowo nabędziecie rutyny potrzebnej. Bylebyście się nie wsypali z punktu. Bo to czasem bieda z wami, „zagranicznymi“: rozwydrzy się to w tych konstytucjach i potem zapomina, że tu mamy do czynienia z fijołami, a nie z konstytucją... Mogę was zresztą pocieszyć, że, o ile nie wsypiecie się odrazu, to już potem macie szansę długo unikać szponów żandarmskich.

— Jakżeż długo? — spytał zaciekawiony Janek, który w miarę słuchania Kolskiego coraz bardziej pozbywał się obaw, że nie sprostą przyjętemu na siebie zadaniu.

— Jak długo? Bo ja wiem? Dwa — trzy lata, a może i dłużej. Mamy paru facetów, którzy są w robocie od powstania P. P. S., i jakoś im zdrowie służy, choć to już pięć lat minęło... „Nielegalni“ wogóle łatwiej unikają wsypy. Z natury rzeczy bardziej się pilnują, no i nie tak trudno zniknąć im z widowni w razie czego. Zresztą trzeba mieć szczęście. Ot naprzykład ja miałem dwa tygodnie temu taki wypadek.

Przyjeżdżam do Lublina wieczorem i staję u jednego z naszych „sympatyków“. Bajtlujemy wesoło do późna przy herbatce i idziemy

spać. Trzeba trafu, że zbudziłem się wcześnie. O siódmej już byłem zupełnie wyspany, a o ósmej wyszedłem na miasto, choć ów sympatyk, u którego nocowałem, jeszcze spał wraz z całą swoją rodziną. I, wyobraźcie sobie, że w dziesięć minut po mojem wyjściu przyszli do niego fijoły i wzięli go do ula. Albo taki fakt... Jedzie nasz facet z bibułą do Częstochowy, aż tu nagle jeden z pasażerów robi krzyk, że go okradziono. Wzywa na najbliższej stacyi żandarmów, którzy, nie długo myśląc, zarządzają rewizyę w rzeczach wszystkich, jadących w tym wagonie. Już zbliżali się do walizki naszego faceta, porządnie wypchanej bibułą, kiedy nagle ów pasażer okradziony namacał zgubę pod podszewką surduta. Rewizyi dano spokój, oczywiście. A gdyby tak stało się to o minutę później, nasz facet grubo by beknął.

Janek zasypywał Kolskiego pytaniami co do rozmaitych szczegółów życia konspiracyjnego, które znał głównie ze słynnych „Wskazówek“, wydanych w Londynie. Kolski udzielał mu wyjaśnień, wtrącając od czasu do czasu opowiadanie o jakimś fakcie bardziej charakterystycznym.

Mówili od samego początku przyciszonym głosem, zniżając go niekiedy do szeptu, aż wreszcie Janek spostrzegł, że się Kolskiemu poczynają oczy przymykać.

— Musicie być zmęczeni — zauważył Janek.

— Jeszcze jak! To też wyśpię się tu, u was, smacznie na sofie. Nikt chyba nie zauważył, że ktoś do was przyszedł. Wystawcie prędzej buty za drzwi i zgaście światło, w takim razie już numerowy nie będzie was niepokoił. Widzę, że łóżko macie nie zasłane, jeszcze go tu dyabli gotowi przynieść...

Janek szybko wykonał radę Kolskiego i po chwili obydwaj się rozbierali pociemku. Kolski w żaden sposób nie chciał przyjąć odstępowanego mu przez Janka łóżka i położył się na otomance, przykrywając się paltem. Janek ledwie go namówił, aby wziął jedną z dwóch poduszek z łóżka.

W pięć minut potem Kolski spał już jak zabity, o czym Janek mógł wnosić z głośnego chrapania swego szlafkamrata, które mu jeszcze długo nie pozwalało zasnąć.

Obudził się nazajutrz nagle i ujrzał stojącego przy łóżku Kolskiego, który, już zupełnie ubrany, przeciągał się z wyrazem rozkoszy na twarzy.

— Dawnom już tak nie spał! — mówił Kolski. — Bo to człowiek sypia najczęściej w wagonie, w drodze. A tu, w Warszawie, coraz trudniej o nocleg porządny. Taki drań „sympatyk“ z podełba na ciebie patrzy, skoro go o nocleg zagadniesz. Raz tu noco wałem u takiego ananasa, który ze strachu, że ma u siebie „nielegalnego“, zrywał się w nocy z łóżka coś ze dwa razy, tak, że

musiałem go uspakajać. Niech dyabli porwą takie noclegi! U robociarzy znowuż ciasnota straszna. Śpi się najczęściej w jednym wąskim łóżku. Z takiego spania dostałem tu kiedyś w Radomiu jakichś krost na całym ciele. Musiałem się potem przez trzy tygodnie kurować, zaniin to świństwo zeszło.

Janek umówił się z Kolskim, że się z nim spotka w pewnym mieszkaniu na Kruczej tegoż dnia o godz. 6-tej, aby pójść na zebranie.

— Powołacie się na „Andrzeja“, bo ja się tu tak nazywam — mówił Kolski, tłumacząc Jankowi, jak ma znaleźć owo mieszkanie. — Wy też musicie przybrać sobie jakiś pseudonim partyjny... jakieś imię...

Janek rzekł po chwili namysłu:

— Niech będzie „Maryan“...

— Niech będzie! — zgodził się Kolski. — A teraz — dodał — wyrzycie no na kurytarz, czy tam się kto nie kręci?

— Niema nikogo! — zakomunikował Janek, wyjrzawszy przez drzwi uchylone.

— No, to bywajcie!

Kolski pożegnał się z Jankiem i opuścił jego numer. Wkrótce potem i Janek wyszedł na miasto. Na śniadanie wstąpił do Lourse'a, znanego mu ze słyszenia, przejrzał „kuryerki“ i podążył wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, przyglądając się ciekawie ruchowi ulicznemu i wystawom sklepowym. Uderzyła go olbrzymia ilość wojskowych i urzędników w mun-



durach rozmaitych dykasteryj. Co chwila sły-  
szał też dźwięki mowy rosyjskiej, brzmieją-  
tu, na ulicach Warszawy, jakoś dziwnie wy-  
zywająco. Po za tem Warszawa zrobiła na  
Janku wrażenie miasta europejskiego. Poró-  
wnywał ją z Zurychem, Monachium, Wiedniem  
i stwierdzał, że była daleko bardziej podobna  
do nich, aniżeli do takiego Petersburga. W sto-  
licy Rosyi, tuż obok kosmopolitycznych cech  
zewnętrznych miasta — parweniusza, widzi się  
na każdym kroku, jaka przepaść dzieli jego  
ludność od kultury europejskiej. W Warsza-  
wie to się nie odczuwa wcale i, gdyby nie  
mnogość uniformów — wojskowych, urzędni-  
czych i studenckich — jej ulice niczemby się  
nie różniły od ulic znanych Jankowi miast  
Zachodu.

Prawie cały dzień Janek błąkał się po mie-  
ście: z Nowego Świata do Alej Jeruzolimskich,  
z Alej na Marszałkowską, stąd do ogrodu Sa-  
skiego, gdzie jeszcze pod drzewami leżał śnieg.  
Wydostawszy się znowu na Krakowskie Przed-  
mieście, zawrócił na lewo i szedł wciąż przed  
siebie aż się w końcu znalazł w labiryncie  
wąskich, nierównych uliczek Starego Miasta.  
Wydobywszy się z niego, szedł ku Zjazdowi.  
Z mostu długo przypatrywał się cytadeli i  
płynącej koło niej Wiśle, potem skręcił na  
Maryensztad, wyszedł na Powiśle i, dopiero  
kiedy już był bardzo głodny, powrócił na  
Krakowskie.

Idąc w dwie godziny potem na Kruczą,



na „randkę“ z „Andrzejem“, Janek zdawał już sobie jako tako sprawę z topografii Warszawy, z którą zapoznał się był jeszcze w Krakowie, na podstawie planu. Rozumiał, że mu się to może przydać w „robocie“, to też w dalszym ciągu zwracał bacznią uwagę na nazwy ulic, ich kierunek i wogóle na wszystko, coby mu mogło ułatwić oryentowanie się w nieznanem mieście.

Na Kruczej był punktualnie o 6-tej. Zadzwoił, spytał otwierającego mu drzwi mężczyzną o „pana Andrzeja“, rozebrał się w przedpokoju i udał się w kierunku, wskazanym przez gospodarza, który go puścił naprzód. Zaraz potem, znalazłszy się na progu dużego pokoju, Janek wydał okrzyk radosnego zdziwienia.

Przed nim stała Marynia. Drzwi za Jankiem zamknęły się. Byli sami w pokoju. Janek rzucił się ku dziewczynie, chwycił ją w objęcia i przywarł ustami do jej ust gorących.

— Nie spodziewałaś się? — zagadnęła po chwili Marynia, patrząc na Janka, który stał przed nią, trzymając jej ręce w swych dłoniach.

— Nie spodziewałem się! Wiedziałem z listu twego, że musiałaś przenieść się do Łodzi...

— Tak, w kółku, które prowadziłam, był „prowok“. Zasypał prawie wszystkie moje stosunki. Trzeba było uciekać. Całe szczę-

ście, że nie znał mojego nazwiska. W każdym razie musiałam się usunąć. Teraz jestem w Łodzi, na stałe. Od czasu do czasu tylko zjawiam się tu — po bibułę. Od „Andrzeja“ dowiedziałam się, że tu przyjdiesz... No i jestem...

Usiedli na kanapce. Janek zwierzał się ze swych wrażeń warszawskich i z obaw, że nie potrafi spełniać należycie obowiązków partyjnych. Marynia tłumaczyła mu, że jego obawy są płonne, że się szybko zorientuje w sytuacji i będzie sobie dawał radę nie gorzej od innych.

— Gdybyś ty tu była, Maryniu... — począł Janek i umilkł, bo ktoś zbliżał się do drzwi.

Marynia wstała i poszła ku drzwiom. Kroki oddalały się.

— To niemożliwe, Janku... A zresztą będziemy się widywali. Wiem, że ciebie mają wysyłać na prowincję, teraz z bibułą, a z czasem i w innych sprawach. Będziesz przyjeżdżał i do Łodzi, zresztą ja tu, w Warszawie, nieraz bywam. Musimy na razie tem się zadowolnić, a później... później będziemy może razem w Łodzi. Pamiętaj, Janku, że nie od siebie teraz zależyśmy. Wszak w Zurychu mówiliśmy o tem dużo...

— Wiem — przerwał Janek i pochylił głowę.

Marynia stanęła przy nim i głaskała go pieśczośliwie po włosach.

Nadszedł „Andrzej“ i zabrał Janka na Wolę, ażeby go wprowadzić do kółka, którem nowozaciężny miał kierować według otrzymanych wskazówek. Marynia musiała tegoż wieczora powracać do Łodzi.



## XX.

### PRZED PIERWSZYM MAJA.

Zbliżał się 1-szy maja — dzień uroczystego święta solidarności międzynarodowej proletaryatu a zarazem dzień spotęgowanych trosk i obaw o całość organizacyi partyjnej. Zwykle bowiem przed 1-szym maja rząd puszczął w ruch wszystkie rezerwy szpiclowskie i przedsiębrał aresztowania masowe, zdolne zrujnować z taką pracowitością i z takim nakładem sił wznoszone podwaliny przyszej potęgi Partyi. W tym roku podwójny niepokój dręczył serca jej kierowników. Z Petersburga otrzymano tajny okólnik departamentu policyi, nakazujący gubernatorom, policmajstrom, naczelnikom miast i szefom żandarmeryi zwrócić specjalną uwagę na przygotowania „osób politycznie nieprawomyślnych“ do wywołania obchodu majowego. Okólnik zalecał „zdwojoną uwagę co do pojawiania się rozmaitych agitatorów, rozpowszechniania odezw i innych pism zakaza-

nych i wogóle objawów tzw. propagandy robotniczej". „Wszyscy agitatorowie, tak inteligenci, jak i robotnicy powinni być natychmiast poddani rewizji i aresztowani i, stosownie do wyników rewizji i badań, powinienn być wytoczony im proces na podstawie § 1035 ustawodawstwa karnego albo też powinni być wysłani na zasadzie postanowienia o wzmocnionej ochronie" — tak brzmiały wnioski okólnika.

I już poczęły nadchodzić wiadomości o aresztowaniach: z Zagłębia Dąbrowskiego, Kielc, Radomia. Były aresztowania i w Warszawie. A tu tymczasem Partya gotowała się do kroku, którego skutków zupełnie niepodobna było obliczyć, i wszelki wyłom w organizacyi mógł poważnie zaszkodzić planowanemu przedsięwzięciu. Chodziło bowiem o rzecz, dotychczas jeszcze niepraktykowaną w ruchu, ściśle konspiracyjnym. Gotowano się do pierwszej manifestacyi ulicznej. Rozpowszechniony na początku kwietnia numer „Robotnika" pisał, że święto 1-go maja, wypadające w niedzielę, musi być obchodzone publicznie, ażeby wszyscy widzieli, że to nie jest zwyczajna niedziela, lecz dzień wielkiego święta robotniczego. I wszyscy członkowie organizacyi kierowniczej Partyi z trwogą niemałą zadawali sobie pytanie: uda się, czy nie uda? Rozumieli bowiem, że nieudanie się planowanych manifestacyj ulicznych wywołałoby ciężkie przygnębienie, odepchnęłoby ruch cały o kilka

kroków wstecz. Bardziej ostrożni odradzali ryzyko, lecz i oni pojmowali, że Partya musi się zdecydować na jakiś czyn, aby nadać ruchowi rozpęd konieczny, że sytuacja ogólna wymaga tego. I w miarę zbliżania się końca kwietnia, w miarę przekonywania się, że hasło manifestacyj ulicznych zostało dobrze przyjęte przez szersze koła robotnicze, otucha zaczęła wstępować w serca kierowników Partii.

Na kilka dni przed 1-szym maja Janek jechał do S. ze sporą paczką odezwo. Poprzednio wysłane odezwy wpadły wraz z „facetem“, który je wiozł, włożono więc na Janka obowiązek dostarczania ich ponownie organizacyi S-kiej. Jednakże razem z „facetem“ aresztowanym, stale utrzymującym stosunki z S., znikła i droga, bezpośrednio prowadząca do tych stosunków. W Warszawie posiadano jeden jedyny adres w S. i pod tym adresem Janek miał się zwrócić w celu odszukania towarzyszy s-kich. Adres był dość dokładny, tem pewniejszy, że mieszkający pod tym adresem „sympatyk“ posiadał własny dom.

Wprost z dworca Janek kazał się wieźć na wymienioną mu w Warszawie ulicę. Było już po dziewiątej i na bocznych ulicach miasta panowała cisza zupełna. W oknach się nie świeciło. Dorożkarz skręcał z jednej uliczki w drugą, oddalając się coraz bardziej od centrum miasta i jadąc coraz powolniej

z powodu ustawicznie zwiększającego się błota. Nareszcie stanął koło jakiegoś parkanu.

— To tutaj, proszę pana — rzekł, zniżając z kozła.

— Jakto tutaj? Przecież tu niema żadnego domu...

— Jest, tylko niech pan wejdzie między te parkany. Tam jest dróżka. Trochę ta trzeba polem przejść... Po kładce przez rów dojdzie rychtyk jak się należy. Pierwsze dwa domy pan minie, a trzeci właśnie będzie Jańskowski.

Janek zapłacił dorożkarza, który go zostawił samego wśród parkanów i szybko odjechał. Trzeba było iść za jego wskazówkami i szukać owego domu przy świetle księżyca, który od czasu do czasu tylko wychylał się z poza szybko pędzących chmur.

Janek szedł naprzód, grzęznąc w błocie. Doszedł wreszcie do rowu, lecz żadnej kładki nie spostrzegł. Puścił się teraz na chybił-trafił wzdłuż rowu, kierując się ku czerniejącym daleko zabudowaniom. W jednym z nich migotało nagle światelko, ale i ono zgasło właśnie w tej samej chwili, kiedy Janek wreszcie znalazł kładkę i przedostał się na drugą stronę. Jakiś pies zaczął naszczekiwać. Za nim odezwał się inny i wkrótce potem cały chór psich głosów — cienkich i grubych, zajadłych i flegmatycznych — towarzyszył odgłosowi kroków Janka, szeroko rozchodzącemu się wśród pustki.



— Jeszcze mię tu psy zjedzą — pomyślał Janek, ale szedł wciąż naprzód.

Jakiś czarny cień przesunął się koło sztachetów ogrodu, do którego zbliżał się Janek.

— A do kogo to? — dało się słyszeć pytanie i Janek ujrzał przed sobą mężczyznę w długich butach, bez czapki.

— Czy tu jest dom pana Jaśkowskiego? — spytał Janek.

— Tu zaraz, trzeba tylko przez ten ogródek przejść... Ale nie radzę panu... Pies tam jest... zły okrutnie...

— Więc cóż mam robić? Muszę się dostać do pana Jaśkowskiego koniecznie.

— No, to niech pan idzie. Ale jakby tak Jaśkowski spał, a psa już spuścił z uwięzi... A tu pan nawet kawałka kija nie ma...

— Jak nic psy mię zjedzą — znowu pomyślał Janek, uśmiechając się do siebie. Stał zakłopotany i nie wiedział, co ma począć.

— Niech pan zaczeka, ja podejđę i zobaczę, czy się u Jaśkowskiego świeci — zaproponował wreszcie mężczyzna w długich butach.

— Bardzo panu będę wdzięczny...

Mężczyzna oddalił się i znikł po chwili, a Janek wciąż stał w miejscu, słuchając psiego chóru, do którego przyłączały się coraz nowe, coraz dalsze głosy.

Minęło z dziesięć minut, kiedy wreszcie Janek posłyszał zbliżające się kroki i ujrzał dwie ciemne sylwetki. Mężczyzna w długich

butach szedł w towarzystwie małego człowieka, utykającego na lewą nogę.

— Jeszcze nie spał! — krzyknął pierwszy, zbliżywszy się o kilkanaście kroków do Janka.

— Pan Jaśkowski? — spytał Janek, ucieszony, że nareszcie skończą się jego poszukiwania.

— Ja... Któż to tam? Nie poznaję...

— Przyjechałem do pana z Warszawy... z ukłonami od Stanisława — wymówił Janek z naciskiem.

— Aha!... Od Stanisława...

Kulawy człowieczek mocno ścisnął dłoń Janka i bacznie wpatrywał mu się w twarz.

— Z Warszawy? Od Stanisława? — powtórzył pytanie.

— Tak. Mam do was interes — dodał szeptem, aby mężczyzna w długich butach, stojący trochę dalej, nie słyszał tego.

— Chodźcież, chodźcież do chałupy!

To mówiąc, Jaśkowski pobiegł naprzód, jeszcze mocniej kulejąc. Janek udał się za nim, podziękowawszy uprzednio mężczyźnie w długich butach za usługę.

— Cicho, Kruk! — krzyknął Jaśkowski, wchodząc do ogródka, ale duży czarny pies czekał z jeszcze większą zajadłością, wściekle szarpiąc łańcuchem.

Weszli do izby, słabo oświetlonej malutką, kopcającą lampką naftową. Była to szczupła izdebka ubogiego rzemieślnika przedmiejskiego. Duży drewniany stół, ławka, parę stoł-

ków, łożko za firanką i szafa w kącie stanowiły jej umeblowanie. Pod oknem widać było warsztat szewski. Kawałki skóry leżały na podłodze i na stole. Kilka par starych butów wypełniało jeden z kątów.

— Siadajcie, towarzyszu — rzekł Jaśkowski, wycierając ręką jeden ze stołków i podsuwając go Jankowi.

Janek usiadł. Kulawy szewc zajął miejsce naprzeciwko, na ławce. Dopiero teraz Janek mógł się mu przyjrzeć dokładnie i spostrzegł, że rysy jego twarzy miały w sobie coś dziwnie pociągającego. Wysokie czoło wznosiło się nad krzaczastymi brwiami, z pod których na Janka spoglądały jasne, łagodne, uczciwe oczy. Uśmiechał się dobrodusznie i milczał, czekając aż Janek coś powie. Ten jednak ociągał się z rozpoczęciem pogawędki, gdyż niezupełnie oryentował się w sytuacji. Spodziewał się spotkać „sympatyka“ — posiadacza kamienicy, ma się rozumieć inteligenta. Liczył na jaką taką kolację i dobry nocleg. Tymczasem miał przed sobą ubogiego rzemieślnika, właściciela małej chałupy, w której zapewne on się sam tylko mieścił.

— „Wicka“ znaliście? — zagadnął wreszcie Janek.

— „Wicka“? A jakże, znałem, znałem. Przywoził nam zwykle „Robotnika“ i odezwę. I teraz czekaliśmy na niego, bo to już pierwszy maj za pasem, a tu u nas jeszcze

odezwy majowe nie puszczone. Faceci niecierpliwą się...

— Są odezwy, przywiozłem, a „Wicek“ wyspał się. Właśnie miał do was jechać z odezwanami. Wzięli go z niemi.

— Wsypał się! — szepnął Jaśkowski i dobroduszny uśmiech znikł z jego twarzy. — Więc to wy, towarzyszu, zamiast „Wicka“ przyjechaliście?

— Tak, musicie mi wskazać drogi do towarzyszy tutejszych, bo tylko „Wicek“ znał je, a teraz ja tu pewnie będę dojeżdżał.

— To dobrze się złożyło. Właśnie jutro mamy posiedzenie nasze, niby komitetu, tu u mnie, wieczorem. Wszyscy będą w kupie... Ucieszą się chłopcy, że nareszcie odezwy przyszły, bo nam markotno bez nich było.

Janek wydobył z pod kamizelki paczkę, zawiniętą w gazetę i obwiązaną sznurkiem. Wyjął jedną odezwę i podał ją Jaśkowskiemu.

Szewe wziął ją i, zbliżywszy twarz ku lampie, czytał półgłosem.

Za piecem odzywał się świerszcz. Zegar ścienny o pożółkłym cyferblacie cykał poważnie. Gdzieś za ścianą przebiegła mysz. Było duszno. Zapach skór mieszał się ze smrodem taniej nafty. Straszna czczość i bezmierna nuda ogarniały Janka. Uczuł nagle szaloną chęć wydostania się z tej nędznej chatupy gdzieś do światła, w gwar wielkomijski, w gwieździwy tłum jarmarczny...

Jaśkowski doczytał odezwę do końca i położył ją na stole, głęboko wzdychając.

— Już to my tam chyba nigdy tych lepszych czasów nie doczekamy — rzekł po chwili milczenia. — Bieda coraz gorsza, drożyzna też...

— Cóż tam w Warszawie słyhać, towarzyszu? — spytał, jakby usiłując gwałtem oderwać się od gnębiącej szarzyzny nędznego życia swego.

Janek począł mu opowiadać o przygotowaniach do demonstracyi ulicznej, o nadziejach i obawach, łączących się z tym krokiem Partyi, i widział jak się twarz szewca stopniowo ożywiała. Kiedy wreszcie roztoczył przed nim obraz wrażenia, jakieby w całym kraju wywarły udane demonstracye uliczne, szewc złożył ręce jakby w modlitwie i nie spuszczał oczu z ust Janka, powtarzając coraz częściej:

— Tak, tak, towarzyszu, tak...

Janek nie czuł już czczości poprzedniej i nie chciał uciekać z tej ubogiej izdebki, przepełnionej zapachem skór i nafty. Odczuwał wyraźnie, że jakieś nici tajemne łączą go coraz bardziej z tym drobnym, niepozornym człowieczkiem, który, tak samo jak i on, marzył o przyszłych zwycięstwach Partyi, o walnej rozprawie z wrogiem, o tryumfach ludu, o innej doli wszystkich pracujących, zgnębionych, wdeptanych w szary proch życia codziennego.

Takież same uczucie ogarnęło Janka na-  
zajutrz, kiedy zetknął się z całym kółkiem  
robotników, prowadzących niedawno zorga-  
nizowaną robotę w S. Spędził w ich towa-  
rzystwie parę godzin, załatwił wszystko, co  
mu polecono w Warszawie, i wracał z wy-  
cieczki trochę głodny, niezupełnie wyspany,  
ale zadowolony, wesoły, podniecony.



XXI.

## NA ULICĘ!

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień święta robotniczego. Już od piątku cała Warszawa wiedziała, że 1-go maja robotnicy, wezwani przez organizację P. P. S., zgromadzą się w Alejach Ujazdowskich. Po mieście szerzyły się pogłoski najrozmaitsze. Spodziewano się rozlewu krwi, rozdierano szaty z powodu nierozumu szaleńców, narażających kraj na nowe klęski, jak gdyby ich jeszcze było mało, komunikowano sobie na ucho najwiarogodniejsze wieści, pochodzące wrzekomo z Zamku, a napełniające dusze filistrów bladym strachem. Taki był nastrój Warszawy sytej, spokojnej, pragnącej nie wywoływać wilka z lasu i, nie drażniąc rządu, czekać lepszych czasów.

Inaczej spotykały ten dzień niziny warszawskie. Po fabrykach i warsztatach szła wieść, że dnia tego po raz pierwszy robotnicy wystąpią otwarcie, nie ukrywając się przed policją, lecz jawnie stwierdzając, że są socya-



listami i że wespół ze swą bracią zagraniczną szykują się do walki. I wieść ta wlewała otuchę w serca rzesz spracowanych, pełniła je poczuciem siły i dumą. Nawet ci wśród robotników, co się bali odważyć na pójście w niedzielę w Aleje, podnosili zahukane głowy, czując, że samo hasło manifestacji ulicznej, rzucone przez Partję, jest jakby zapowiedzią zbliżania się innych porządków, pierwszym brząskiem lepszego jutra. Najbardziej obojętni nie mogli się opędzić dręczącemu ich pytaniu: czy się uda?

Aresztowania codzienne nie zdołały zasiać strachu wśród robotników. Janek, stykając się z członkami kółek, z którymi utrzymywał stosunki, stwierdzał to osobiście i coraz bardziej upewniał się, że w Alejach znajdzie się spora gromada ludzi, gotowych zaryzykować wolność, a może i życie. Byleby pogoda nie zawiodła! — ta jedna myśl nie opuszczała go ani na chwilę, kiedy, nie mogąc zasnąć, przewracał się z jednego boku na drugi na wygniecionej kanapce jakiegoś „sympatyka“ w oczekiwaniu ranka 1-go maja.

Zbudził się wreszcie i zaraz wyjrzał przez okno. Gęste chmury wisiały nad domem. Padał drobny deszczyk. — Żle! — pomyślał Janek. Pocieszał się zresztą tem, że może do czwartej, kiedy miano się zgromadzić w Alejach, jeszcze się rozpogodzi.

Wyszedł na miasto i nie mógł się oprzeć

chęci obejrzenia terenu, na którym musiało się stać tego dnia coś, co nie przybrało jeszcze zupełnie określonych kształtów, ale co powinno być tak czy inaczej zaważyć na dalszych losach ruchu. Skierował się tedy na Nowy Świat, ażeby wyjść w Aleje Ujazdowskie. Na wszystkich rogach spostrzegał znane już sobie postacie szpiclów, posiadające pewne, nieuchwytnie rysy, które wyróżniały je z pomiędzy zwykłych przechodniów i gapiów. Za kościołem Aleksandra zobaczył patrol kozacki, zmierzający w stronę Łazienek. Takież sam patrol widział przez otwartą bramę jednego z domów już w Alejach.. Gruby kozak trzymał konie za uzdę, gdy tymczasem jego kolega rozluźniał poprzęgę, klnąc siarczyście.

Janek doszedł do Łazienek, gdzie została skoncentrowana cała kupa kozaków i konnych żandarmów. Widać było, że „Imercio“ nie na żarty przygotowuje się do demonstracji.

Tymczasem niebo rozchmurzało się zwolna. Deszczyk ustał, chodniki podeschły. Wysoki rewirowy z teką pod pachą spoglądał w górę zafrasowanym wzrokiem, powoli zbliżając się do Janka. Środkiem ulicy przeleciał jakiś wyższy wojskowy na rączym kłusaku w rosyjskiej uprzęży.

Jenkowi dnia tego czas dłużył się nieznośnie. Starał się go też zabić w jakiś sposób. Odczytywał w cukierni dzienniki od warun-

ków prenumeraty aż do ogłoszeń i błąkał się bez żadnego celu po ulicach. Wciąż jednak do czwartej było jeszcze daleko. Niebo znowu pokryło się chmurami.

Biła czwarta, kiedy Janek ponownie wyszedł z Nowego Świata i wsiadł w tramwaj, podążający ku Łazienkom. W tej samej chwili lunął deszcz rześisty i Janek ze ściśniętym sercem obserwował uciekającą z Alej publiczność. — Nic nie będzie, nic nie będzie — myślał wciąż w kółko, a tramwaj unosił go wzdłuż prawie zupełnie pustej ulicy, gdzie tylko na rogach przecznic mokły skulone postacie szpiclów. Przed Belwederem Janek wyskoczył z tramwaju i zawrócił z powrotem ku placowi Aleksandra.

Deszcz wciąż padał, przekształcając się teraz na drobny, beznadziejny „kapuśniaczek“. Janek szedł powoli, spotykając od czasu do czasu po parę osób, sądząc z wyglądu, robotników. W miarę posuwania się naprzód, spotykał coraz więcej takich grup. Były i gromadki po kilkanaście osób. Od czasu do czasu rzucał się w oczy czerwony krawat na szyi któregoś ze spotykanych robociarzy. Deszcz nie przestawał padać, a jednak publiczności wciąż przybywało. Janek widział, że nie są to zwykli spacerowicze, co niedziela wylegający w Aleje. Sami robotnicy, przeważnie młodzież. Sporo min zawadyackich. Wychodząc na plac Aleksandra, spotkał paru znajomych sobie robotni-

ków z Woli. Szli na czele gromadki 30—40 osób w Aleje, przeprowadzani przez kilku policyantów z jednej strony i dwóch konnych żandarmów z drugiej.

Janek posuwał się naprzód, oddalając się coraz bardziej od Alej, i wciąż spotykał gromadki robotników, płynące ku placowi Aleksandra. Chciało mu się zawrócić i pójść za nimi, ale rozumiał, że nie było to zbyt bezpieczne. I tak już paru szpiclów ciekawie zajrzało mu w oczy. Wstąpił do pierwszej napotkanej cukierni i przesiedział tam godzinę zgórą, poczem wsiadł w tramwaj i po chwili znowu się znalazł w Alejach. Oba chodniki były wypełnione ciżbą robotniczą. Robotnicy też zajmowali ławki. Rewirowi, komisarze policyi, oficerowie żandarmeryi kręcili się wśród spokojnie spacerujących gromadek, zwłaszcza tam, gdzie się te zbijały w większy tłum. Konni żandarmi jeździli tam i z powrotem wzdłuż obydwóch chodników. Tym samym tramwajem, co i Janek, jechał pułkownik żandarmeryi, bacznie obserwujący wszystko, co się działo w Alejach.

Janek siedział po tej samej stronie, co i żandarm, i rzucał na niego od czasu do czasu spojrzenie z pod oka. Nagle spostrzegł, że stary, siwy już zupełnie, pułkownik prostuje się i zlekka unosi się na swem miejscu, a jego prawa ręka odruchowo podnosi się do czapki.

Tuż koło tramwaju przelatywał ognisty

kłusak. W powozie siedział stary wojskowy, a za nim pędziło czterech „czerkiesów“, w wysokich czapkach baranich, w czerwonych mundurach, z nahajami w rękę.

— Generał-gubernator — szepnął siedzący koło Janka mężczyzna.

— „Imercio“ ciekaw zobaczyć, jak wygląda pierwsza nasza manifestacya — pomyślał Janek. — Patrz, patrz, draniu, a dobrze sobie zapamiętaj, abys mógł w przyszłości porównywać z następnymi...

Janek wyskoczył z tramwaju i zaszył się w tłum robotniczy, który, pomimo nieustającego deszczu, sunął powoli ku placowi Aleksandra. W gromadkach robotników było wesoło. Janek szedł dość szybko, lawirując wśród robociarzy i chwytając uchem urywki rozmów.

— Ot huknąć by teraz „Czerwonego“ — mówił młody, zupełnie jeszcze bez zarostu, robotnik do towarzysza o skupionej, bladej twarzy.

— Żeby ciebie rewirowy nie huknął, patrz jak „ryło“ wyciągnął. Węszy „chałuj“ niby wyżeł...

— Na przyszły rok my im pokażemy, gdzie raki zimują. Dziś nas jeszcze mało, ale za rok nie taka kupa się zbierze — wykrzykiwał robotnik w zawadyacko wykręconym kapeluszu, z czerwonym krawatem na szyi.

— Cicho, Antek! — mitygował go jego towarzysz.

— Co mam być cicho? Żandarma się mam bać? Albo rewirowego? Poczekajcie, sukiny-syny, jeszcze my was po pyskach prać będziem. Dziś ino początek...

— Cicho, Antek, bo cię puszczę kantem i pójdę sobie sam...

— A idź na zbity łeb — dolatywało do Janka, który przyspieszył kroku i znalazł się między dwiema sporemi gromadkami robotników. Pierwsza zajmowała całą szerokość chodnika, więc Janek, chcąc nie chcąc, kroczył powoli za nią.

Zbliżali się do placu Aleksandra, na którym było czarno zupełnie od ludzi i rozpiętych parasolów. Napływający z Alej tłum rozprasał się po placu, ale w jednym miejscu poczęto się skupiać. Utworzył się szybko jakby ośrodek krystalizacyjny. Janek poczuł, że go naciskająca z tyłu gromada popycha w największy gąszcz ludzki. — Na Nowy Świat! Na Nowy Świat! Razem! Naprzód! — słyszał dokoła siebie, a jednocześnie ujrzał wrzynających się w tłum konnych żandarmów, którzy, nie dobywając ani nahajek, ani szabel, zaczęli rozpychać zgromadzonych tyłami koni.

Wśród tłumy powstało zamieszanie. Część rzuciła się naprzód. Część stała w miejscu bezradnie. Konni żandarmi, dowodzeni przez smagłego pułkownika o orlim nosie i rozwianej brodzie, głośno wydającego rozkazy, powoli tworzyli zacieśniające się stopniowo



koło, chcąc najwidoczniej zagarnąć część tłumu.

— Otaczają! Otaczają! — krzyknął szpakowaty robotnik z laską w ręku. Mnóstwo ludzi rzuciło się naraz w wąskie przejście między konie. Jednakże ze 200 osób, w tem kilkadziesiąt kobiet, znalazło się w obrębie łańcucha, utworzonego przez żandarmów konnych, którym z pomocą nadbiegła piesza policya z dwoma rewirowymi na czele. Wepchnięto otoczonych w ulicę Wiejską.

Janek widział ze stopni kościoła Aleksandra, jak ich zamknięto w podwórku jednego z domów i jak policya przystąpiła do energicznego rozpędzania resztek tłumu, rozpryskujących się na wszystkie strony. Janek cofnął się na Nowy-Świat. Tuż koło niego aresztowano paru robotników w czerwonych krawatach. Usunął się w pierwszą boczną ulicę i szedł, uważając, aby nie zabrać za sobą szpicla.

Sprzeczne uczucia miotały duszą Janka, kiedy oddalał się od widowni pierwszej demonstracyi ulicznej. Cel był osiągnięty. Robotnicy na wezwanie partyi stawili się na wskazanem miejscu, bez względu na słołę, pomimo grożącego im niebezpieczeństwa. Manifestowali otwarcie swe uczucia antyrządowe. Ale manifestowali je tak spokojnie, w sposób tak bezbarwny i nikły, że pytanie jeszcze, czy godzi się taki spacer pod deszczem nazywać manifestacją. Prawda, i w ten spo-



sób robotnicy manifestują poraz pierwszy, więc trudno wymagać odrazu czegoś kolo-  
salnego. Zresztą zachowywanie się policji  
świadczyło wymownie, że rząd nie lekce-  
waży sobie nawet tej skromnej demonstra-  
cji, w której bądź co bądź wzięło udział  
parę tysięcy ludzi. Nie, stanowczo nie było  
się czego martwić: należy uznać, że przed-  
sięwzięcie się udało. Tak, pomimo wszystko,  
udało się.

Przekonanie to utrwaliło się w Janku o-  
statecznie, kiedy nazajutrz spotkał się z ro-  
botnikami. Wszyscy byli zachwyceni powo-  
dzeniem i pełni nadziei na przyszłość. Ko-  
munikowano mu rozmaite epizody manife-  
stacji. Młody stolarz, „Karol“, wypuszczony  
w nocy z ratusza, dokąd go wzięto wraz  
z kilkudziesięciu towarzyszami, aresztowany-  
mi w okolicach Łazienek, opowiadał, jak pró-  
bowano śpiewać „Czerwony sztandar“ i jak  
to nie szło.

— Musimy na przyszły rok lepiej przygo-  
tować się — mówił. — Trzeba było tylko,  
żeby dwóch trzech facetów zaśpiewało gło-  
śniej i wszyscy by poszli za nimi. A tu je-  
den pocznie i urwie, drugi też samo.  
A zbliży się rewirowy, to wszyscy jakby ni-  
gdy nic.

— No, kiedyśmy już raz wyszli na ulicę,  
to się szybko oduczymy bać rewirowych —  
wtrącił „Łysy“, garbarz od Temlera.

— A z prowincji niema jeszcze żadnych

wiadomości? — pytał ciekawie Janka „Sosna“, pracujący w gazowni na Woli.

— Nie, jeszcze nie mogło być. Ale dziś wieczór przyjeżdża facet z Zagłębia, pewnie przywiezie coś ciekawego, bo w Dąbrowie nasi szykowali się do demonstracji. Obiecywali zakasować Warszawę.

Rozstawszy się z robotnikami, Janek pośpieszył na „randkę“, gdzie miał być też i „Paweł“ z Zagłębia. Zastał go już tam, rozpromienionego, z zachwytem opowiadającego o demonstracji w Sosnowcu.

— Baliśmy się — mówił — że się nie uda, bo już od poniedziałku było zatrzęsienie szpicli i fijołów. Całe to tałałajstwo łąziło po fabrykach, ulicach i drogach, szukając proklam. Kiedy się ścierwa nałazili i pomęczyli porządnie, w sobotę i w niedzielę do południa puściliśmy kartki, że w parku sieleckim odbędzie się o czwartej wielkie zgromadzenie ludowe. Dodane było: wstęp bezpłatny. Rozrzuciliśmy i rozkleiliśmy te kartki — dwieście tysięcy — we wszystkich osadach całego Zagłębia. Oprócz tego na wierzchołkach drzew zawiesiliśmy kilkanaście czerwonych sztandarów z napisami.

— Jakie były napisy? — spytał Janek.

— Różne: „Niech żyje 1-szy maj!“, „Precz z tyranami!“, „Niech żyje Polska robotnicza!“, „Robotnicy, łączcie się!“ i t. d. Były i sztandary na drutach telegraficznych. Co te ścierwa fijoły namęczyli się, zanim po-

zdejbowali je, możecie sobie wyobrazić. A swoją drogą jeszcze dziś rano niektóre wisały. Park sielecki naturalnie zamknięto jeszcze w sobotę, a w niedzielę obstawiono go policją i żandarmami. Prawda, jeszcze i strzelców z Częstochowy sprowadzili do ochrony parku. Wszystko to siedziało za sztachetami, myśląc widocznie, że my go szturmem będziemy zdobywali. A nam w to i graj! Doczekaliśmy się, aż dokoła parku zbiorą się tłumy (a ciągnęły one już od pierwszej), nasi faceci ustawili się w czwórki i ruszyli najludniejszą ulicą, śpiewając „Czerwony Sztandar“. Przeszliśmy tam i z powrotem ze trzy wiorsty i rozprószyliśmy się z okrzykami. Był i czerwony sztandar — nie duży. Zmajstrował go ktoś z laski i czerwonej chustki. Nie możecie sobie wyobrazić, jak nas spotykano! Ze wszystkich okien witano nasz pochód... Powiadam wam, że wszyscy tak byli frajdnięci...

— Ileż ludzi było w pochodzie? — spytał „Andrzej“.

— Ze dwa tysiące conajmniej, bez widzów. A co, nie zakasowaliśmy Warszawy?

— No, no, tylko się znów tak nie wywyższajcie. Nie wasza zasługa, że u was policja taka głupia — wtrącił „Mieczysław“.

— Panowie pozwolą na herbatę — zawołała, zaglądając do pokoju, starszka o ujmującej powierzchowności, właścicielka mieszkania, w którym się zgromadzili „faceci“.

Wszystkie zebrania wieczorne u niej zawsze kończyły się smaczną kolacją, bez której nie chciała nigdy wypuścić zjawiających się do niej działaczy partyjnych.

— Bez żadnej to opieki kobiecej, nie dośpi, nie doje, gdzieżbym ja też miała serce puszczać głodnych — mówiła zawsze, kiedy zwracano jej uwagę, że nie powinna wprost ze względów konspiracyjnych zatrzymywać „facetów“.

Wszyscy przeszli do pokoju jadalnego, gdzie na rogu długiego stołu, zastawionego rozmaitemi przekąskami, błyszczał ogromny tulski samowar, ukoronowany lśniącym, porcelanowym czajnikiem.



## XXII.

### KARYERA JANKA.

— Jak tak dalej pójdzie, to „Maryan“ szybko karierę zrobi — mówił, uśmiechając się, „Andrzej“.

— Byleby jej nie zakończył przedwcześnie — odparł „Tytus“. — Mnie się grubo nie podobają okoliczności wsypy „Czarnego“ i „Saula“. W tych stosunkach jest „prowok“ i wy „Maryanie“, przedewszystkiem musicie zająć się nim, bo inaczej i stosunki dyabli wezmą i wy pójdziecie za „Czarnym“ i „Saullem“...

— Cóż mi radzicie? — spytał Janek, którego już inaczej nie nazywano jak „Maryanem“.

— „Czarnego“ wzięto, kiedy szedł na zebranie, „Saul“ wpadł znowu, powracając z zebrania. Dla mnie jest jasnym, że fijołów uprzedzono o obydwóch zebraniach. A jednak na zebrania nie zjawili się, polując jedynie na inteligentów, tam idących. Nie zjawili się

dlatego, że musieliby aresztować razem z innymi i swojego człowieka, „prowoka“. A to im byłoby nie na rękę. Wnoszę więc, że w obydwóch wypadkach „prowok“ znajdował się na zebraniu. A ponieważ wiem, że na drugim zebraniu było facetów daleko mniej, bo ich wsypa „Czarnego“ odstraszyła, więc musicie szukać prowoka wśród tych, którzy byli i na pierwszym i na drugim zebraniu. I tylko wśród tych. Kombinujecie?

— Kombinuję. Więc muszę przedewszystkiem mieć spis facetów, którzy byli i na pierwszym i na drugim zebraniu. Ale i wśród nich nie łatwo będzie wytropić winnego.

— Ja sędzę — rzekł „Andrzej“ — że „Tytus“ się nie myli i że prowoka należy szukać wśród uczestników drugiego zebrania. Otóż byli tam „Smukły“ i „Gawęda“, starzy wyjadacze. Oni zapewne mają na kogoś podejrzenie. Koniec końców trzeba będzie zwrócić baczną uwagę na jakies cztery — pięć osób. I te trzeba śledzić...

— Mówił mi „Gawęda“ — przerwał „Tytus“ — że coś „Kostek“, lakiernik, w ostatnich czasach pije na umor, choć długo był bez roboty...

— Możeby zrobić tak — wtrącił Janek — zwołać zebranie, ale z samych tych, którzy byli i na pierwszym i na drugim, a potem odwołać... Ale o odwołaniu nie zawiadamiać takiego „Kostka“ albo innego podejrzanego. Jeśli się wówczas zauważy, że szpicle się

kręcą koło domu, gdzie miało się odbyć zebranie, to będzie to oczywisty dowód przeciwno „Kostkowi“.

— Możliwy też wszystkim podejrzanym naznaczyć „randki“ z inteligentami, na wabika oczywiście, i obserwować, czy się tam szpicle zjawiają — zaproponował „Andrzej“.

— Tylko się nie wsypcie sami, o tem przede wszystkim pamiętajcie — mówił „Tytus“, odchodząc.

— Nie wsypię się, muszę przecież karierę robić, jak mówi „Andrzej“ — odparł Janek, śmiejąc się.

„Robienie kariery“ polegało chyba na tem, że spadało nań coraz więcej obowiązków i to coraz bardziej odpowiedzialnych. Aresztowanie paru „facetów“ zmusiło go do objęcia ich stosunków, co zwiększyło mu prawie w trójnasób pracę dotychczasową. I na prowincję musiał teraz jeździć coraz częściej, gdyż organizacya zagarniała wciąż nowe punkty, a liczba inteligentów w „robocie“ rosła tak nieznacznie, że zaledwie udawało się, i to z wielką biedą, zapychać dziury, spowodowane aresztowaniami. Spodziewano się po wakacjach napływu „facetów“ do roboty. Zwłaszcza „piterczycy“, posiadający już ustaloną markę, oczekiwani byli z niecierpliwością. Kielza, który skończył technologię, miał dostać posadę w Pruszkowie, Śliwicki osiadał w Warszawie. Tymczasem zaś wszyscy byli „zaorani“, tak samo jak Janek. Kotowski,



który stanął do „roboty“ w czerwcu, zaraz po powrocie z Zurychu, uwolnił Janka od obsługiwanego paru punktów prowincjonalnych, między nimi, niestety, i Łodzi.

W zadymionej stolicy Poznańskich i Szajbierów Janek nie mógł się pokazywać od paru tygodni, gdyż był tam zaszpiclowany bardzo poważnie. Zjawienie się na dworcu łódzkim groziło mu aresztowaniem, bo czekano już tam na niego.

Nie widział się z Marynią od czasu, jak przestał jeździć do Łodzi, i ustawicznie drżał o nią. Wiedział, że się już długo tam nie utrzyma, że niebezpieczeństwo zatacza dokoła niej coraz ciaśniejsze kręgi. I bał się, że przeciągnie strunę, że nie potrafi wyczuć chwili, kiedy trzeba się koniecznie ratować szybką ucieczką. Zajęty ustawiczną robotą, zmuszony pamiętać o ogromnej mocy drobnych szczegółów i falcików, potrzebnych w działalności organizacyjnej, tak miał tem wszystkim zaprzątniętą głowę, że wprost nie mógł myśleć o sprawach osobistych. Więc tylko od czasu do czasu z pośród nawału trosk partyjnych wynurzał się lęk o Marynię i wówczas chłód przejmujący ścisnął serce Janka.

Dopiero jakaś dalsza podróż wytrącała go ze stanu zaferowania rozmaitemi drobnymi sprawami. Umysł, zmęczony obracaniem się w deptaku czynności codziennych, odzyskiwał pewną swobodę. I wówczas Janek marzył o Maryni i o dalszych wspólnych losach.

Ale myśl, wybiegająca w przyszłość, opadała nagle jak ptak z podciętemi skrzydłami. Janek rozumiał, że przyszłość ta jest zupełnie niezależna od jego woli i od woli Maryni. Nie należeli do siebie. Był tylko małutkimi kółkami maszyneryi, stale wystawionej na nawałnice i pioruny. Cóż warte były wszystkie marzenia i plany, jeśli ślepy traf mógł Janka rzucić tak samo dobrze na wybrzeża Oceanu Lodowatego, jak i na zamglone ulice Londynu, a Marynię odebrać mu na zawsze.

A jednak myśl o przyszłości powracała natrętnie. Szalone pożądanie szczęścia osobistego z żywiołową siłą rozsadzało więzienne szranki rzeczywistości i wyobraźnia malowała złudne obrazy fata-morgany.

Janek jechał do Wilna. Wiózł ze sobą rozmaite przyrządy drukarskie, chodziło więc o to, aby ani on, ani jego ciężka walizka nie zwracała niczyjej uwagi. Dlatego zajął miejsce w wagonie pierwszej klasy. Siedział, wtulony w kąt przy oknie, udając śpiącego, aby uniknąć niepotrzebnych rozmów z pasażerami i marzył, przenosząc się myślą w świat obrazów fantastycznych.

Pociąg zbliżał się do stacji węzłowej, skąd jedna z linii kolejowych prowadziła do B. — miasta rodzinnego Janka.

Janek wyrzwał przez okno wagonu i myślą uleciał tam, za czerniejącą na horyzoncie nierówną wstęgę boru, gdzie nad spokojną rzeczułką rozrzucone były domki przedmiej-

skie B. W jednym z tych domków pędziła życie samotne jego matka.

Janek rzadko miewał wiadomości od niej. Musiał ukrywać swój pobyt w kraju i staruszką nie wątpiła, że jej jedynak studjuje w Zurychu, tylko dziwiła się, że jego listy są tak lakoniczne, tak nic nie mówiące. Wyrzucała mu to w swoich listach, a każdy taki wyrzut sprawiał Jankowi ból dotkliwy. Wolał wcale matce nie odpowiadać, niż kłamać jej ustawicznie. Jednak rozumiał, że kłamstwo to jest konieczne. To też ograniczał się zwykle zawiadaniem o swem zdrowiu. List jego szedł drogą partyjną do Londynu, gdzie go przepakowywano do zaadresowanej ręką Janka koperty i przesyłano pod adresem jednego z członków sekcji zuryskiej, który dopiero ekspedyował lakoniczny list Janka do B. Taką samą drogę przebywały i listy matki Janka, ale w odwrotnym kierunku, zanim dochodziły do jego rąk.

Na stacyi węzłowej do przedziału, w którym znajdował się Janek w towarzystwie jadącego z Warszawy oficera gwardyi, weszło jeszcze dwóch oficerów. Gwardyak ucieszył się, że nareszcie miał przed sobą, zamiast ustawicznie drzemiącego cywila, ludzi, z którymi można było pogawędzić. Odłożył książkę w żółtej okładce, którą przez cały czas czytał, i zwrócił się z pytaniami do kolegów-wojskowych.

Janek znowu przymknął oczy i zatopił się w marzeniach, gdyż rozmowa oficerów wcale go nie interesowała. Po chwili jednak zaczął się w nią wsłuchiwać. Gwardyak opowiadał o swych wrażeniach warszawskich.

Bawił w Warszawie kilka dni w sprawach osobistych. Był tam pierwszy raz w życiu, gdyż stale mieszkał w Petersburgu. Dziwiło go w Warszawie wszystko, z czem się stykał, a zwłaszcza zdumienie wywoływało niezwykle, brutalnie-aroganckie zachowywanie się oficerów, stanowisko względem nich miejscowego społeczeństwa i t. d.

— Nigdy nie spodziewałem się zetknąć z czemś podobnym — mówił. — Stanowczo, my w Petersburgu zupełnie Rosyi nie znamy, a zwłaszcza „kresów“.

Starszy z pomiędzy świeżo przybyłych oficerów, gruby blondyn o mięsistym, szerokim nosie, wtrącał od czasu do czasu uwagę, dowodząc, że wszystko to, co gwardyaka petersburskiego oburzało lub śmieszyło, jest czemś najzupełniej normalnem.

— Wy, panowie piterczycy, zupełnie pojęcia nie macie o tem, co się w Zachodnim kraju dzieje — rzekł drugi z oficerów, który milczał dotychczas. — Ot, niech Piotr Iwanycz panu opowie, jak utwierdza prawosławie w swojej rocie.

— Jak to „utwierdza prawosławie“? — zdziwił się gwardyak.

— Opowiedz, Piotr Iwanycz, opowiedz...

— Bardzo prosto — zaczął grubas, odchrząknawszy. — Widzi pan, u nas w rocie, z wyjątkiem paru Łotyszy-protestantów, sami prawosławni. Tak przynajmniej stoi w ich papierach. Ale w rzeczywistości są to albo unicy, którzy siebie uważają za katolików, choćbyś im kół na głowie ciosał, albo, co jeszcze gorsze, dzikusy-bałwochwalczy. Mam w swej rocie ze dwudziestu Wotiaków, bałwochwalców oczywistych. Żegna się to niby po naszymu, do cerkwi chodzi, ale ukradkiem modli się do swego bożka, „Keremetia“, czy jak go tam... Odbiera się im tych bożków, pali się, wybija się zęby takiemu Wotiakowi, ale co pan poradzisz? Minie dzień, drugi i dzikus znowu sobie bożka zmajstruje. Zwłaszcza, że mu nie dużo do tego potrzeba: jakiś patyk i kawałek szmatki zupełnie wystarczą.

— I cóż? I cóż? — pytał gwardyak.

— A no nic. Odbiera się mu go znowu. Najłatwiej przyłapać takiego Wotiaka na gorącym uczynku, jak się go naznacza „dniewalnym“. Sam jest wówczas na sali, więc wydobędzie z za pazuchy czy z cholewy swego bożka i bije mu pokłony. I tu się go właśnie łapie. Bożka do pieca, a Wotiaka po mordzie, po mordzie...

Gwardyak słuchał opowiadania z takim zdziwieniem, że się mu aż usta rozwarły. Grubas ciągnął dalej:

Najgorzej to z unitami podczas Wielkiego

postu. Są prawosławni, więc muszą spowiadać się i komunikować u popa. Tu nic nie pomoże. Wyobraź pan sobie, że nie chcą. Nie chcą i już. My — powiadają — nie prawosławni, my — katolicy. A kto za nich ma odpowiadać przed władzą? Ja, bo rota mojej opiece jest powierzona. Musicie przystępować do komunii i koniec, choćby was dyabli wzięli. Mordowałem się z nimi, mordowałem, ale swego dopiąłem. W mojej rocie wszyscy unicy przystępują do komunii.

— W jakim sposobie to się dzieje? — spytał gwardyak.

Grubas milczał, uśmiechając się zwycięsko.

— Wie pan — wtrącił jego kolega — przekonał ich, że nie potrzebują przetykać komunii, byle by ją tylko do ust brali. Odszedłszy od popa, mogą z nią co chcą zrobić...

— Ależ, panowie, to jest straszne! — zawołał gwardyak.

— Tak, z petersburskiego stanowiska, być może. Ale spróbujno pan wpierw posłużyć tu, w Zachodnim kraju... Inaczejbyś pan traktował te rzeczy — odparł Piotr Iwanycz, a gruby jego brzuch trząsał się od śmiechu.

— Na nas już czas. Tu wychodzimy — rzekł jego kolega.

Pociąg zbliżał się do stacyi. Obydwaj oficerowie armii pożegnali się z gwardyakiem

i wyszli. Janek znowu udawał drzemiącego, spozierając od czasu do czasu na oficera, który widocznie nie mógł się opędzić wrażeniu, jakie wywarło na nim opowiadanie przygodnego towarzysza podróży.





### XXIII.

## PANI NACZELNIKOWA.

— Słyszysz Andziu? To derkacz? — pytała Marynia, siedząc przy stole obok dawnej swej koleżanki petersburskiej, obecnie żony lekarza Trawińskiego, który od roku już praktykował w swem mieście rodzinnem, w P.

— Derkacz — rzekł Trawiński. — Cóż wy jej pytacie? Wszak to taki sam mieszczuch, jak i wy. Ona śpiewu słowika od śpiewu skowronka nie odróżni.

— Nie pleć! — zawołała Andzia, dając mu klapsa po rękę.

— No więc co to jest? Co to jest? Słyszysz?

Zdaleka, z poza pól, pachnących świeżo skoszonem sianem, rozbrzmiewających chórem koników polnych, stamtąd, gdzie na tle jeszcze lekko rumieniącego się rąbka widnokregu czerniały smukłe sylwety jodeł, szły jakieś dziwne dźwięki. Przeciągły, żalсны jęk wydobywał się z mroków i milknął po-

woli. Drugi takiż sam głos słychać było nieco bliżej, wśród drzew nad stawem.

— Cóż to jest? — spytała Marynia.

— No więc cóż to jest, Andziu? A co? Nie wiesz. Sowy się wabią — rzekł, tryumfując, Trawiński.

— Jak tu, u was, cudownie — mówiła Marynia, pełną piersią wciągając aromat pól i łąk, wsłuchana w muzykę ciepłego, spokojnego wieczora. Tak dawno nie byłam na wsi... A to życie miejskie, wśród rozpalonych murów kamienic, wśród straszego kurzu, śwądu, zgiełku, turkotu, wprost mię już zabijało w ostatnich czasach.

— Wyobrażam sobie teraz waszą Łódź! Brr... nie chciałbym tam siedzieć — rzucił Trawiński.

— A jednak polubiłam ją! Tylem doznała w niej wrażeń przez tych pięć miesięcy... I smutnych, i radosnych. Coś się zawsze zrobiło. Kiedym przyjechała, wprost nie było się o co zaczepić. Po Warszawie zdawało mi się, że jestem na pustyni. Ani stosunków, ani ludzi. Jakaś apatya wszystko przygniotła. A ciemnota, a brak godności ludzkiej! Nie uwierzycie, że tam jeszcze majstrowie pozwalają sobie bić robotników. Nie jakichś chłopców, ale dorosłych robotników. Okropność! I tak powoli, powoli posuwa się tam robota. Co się ją nawiaże, to się znowu rwie... Jak ci pielgrzymi średniowieczni do Ziemi Świętej idziemy trzy kroki naprzód

i dwa kroki wstecz, trzy kroki naprzód i dwa wstecz... A jednak trzeba iść...

Milczeli wszyscy. Lekki wietrzyk zaszu-  
miał w konarach lip olbrzymich.

— Do Łodzi już nie wrócisz, Maryniu?

— Nie, Andziu. Ani w Łodzi, ani w War-  
szawie nie mogę już pracować. Zanadto mię  
znają szpicle. Teraz mi tylko jeszcze Zagłę-  
bie pozostało. Mówiłam z „Pawłem“. W So-  
snowcu można się będzie jakoś urządzać.  
Gdybym nie była kobietą, przesłabym na  
„nielegalnego“, ale w obecnych warunkach  
dla „facetki“ jestto poprostu niepodobień-  
stwo. Chybabym poszła do „techniki“ i osia-  
dła w drukarni... Ale ja się do tego zupeł-  
nie nie nadaję...

Trawiński spojrział na zegarek.

— No, moje panie, bardzo mi tu z wami  
przyjemnie, ale o czwartej wstaję, bo muszę  
być jutro w mieście... Dobranoc więc...

— Chodźmy, Maryniu, przejść się po par-  
ku... Wszak jeszcze spać chyba nie chcesz?

— Ale gdzie tam... Całą noc bym nie spała,  
Andziu. Tak mię ta przyroda podnieca.

Wstali wszyscy od stołu pod lipą, gdzie  
codziennie jadano kolację przy świetle lampy.

Andzia objęła Marynię w pół i obie skie-  
rowały się w prawie zupełnie ciemną lipową  
aleję — wspaniałą resztkę dawnej świetno-  
ści rozparcelowanego obecnie majątku. Szły  
ścieżką, wysypaną żwirem, a echo ich kro-

ków gubiło się w splotach konarów olbrzymich drzew.

— Wiesz, Maryniu, długo wczoraj myślałam o wszystkim, coś mi mówiła o „robotcie“ i o całym twym życiu terazniejszym. Ale jednego nie rozumiem, wprost nie jestem w stanie pojąć. Znasz moje przekonania. Zdolna byłabym dużo poświęcić dla sprawy, ale... Powiedz mi, Maryniu, czy cię to zadawalnia zupełnie, czy ci „robotta“ całkowicie może życie wypełnić?

Marynia milczała.

— Powiedz, Maryniu, czy ci nigdy pragnienie szczęścia osobistego, tak, osobistego, egoistycznego, wprost filisterskiego, nie przesłania całej tej „robotty“ partyjnej? Czy nie chciałabyś się wreszcie wyrwać z tych więzów obowiązku społecznego, aby żyć życiem własnym, dla siebie? Czy nie marzysz... o dziecku własnym?...

— Andziu, nie mówmy o tem... ja nie mogę...

Trawińska umilkła. Szły jakiś czas, nie odzywając się do siebie. Ich oczy oswoiły się już zupełnie z panującym pod drzewami mrokiem. Daleko przed nimi jaśniał wylot alei, do którego zbliżały się coraz prędzej. Wyszły w końcu na drogę.

— Jutro Janek przyjeżdża — rzekła Andzia. — Ogromnie jestem ciekawa, jak teraz wygląda. Wszak to już zgórą dwa lata, odkąd go widziałam. A dobre to były czasy,

te peterskie. Pamiętasz, Maryniu, ten nasz pokój na Jekaterynhofskim?

— Pamiętam, naturalnie. Dobrze nam było w Pitrze — i na Jekaterynhofskim, i na kursach, i na wieczorynkach naszych, i na Newie wiosną...

Długo jeszcze rozmawiały o życiu studenckim w Petersburgu, aż w końcu Andzia oświadczyła, że już czas spać.

Powróciwszy do swego pokoju w wynajętym przez Trawińskich na letnie mieszkanie starym dworze, Marynia usiadła przy otwartym oknie. Zapach skoszonej mąki nadpływał falami. Słyszać było głośny ćwierkot koników polnych. Gdzieś zupełnie blisko wabiły się sowy. Cała przyroda tchnęła uroczystym spokojem.

Ale w sercu Maryni spokoju nie było. Niedyskretne słowa Andzi poruszyły w niej to, co się kryło gdzieś na dnie duszy, przywalone grubym pokładem trosk życia partyjnego. I teraz dziewczyna nie mogła się opędzić rojowi pytań, które natrętnie domagały się odpowiedzi — stanowczej, niedwuznacznej...

Janek przyjechał nazajutrz rano. I Andzia i Marynia jeszcze spały, błąkał się tedy po parku, oglądając ze wszystkich stron ładny niegdyś budynek dworski, chylący się dziś do ostatecznej ruiny. Od chłopca-woźnicy Janek dowiedział się całej historii i tego dworu, i rozparcelowanego obecnie majątku, i sąsiedniego majoratu, którego właściciel, stale

mieszkający w Petersburgu, jakiś dygnitarz rosyjski, zjechał tu przed kilku dniami i pojejmował u siebie mnóstwo gości.

Janek wyszedł z parku, okrążył spory stawek, zupełnie zaniedbany, i wydostał się na pagórek, porosły rzadkimi kępkami leszczyny. U stóp pagórka przewijała się droga, niknąca o pół wiorsty dalej w gęstym sosnowym lesie. Janek wiedział, że za tym lasem był pałac właściciela majoratu. Jadąc do Trawińskich, widział z daleka jego białe mury i dach czerwony.

Kiedy powrócił do dworu, Andzia i Marynia siedziały już przy śniadaniu, pod lipą.

— Nareszcie! — zawołała Trawińska.

Janek nie bez pewnego wzruszenia przywitał się z koleżanką petersburską. Z Marynią zamienił mocny uścisk dłoni. Widzieli się przed kilku dniami w Warszawie, dokąd Marynia wpadła na parę godzin, jadąc do Trawińskich.

— Siadajcie, dostaniecie zamiast cienkiej herbatki, którą poiliśmy was — pamiętacie? — na Jekaterynhofskim, kawy ze wspaniałą śmietanką.

Janek usiadł na ławce.

— Oglądałem okolicę z pagórka nad stawem. Bardzo tu ładnie. Szkoda, że dwór w ruinie. Jeszcze jedno siedlisko pańskiej pychy rozsypuje się w gruzy. A szkoda! Szkoda zwłaszcza tej alei lipowej. Wyrąbią ją bezlitośnie...

— Nie wpadajcie w czarną melancholię — przerwała mu Andzia. — „Siedlisko pańskiej pychy“ nie zginie. Albowiem oto znalazł się już mąż sprawiedliwy, który przywróci mu dawny blask, a pychę to nawet z pewnością podwoi. Mężem tym zaś jest Salomon Rozencwajg z Piotrkowa. Kupuje ten pałac wraz z ogrodem, stawem, aleją i urządza dla siebie i dla swej rodziny letnią rezydencję.

— To ten Rozencwajg, co ma fabrykę w Zawierciu? — spytała Marynia.

— Ten sam. Szkoda, że już na przyszły rok nie będzie można tu spędzić lata, bo z wiosną rozpoczynają roboty koło restauracji dworu. Musimy teraz wyzyskać wszystko, co się da. Wicie, proponuję zaraz po śniadaniu pójść do lasu, na grzyby. Mnóstwo tu w tym roku grzybów. Co? Dobrze?

Marynia i Janek zgodzili się chętnie i cała trójka wybrała się do lasu.

Był ciepły, jasny dzień. Zapach świeżego siana mieszał się z aromatem żywicy. Nad polanami leśnymi szybowały jaskółki. W blaskach słońca pławił się duży jastrząb, zataczając olbrzymie koła. Janek, Marynia i Andzia zapuszczali się coraz dalej w gęstwinę leśną, a spory kosz, który dźwigali po kolei, zapełniał się szybko grzybami o ostrym, przyjemnym zapachu.

Szli teraz wśród gęstego podszycia skraju lasu tuż przy drodze, która, przecinając las, skręcała nagle na lewo.



— Ktoś jedzie — zauważyła Marynia, stając nad rowem, dzielącym las od drogi.

Na skrócie pokazało się naraz całe towarzystwo, złożone z kilkunastu osób konno. Większość stanowili wojskowi, ale było i paru cywilnych. Na czele jechały dwie amazonki.

Janek mimowoli zrobił krok naprzód i stanął obok Maryni nad brzegiem rowu, patrząc zdziwiony na tę z amazonek, która była bliżej. Pomimo odmiennego ubrania i kapelusza, poznał ją odrazu. Też same bujne kształty, też same czarne oczy i czerwone usta, też sama blada twarz. Nie ulegało wątpliwości: była to Fadiejewa.

Janek chciał się cofnąć, ale już nie zdążył. Fadiejewa go spostrzegła i poznała. Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta, kiedy mijala Janka, Marynię i Andzię, ku którym zwróciły się oczy całej przejeżdżającej kawalkady.

— Ta, co jechała z naszej strony — to żona naczelnika powiatu, tego ot tam na siwym koniu. A ten chudy, trochę przygarbiony mężczyzna w jasnym garniturze — to właściciel majoratu — nasz i przyszły pana Salomona Rozencwajga sąsiad — objaśniała półgłosem Trawińska.

## XXIV.

### UCIECZKA.

Na obiad wrócił z miasta i Trawiński. Opowiedziano mu o spotkaniu w lesie. Janek chciał się dowiedzieć czegoś o Fadijewej, ale Trawiński wiedział tylko tyle, że naczelnik powiatu, Żyzdryn, ożenił się bardzo niedawno i że jego młoda małżonka znana była w całym powiecie ze swej ekscentryczności. Natomiast mąż jej słynął daleko poza granicami powiatu jako nieprzeciętnej miary łapownik i złodziej.

— Przeniesiono go tu z Turkiestanu — mówił Trawiński. — Miał tam parę „nieprzyjemności“ służbowych, więc musiano go przetranszkować na inne „kresy“ państwa. Możecie sobie wyobrazić, co to za ananas, kiedy nawet w głębokiej Azji stał się już niemożliwym...

— Dawno jest tu? — spytał Janek.

— A już ze sześć — siedem lat grasuje w naszym powiecie. Gubernator, jakiś jego

daleki krewny, otacza go specjalną opieką. Wszyscy wiedzą, że skarżyć się na Żyzdryna gubernatorowi znaczy to ściągnąć na siebie gniew obydwóch. Jego podwładni drżą przed nim formalnie, bo się wtrąca w ich sprawy osobiste i za byle co karze surowo. Żyje wystawnie, choć cała jego pensya wynosi nie więcej jak dwa tysiące.

— Podobno bogato się ożenił — wtrąciła Trawińska.

— Zdaje się, ale i przedtem rozbijał się nie gorzej... Nadzwyczajnych rzeczy dokonywał tu podczas cholery, cztery lata temu. Od lekarza powiatowego wiem, że na cholery Żyzdryn zarobił przeszło dwadzieścia tysięcy rubli, głównie za pomocą sfałszowanych rachunków i kwitów. Działy się tu podobno rzeczy wprost nadprzyrodzone. Naprzykład dwóch chorych, którzy w dodatku byli tylko trzy dni w szpitalu — chorzy na cholery, nie zapominajcie — spożyło 3 funty herbaty, 53 funty mięsa, 50 kur i coś ze 60 funtów masła. Mało tego, na tych samych dwóch chorych zużyto 45 pudów słomy, nie licząc już zupełnie nieprawdopodobnych ilości kwasu karbolowego, kwasu siarczanego, chlorku, wapna, spirytusu i t. d. Nigdybym nie uwierzył, że coś podobnego jest możliwe, nawet u takiego Żyzdryna, gdybym na własne oczy nie widział tego rachunku. Teraz Żyzdryn jest niby pod śledztwem, wraz ze swoimi pomocnikami, którzy mu kraść dopomagali.

Przyjeżdżał tu wicegubernator, aby rozpatrzyć skargę mieszkańców ośmiu gmin i miasta P. Przedstawiono mu multum dowodów złodziejstwa, minęło już parę lat, a Żyzdryn wciąż tu grasuje. W końcu przeniosą go znów gdzieś — do Finlandyi, na Kaukaz albo do Rygi. Co za nieszczęście dla niego, że tu ani fabryk większych niema, ani opornych unitów, wogóle żadnego żeru politycznego. Próbował już parę razy „ratować państwo“, ale bez żadnego efektu.

— Cóż to było? — zagadnęła Marynia.

— Poaresztował chłopów za „tajne nauczanie“. Jakiś żołnierz dymisyonowany uczył im dzieciaki... na książce do nabożeństwa. Sprawa skończyła się niczem.

Od charakterystyki Żyzdryna Trawiński przeszedł do rozmaitych zabawnych „kawałów“ z życia czynownictwa rosyjskiego. Sypał nimi jak z rękawa. Doskonale bowiem znał stosunki prowincyi Królestwa, gdzie łapownictwo i złodziejstwo władz administracyjnych kwitło bujnie pod osłoną zasady zupełnej bezkarności przedstawicieli państwa na kresach obcoplemiennych.

Janek słuchał opowiadania Trawińskiego i jednocześnie pograżał się w stan jakiegoś błędnego upojenia. Nie potrzebował myśleć o żadnych „randkach“, ani o wyprowadzaniu w pole czujności szpiclów, ani o noclegu. Siedział tak bez żadnych trosk pod lipą jak przeciętny filister, wypoczywający po pracy

biurowej. I o Marynię drzeć nie potrzebował. Patrzył teraz na jej regularny profil, na linie karku i szyi, ginące pod lekką, jasną bluzką, obejmował oczyma jej kibić, ślizgał się wzrokiem po całej postaci dziewczyny i jakieś lechące ciepło rozlewało mu się po żyłach. Chciał w tej chwili uciec z nią gdzieś po za świat rzeczywistości, daleko od ludzi, gdzieby można było zapomnieć o wszystkim, tonąc w falach szczęścia bez granic i miary.

Ani na chwilę nie pozostawał z Marynią sam na sam. Po obiedzie Andzia zaproponowała przejażdżkę czółnem po stawie, co trwało aż do kolacyi. Potem znówu wszyscy razem siedzieli pod lipą, zasłuchani w subtelne szmery i dźwięki wieczora sierpniowego.

Strasznie mi się spać chce — oświadczyła wreszcie Trawińska.

— A ja ledwo siedzę. Wszak o wpół do piątej byłem już w bryczce. Muszę swoje odespać. Chodź Andziu...

— Przeszłabym się jeszcze po parku, taka noc cudna — rzekła Marynia, podnosząc się z ławki. — Drzwi możecie zamknąć, powrócę przez werandę.

— A ja do swego pokoju wejdę oknem, przypomnę sobie czasy gimnazjalne... Dobranoc!

— Dobranoc!

Janek podał Maryni ramię. Szli w kierunku alei lipowej. Jankowi poczęło serce bić przyspieszonym tętnem. Oboje rozumieli, że tu,

pod gościnnym dachem Trawińskich, zdala od wiążącego ich splotu obowiązków i interesów partyjnych, musi rozproszyć się wreszcie cała niejasność ich wzajemnego stosunku. Czuli, że od powziętych tu postanowień zależni się całe ich dalsze życie osobiste. A jednak żadne z nich nie miało odwagi wymówić tego pierwszego słowa, które jak mały kamyczek, muśnięty orłem skrzydłem, mogło wywołać lawinę, co zdolna była pogrzebać ich szczęście...

— Jak tu ciemno! — szepnęła Marynia. —  
Wracajmy...

Poszli z powrotem. Janek czuł, że Marynię jakiś strach ogarnia. Szła coraz szybciej, ciężko dysząc.

Zbliżali się do dworu.

— Maryniu, musimy nareszcie pomówić ze sobą... ja tak żyć dłużej nie mogę...

— Nie dzisiaj, tylko nie dzisiaj, mój Janku...

Tuż przed nimi białe stopnie werandy. Marynia puściła ramię Janka, szybko wbiegła po nich i, zanim się Janek opamiętał, znikła za oszklonemi drzwiami.

Stał, oszołomiony, chwilę w miejscu. Potem stanowczym krokiem obszedł róg dworu i znalazł się pod otwartem oknem pokoju Maryni.

Była przy oknie. Ujrzawszy Janka, cofnęła się z lekkim okrzykiem. Janek chwycił rękami za parapet, wspiął się na muskułach i jednym susem wtargnął do pokoju.

Ujął ręce Maryni w swe dłonie i pokrywał namiętymi pocałunkami. Dziewczyna się nie broniła. Potem objął ją prawą ręką w pól, lewą rozpiął bluzkę na szyi i przyłgął gorącymi ustami do gładkiej pachnącej skóry. Tulił do siebie jędrne, sprężyste ciało ukochanej kobiety, a oczy mu zaszyły mgłą pożądania. Czuł na swej szyi splecione ramiona Maryni, jej oddech gorący palił mu twarz. Potężna fala długo tłumionej namiętności zerwała wszystkie tamy i unosiła dwoje młodych istnień w obcy im dotąd, tajemniczy świat uczuć nieznanym...

Złote promienie słońca wpadały do pokoju, kiedy się Janek nazajutrz obudził. W jego duszy było tak samo jasno, promiennie. Śmiało patrzył w przyszłość, która występowała w blaskach słonecznych wspólnego, bezgranicznego szczęścia. Miał się już nie rozstawać z Marynią. „Robota“ w Zagłębiu rozrastała się coraz szerzej, potrzeba więc tam było nowych ludzi, tem bardziej, że „Paweł“, „podsypyany“ już porządnie, musiał się wkrótce przenieść gdzieindziej. Otóż Janek zastąpiłby „Pawła“. Wiedział, że „faceci“ nic przeciwko temu mieć nie będą. Że Marynia osiada za tydzień w Sosnowcu, było już postanowione. Znaleźliby się w ten sposób oboje w Zagłębiu i już nie rozstawaliby się, chyba... Ale Janek odpychał całą siłą woli wszelką myśl o ustawicznie grożącym im niebezpieczeństwie



„wsypy“ byle teraz być razem, a potem... potem niech się co chce dzieje...

Kiedy przyszedł pod lipę na śniadanie, Maryni tam jeszcze nie było. Zjawiła się po chwili. Janek pieszczącym wzrokiem obejmował całą jej postać. Nigdy mu się jeszcze nie wydawała tak piękną jak teraz. Zarumieniła się lekko, gdy, witając się, zajął jej w oczy.

Trawiński proponował dalszą wycieczkę. Omawiano jej plan, kiedy do stołu przyszła Magda, kucharka Trawińskich.

— Jakiś chłop przyszedł — rzekła, wycierając duże czerwone ręce fartuchem. — Z listem... Powiada, że od grafa ruskiego...

— Z majoratu? Do mnie? — zdziwił się Trawiński. — gdzież on jest?

— A w kuchni... Czeka...

Trawiński wstał i udał się za Magdą. W kilka minut powrócił, trzymając w ręku dwie koperty.

— Wiecie — zwrócił się do Janka — że to coś dziwnego. List przyniósł chłop, pracujący w ogrodzie majoratu. Zaadresowany do mnie, zupełnie wyraźnie. Rozdarłem kopertę i znalazłem w niej drugą. Na tej zaś stoi wasze nazwisko: „pour monsieur Patsewitch“, po francusku.

Janka nagle ogarnął niepokój. Po za Trawińskimi nikt tu nie mógł znać jego prawdziwego nazwiska, nieużywanego już oddawna. Janek, jako „nielegalny“, posiadał teraz

zupełnie inne, całkiem niepodobne do jego właściwego.

Szybko rozdarł wręczoną mu przez Trawińskiego kopertę i rzucił okiem na podpis, zastąpiony jedną literą rosyjską „N.“. Zrozumiał odrazu, kto ten list przysłał. Treść listu była bardzo lakoniczna: „Muszę się z panem zobaczyć koniecznie. Dziś, o czwartej, w tem samem miejscu, gdzieśmy się wczoraj spotkali. Sprawa bardzo ważna, nie cierpiąca zwłoki. N.“

Janek odczytał list na głos.

— Pani naczelnikowa chce odnowić znajomość zuryską — rzekł, śmiejąc się Trawiński. — Jak przystało na niewiastę ekscentryczną, wyznacza wam „rendez-vous“ w lesie, w romantycznem otoczeniu szumiących sosen i jodeł.

— Nie, w tem coś musi być — odparł Janek. — Czego ona odemnie chce? Nierozumiem!...

— Pójdźcie na tę schadzkę i dowiedcie się — mówił Trawiński.

— Właśnie myślę nad tem — iść, czy nie iść? Bo, jeśli chodzi o odnowienie znajomości zuryskiej, to nie mam do tego żadnej chęci. Ale, jeśli istotnie ma mi coś ważnego do zakomunikowania...

— Sądzę, że trzeba pójść koniecznie — wtrąciła Marynia.

— Chociażby z samej ciekawości — dodała Andzia.

— Słuchajcie, zaproponuję wam rzecz następującą — rzekł Trawiński. Zjemy obiad wcześniej i wyruszmy do lasu. Koło czwartej Janek pójdzie na schadzkę z naczelnikową, my zaś wszyscy ukryjemy się w pobliżu. Gdyby jego cnoście miało grozić poważne niebezpieczeństwo, niech tylko krzyknie...

— Głupstwa pleciesz — przerwała mu żona.

— W każdym razie idziemy do lasu. Janek ma jeszcze czas do namysłu — oświadczył Trawiński.

— Ja się czegoś boję — szepnęła Marynia.

— Pójdę, stanowczo pójdę — zawołał Janek. — Muszę to wyjaśnić.

Wycieczka do lasu, zaproponowana przez Trawińskiego, przyszła do skutku, ale nie było na niej wesoło. Marynię ogarniał coraz większy niepokój. Janek milczał prawie cały czas.

Zbliżała się czwarta. Janek wy dostał się z leśnej gęstwiny i szedł powoli brzegiem rowu, wpatrzony w zakręt drogi, skąd miała się zjawić „lafirynda“ zuryska, dziś żona słynnego złodzieja i łapownika.

Trawińscy i Marynia czekali na Janka, siedząc na zwalonym pniu olbrzymiej sosny. Czekali nie długo. Nie minęło pół godziny od chwili, jak ich opuścił, kiedy dał się słyszeć chrzęst suchych gałęzi i z za krzaków wynurzyła się postać Janka. Pomimo że szedł szybko, był niezwykle blady.

— No, cóż, cóż? — pytała niecierpliwie Andzia, kiedy stanął przy nich.

— Musimy, to jest ja muszę wyjeżdżać... dziś jeszcze...

— Co się stało? — zawołał Trawiński, zrywając się z pnia, na którym siedział.

— Ma się u was odbyć rewizya... Pewnie jutro, ale możliwe, że i dziś jeszcze.

— Skąd wiecie? — spytała Andzia.

— Fadijewa, to jest naczelnikowa mi to zakomunikowała. Jedyne po to mię chciała widzieć. Przyleciała konno. Zaledwieśmy parę zdań zamienili. Zapewniła mię, że już został wydany rozkaz przeprowadzenia bardzo ścisłej rewizyi we dworze...

— Psiakrew! — szepnął Trawiński. — Żyzyryn chce się koniecznie na „polityce“ obłowić. Ale mu się to znowu nie uda...

— Musimy dziś jeszcze, zaraz wyjeżdżać — rzekła Marynia.

— I ty? To po co? Co innego Janek. Jako „nielegalny“ nie może się narażać. Ale ty przecież masz papiery w porządku i nie ukrywasz się. Zresztą nic u nas przy rewizyi nie znajdują. Jak sądzicie, czy nie mam racyi? — pytała Andzia obydwóch mężczyzn.

I Janek i Trawiński byli tegoż samego zdania. Marynia się nie godziła z nimi, ale udało się im ją w końcu przekonać. Janek wyjechał późnym wieczorem sam, a serce mu się ścisnęło na myśl, że zobaczy się z Marynią dopiero za tydzień — w Zagłębiu.

## XXV.

### WOLNOŚĆ.

— Cóż, jeśli tak koniecznie chcecie do Zagłębia, to i owszem — mówił „Andrzej”. — Ale dopiero za jakichś dziesięć dni. Chyba wcześniej nie zdążycie pooddawać swych tu-tejszych stosunków?

— Tak, zajmie mi to z tydzień czasu.

— Tem bardziej nie macie co śpieszyć, że za tydzień „Marta” osiada w Sosnowcu. Ona obejmie część stosunków „Pawła”. A „Paweł” jeszcze jakiś czas też musi pozostać w Zagłębiu.

Janek przeszedł do omówienia szczegółów pewnego przedsięwzięcia partyjnego, kiedy zjawił się „Tytus”.

— Paskudna wiadomość! — oświadczył, witając się z „Andrzejem” i „Jankiem”. — „Marta” aresztowana i to w jakiś taki głupi sposób...

— Kiedy? Jak? — pytał Janek, czując, że mu krew ucieka z twarzy i setki drobnych,

ostrzych, zimnych szpileczek wbijają się w końce palców.

— Prawie zaraz po waszym wyjeździe od Trawińskich. Widziałem się przed godziną z Trawińskim. Przyjechał zawiadomić o „wsypie” „Marty”. Odbyła się u nich, na letniem mieszkaniu, rewizya. Zjechali strażnicy i żandarmi i wszystko przewrócili do góry nogami. Nic nie znaleźli. Zabrali Trawińskiemu parę książek zupełnie legalnych. A „Martę” aresztowali. Z jakiej racyi, niewiadomo...

— Pewnie ją niebawem puszczą — rzekł „Andrzej”.

— I ja takbym sądził, gdyby nie to, że ją wywieziono nazajutrz rano nie do Piotrkowa, lecz wprost do Warszawy, na Pawiak. Trawiński wie o tem z całą pewnością.

Wiadomość o aresztowaniu Maryni, używającej pseudonimu partyjnego „Marta”, odebrała Jankowi na jakiś czas zdolność mówienia i myślenia o rzeczach, nie dotyczących bezpośrednio tego faktu. Dopiero strasznym wysiłkiem woli zmuszał siebie do spełniania zwykłych obowiązków partyjnych. Chodził na „randki” i zebrania, obsługiwał stosunki prowincjonalne, ale pełnił te czynności zupełnie automatycznie, gdyż myśl jego była daleko od tego wszystkiego. Zmienił się też i fizycznie. Schudł, pobladł, oczy nabrały jakiegoś ponurego wyrazu.

— Chorujecie, czy co u licha? — pytał parę razy „Tytus”, widząc Janka, siedzącego

nieruchomo, z oczyma, utkwionemi w jeden punkt podłogi.

Tylko „Andrzej“ znał przyczynę zmiany usposobienia Janka, ale nie mówił o tem nikomu.

W parę tygodni po aresztowaniu Maryni nadszedł od niej list. Zawierał kilkadziesiąt słów zaledwie. Marynia komunikowała, że widocznie ktoś z wziętych w Warszawie „sypie“ na nią. Wnosi to z zadawanych jej w śledztwie pytań. Ma jednak nadzieję, że się cała sprawa skończy na niczem z braku wszelkich dowodów. Janek odczytywał raz po raz małą kartkę pomiętego, brudnego papieru, na którym drobnutkiem pismem, ołówkiem były skreślone słowa, budzące w nim słabą nadzieję. Dopiero, kiedy do Warszawy przyjechała Trawińska, w Janka wstąpiła otucha.

Andzia zjawiała się, aby poruszyć wszelkie możliwe stosunki w celu uwolnienia koleżanki.

— Ja jestem winna, że ją wzięto, namawiałam ją, aby została, kiedy powinna była zmykać razem z wami — mówiła do Janka. — Teraz muszę ją wykręcić i wykręcę...

W jej słowach brzmiało takie przekonanie, zabierała się do swego przedsięwzięcia z taką energią, że i Janek pomału zaczynał wierzyć w możliwość „wykręcenia“ Maryni.

Przyjeżdżając z Zagłębia, Janek za każdym razem widywał się z Andzią, która z całą stanowczością zapewniała go, że sprawa znaj-



duże się na jaknajlepszej drodze i że Marynia zostanie wypuszczona za kaucją. Zwierzała mu się też ze swych wrażeń i doświadczeń w zarządzie żandarmeryi, gdzie — jak się wyrażała — była teraz jak w domu.

— Mam teraz sposobność przyglądania się rozmaitym typom — mówiła pewnego razu. — I przyznam się, że znaczna część inteligentów i inteligentek, przychodzących w sprawie uwięzionych do zarządu żandarmeryi, sprawia swem zachowywaniem się bardzo niemiłe, czasami wprost wstrętne wrażenie. Nieraz już musiałam rumienić się... ze względu na robociarki, które nie kryją swego oburzenia, widząc, jak inteligentki ściskają ręce żandarmom. I wiecie, co najciekawsze, to to, że matki, siostry, żony aresztowanych robociarzy prawie zawsze całą winę swego rozpaczliwego położenia przypisują jedynie żandarmom. Inaczej jest z inteligentkami. Z ich skarg bardzo często widać, że czują żal do swoich za niepotrzebne narażanie się. Czasem bywam świadkiem scen prawdziwie wzruszających. Ot nie dalej jak w przeszły piątek przyszła do zarządu matka jakiegoś studenta. Facetka, widać, zamożna, dobrze się mająca. Sądząc ze wszystkiego, synowi jej nic strasznego nie grozi. A ta płacze, lamentuje na głos, wprost wstyd wobec żandarmów. Aż tu podchodzi do niej kobiecina — chuda, wynędzniała, w połatanej chuście — i mówi:

— Paniusiu droga, jak można tak płakać wobec tych łotrów. Toż oni się cieszą z naszych łez... Myśmy je powinni ukrywać przed tymi draniami... Mojego już dziewiąty miesiąc trzymają, zostałam z pięciorgiem dzieci, sama byłam ciężko chora. Posprzedawałam graty, a teraz żyjemy z ośmiu rubli, co je moja córka zarabia... Już z drugiego mieszkania nas wyrzucają, bo niema czem płacić... Co tu mówić o płaceniu, kiedy jeść niema czego... Ile łez w nocy wyleję, ile cierpię, ja tylko wiem... Ale tu, wobec żandarmów, płakać bym nie umiała.

— Wychodziłam razem z biedną kobieciną z zarządu. Miałam przy sobie trzy ruble, więc daję jej to dla dzieci. Wyobraźcie sobie, nie chciała zrazu przyjąć. Dopiero, kiedym jej powiedziała, że to z kasy pomocy dla więźniów, dopiero wówczas wzięła.

W tydzień po tem widzeniu się z Andzią Janek znowu był w Warszawie. Tu się dowiedział, że za trzy — cztery dni Marynia będzie wolna. Trawińskiej udało się ją wreszcie „wykręcić“. Puszczano Marynię za kaucją, a śmiesznie niska suma tej ostatniej doprowadziła wymownie, że albo sprawa zostanie umorzona, albo się wszystko skończy błahostką. W każdym razie Marynia nie mogłaby opuścić Warszawy. To jedno psuło Janekowi radość, ale nie wątpił, że się i na to znajdzie sposób, byleby Marynia odzyskała swobodę. Układał sobie rozmaite plany na

przyszłość, która znowu zarysowywała się w jego wyobraźni zalana blaskiem szczęścia. Jednocześnie ożywił się podawnemu. Powróciło mu dawne pogodne usposobienie, za którego tak lubili wszyscy „faceci“.

Na umówiony adres przyszła kartka od Trawińskiej, która zawiadamiała, że Marynia wyjdzie w sobotę. W poniedziałek Janek musiał być w Warszawie, a więc już się z nią zobaczy na pewno. Na samą myśl o tem krew mu uderzała do głowy i jakiś spazm ścisnął gardło. Rachował godziny, pozostające do odjazdu. Zdawało mu się, że nigdy nie doczeka się dnia upragnionego, kiedy będzie mógł pójść na Żórawią, do ciotki Andzi, gdzie Marynia miała zamieszkać po wyjściu z Pawiaka.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Janek wprost z dworca kazał się wieźć dorożkarzowi na Żórawią, nie wymieniając jednak numeru domu, przed którym miał wysiąść. Z przyzwyczajenia zwracał baczną uwagę na wszystko, co się dokoła działo, i spostrzegł, że przed domem, do którego zmierzał, jest bardzo „nieczysto“. Na przeciwległym chodniku sterczały znajome Jankowi postacie „filorów“. Taką samą postać tkwiła w bramie, udając, że pilnie czyta ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia. Niepokój targnął Jankiem. Wymienił dorożkarzowi jeden z dalszych numerów i minął obłożoną przez szpiclów kamienicę.

Postanowił przed udaniem się do Maryni zobaczyć się z kimś z „facetów“. O ósmej miał „randkę“ z „Andrzejem“. Czekał na niego w umówionem mieszkaniu przeszło pół godziny, niepokojąc się coraz bardziej. Nareszcie zjawił się „Andrzej“.

— Jeszcze nic nie wiecie? — spytał.

— O czym? — wybąknął Janek, błędąc.

— O „wsypach“ łódzkich.

— Nic nie wiem... Dopiero co przyjechałem.

— Zabito tam „prowoka“ w przeszłym tygodniu, zdaje się, w poniedziałek, i zaraz rozpoczęły się aresztowania... Nabrali kupę facetów winnych i niewinnych. Otóż ktoś „sypnął“ „Martę“. Odrazu zaczęli jej szukać gwałtownie. Posiadają zupełnie dokładny rysopis. Na szczęście nie znają jej nazwiska. Ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wpadną na ślady „Marty“. Musiała się uśunać...

— Gdzież jest?

— Wyjechała jeszcze wczoraj do Kielc, a teraz musi już być w Krakowie. Powinni byli przeprowadzić ją tej nocy przez „zieloną komorę“. Bałem się, że, przyjechawszy, pójdziecie wprost na Żórawią, do starej Trawińskiej. Dobrze, żeście tu wpiery przyszli...

— Byłem na Żórawiej, ale nie wstępowałem do pani Trawińskiej... Pełno tam szpiclów.

— A więc mieliśmy rację, wyprawiając „Martę“. Czatuja na nią. Psiakrew! Szkoda „facetki“... Nie będzie się już mogła pokazać

w kraju, jeśli ją wplączę w tę sprawę zabi-  
cia szpicla. Brzydki interes!

Janek siedział, ukrywszy twarz w dło-  
niach. Złote sny o szczęściu znowu się roz-  
proszyły jak mgła poranna. Tępy ból gniótł  
mu pierś.

Nadszedł „Tytus“. Janek słuchał, co mu  
„faceci“ mówili, ale, pomimo wysiłku, nie  
mógł skupić uwagi na ich słowach. Przepy-  
tywał po parę razy „Andrzeja“, udzielającego  
mu jakichś instrukcyj, zanim zrozumiał, czego  
od niego żądają.

Najbliższym pociągiem powrócił do Dą-  
browy Górniczej, zabrawszy transport osta-  
tniego numeru „Robotnika“. Kiedy się zna-  
laż w swym pokoju, zamknął się na klucz,  
rzucił się na łóżko, nie rozbierając się, i za-  
padł w stan jakiegoś odrętwienia. Nie chciał  
się z nikim widzieć, nie mógł myśleć o ni-  
czem, czuł się pozbawionym zupełnie woli.  
Przez cały dzień leżał na łóżku, nie ruszając  
się. Wkońcu ciężki sen go zmorzył.

Zbudziło go nagle dobijanie się do drzwi.  
Zerwał się z łóżka i zapalił lampę. Było już  
po dwunastej. Drzwi wyleciały z trzaskiem  
pod naparciem czyichś mocnych ramion i do  
pokoju weszło sześciu ludzi. Na czele ich  
kroczył kapitan żandarmeryi w towarzystwie  
dwóch wachmistrzów. Reszta byli to cywilni —  
właściciel domu, stróż i jeszcze jakaś osobi-  
stość. Stróż trzymał w ręku zapaloną świecę.

Żandarmi zabrali się do rewizyi. Otwarto

walizkę, z której jeden z wachmistrzów wydobyl kupę numerów „Robotnika“. Wydał okrzyk tryumfu, ciągnąc całą walizkę wraz z jej zawartością do kapitana.

I ten nie mógł powstrzymać się od radoznego okrzyku.

Janek obojętnie śledził złodziejskie ruchy „fijołów“, którzy zaglądali we wszystkie kąty pokoju, odsuwając meble i rzucając się łapczywie na każdy skrawek papieru.

Poza transportem „Robotnika“ nic nie znaleziono. Spisano protokół, który podpisali wszyscy obecni. Kapitan grzecznie zaproponował Jankowi ubrać się. Janek włożył paltot i kapelusz i wszyscy zeszli na dół.

Kapitan wszedł do powozu, który zawrócił i zniknął gdzieś w kierunku Sławkowskiej. Dwaj żandarmi wraz z Jankiem i jego walizką zajęli jednokonną bryczkę i ta potoczyła się w przeciwną stronę — ku stacyi.

— Do Piotrkowa — pomyślał Janek.

Była noc ciemna, chłodna, dżdżysta. Żandarmi, towarzyszący Jankowi, kleli na pogodę, na „sobaczą“ służbę, na ciężkie kożuchy pod szynelami. Janek słuchał ich monotonnych skarg, przeplatanych „moenymi“ rosyjskimi wyrazami i chciał jak najprędzej uwolnić się od towarzystwa tych cuchnących brodaczy o dobrodusznym twarzach.

— Pojadą ze mną do Piotrkowa obydwaj — myślał i świadomość tego była mu niewymownie przykłą.



Bryczka dojechała do stacyi towarowej. Brama na przejeździe była zamknięta. Stróż nie zjawiał się pomimo długich nawoływań żandarmów. Wówczas jeden z nich zszedł, poszedł, zbudził stróża i już nie wsiadał na bryczkę. Janek i drugi żandarm przejechali kilkadziesiąt kroków do stacyi pasażerskiej. Żandarm wysiadł pierwszy, stał teraz obok siedzenia i, przeciągając się, ziewał głośno...

I nagle jakby błyskawica przeszła mózg Janka. Granica... Wolność... Kraków... Marynia... Palnął ziewającego żandarma z całej siły pięścią między oczy, wbiegł na schody, zeskoczył z platformy na ziemię i, obleciawszy z boku budynek stacyjny, wpadł na tor kolejowy.

— „Dierży!“ — krzyczał żandarm okropnym głosem. Padły strzały, ale Janek już był daleko. Dał nura pod szereg węglarek, dostał się między stopy próchniejących podkładów, przesadził rów, wdrapał się na jakiś parkan, spadł z niego w błoto, i znowu biegł, nie zatrzymując się. Tracił już siły, kiedy poczuł, że uszedł niebezpieczeństwa pogoni. Ani strzałów, ani krzyków już nie było słychać. Zwolnił biegu i w dziesięć minut potem wszedł na plant. Tu znowu pędził co miał mocy przeszło wiorstę. Skręcił następnie w prawo, na pola i łąki i biegł w dalszym ciągu...

A z brzaskiem był już po drugiej stronie granicy — nareszcie wolny zupełnie...



XXVI.

## RAZEM.

Wielki parowiec belgijski pruł czarną powierzchnię morza. Spienione bałwany uderzały o jego pierś wysoką, z głuchym łoskotem i pluskiem wdzierały się aż na krawędzie burt i wyrzucały w górę snopy kropel. A te rozpryskiwały się na pył wodny, który zasypywał twarze Janka i Maryni, stojących na przodzie pokładu. Zbliżali się do brzegów Anglii, tonących w mrokach ciemnej nocy. Latarnia morska w Dover świeciła jak gwiazda przewodnia na czarnem tle morza i nieba. Wysłała na spotkanie ciężko stękającemu okrętowi smugę światła, która jak wąż złocisty ślizgała się po wodzie, to się rwąc na części, to się znowu zrastając.

— Za parę godzin będziemy w Londynie — rzekł Janek.

— Razem — szepnęła Marynia.













Biblioteka Uniwersytetu  
MARIi CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 48413

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000182567